

A woman with reddish-brown hair tied in a bun is shown in profile, looking upwards. She is wearing a black top with a small floral pattern. The background is a light pink color with a subtle diamond-shaped grid pattern. Several white orchids with orange centers are scattered around her, some in bloom and some as buds.

*Judith W. Taschler*

ZOSTAĆ

Wydawnictwo  
ab

Judith W. Taschler

# ZOSTAĆ

przełożyła Aldona Zaniewska



Tłumaczenie książki powstało przy wsparciu finansowym Austrian Federal  
Chancellery

Tytuł oryginału: *Bleiben*

Copyright © 2016 Droemer Verlag. An imprint of Verlagsgruppe Droemer Knaur  
GmbH & Co. KG, München

Copyright © for the Polish edition by Grupa Wydawnicza Foksal, MMXVIII

Copyright © for the Polish translation by Aldona Zaniewska, MMXVIII

Wydanie I

Warszawa MMXVIII

# Spis treści

[Dedykacja](#)

[Motto](#)

[Czerwiec 2015. Paul](#)

[Grudzień 2015. Juliane](#)

[Maj 2015. Elix](#)

[Wrzesień 2015. Max](#)

[Czerwiec 2015. Paul](#)

[Grudzień 2015. Juliane](#)

[Maj 2015. Felix](#)

[Wrzesień 2015. Max](#)

[Czerwiec 2015. Paul](#)

[Grudzień 2015. Juliane](#)

[Maj 2015. Felix](#)

[Wrzesień 2015. Max](#)

[Czerwiec 2015. Paul](#)

[Grudzień 2015. Juliane](#)

[Maj 2015. Felix](#)

[Wrzesień 2015. Max](#)

[Czerwiec 2015. Paul](#)

[Grudzień 2015. Juliane](#)

[Maj 2015. Felix](#)

[Wrzesień 2015. Max](#)

[Czerwiec 2015. Paul](#)

[Grudzień 2015. Juliane](#)

[Maj 2015. Felix](#)

[Wrzesień 2015. Max](#)

[Czerwiec 2015. Paul](#)

[Grudzień 2015. Juliane](#)

[Maj 2015. Felix](#)

[Wrzesień 2015. Max](#)

[Czerwiec 2015. Paul](#)

[Grudzień 2015. Juliane](#)

[Wrzesień 2015. Max](#)

[Podziękowania](#)

[Przypisy](#)

*Pamięci Juliana*

*(kwiecień 1966 – czerwiec 2015)*

*Wdzięczna jestem, że mogłam cię jeszcze poznać. Twoja historia bardzo mnie poruszyła. Nie byłeś jeszcze gotowy odejść, chciałeś jeszcze zostać, a mimo to znosiłeś swoją chorobę tak niewiarygodnie dzielnie.*

„A więc świat jest aż tak piękny” – pomyślał po kilku minutach uważnego oglądania, z niemal dziecięcym wybuchem zachwytu. „Aż taki wspaniały! Jeszcze ma tyle barw, tyle doskonałych kątów i linii... Jakże to wszystko jest piękne!”

Sándor Márai, *Wyspa*, tłum. Feliks Netz

## Czerwiec 2015

### Paul

Zostańmy jeszcze trochę.

Ucieszyłbym się, gdybym dzisiejszej nocy nie musiał być sam.

Czy żona na mnie nie czeka? Nie, nie czeka, jest z kimś innym. No, teraz spojrzaleś na mnie zaskoczony! Jeśli chcesz, opowiem ci, gdzie jest i co tam robi. Chyba nie będzie źle, jeśli o tym opowiem. Zanim mnie to całkiem wykończy. A ty jesteś jedynym człowiekiem, któremu chciałbym to opowiedzieć. Przy tobie nie mam wątpliwości, czy mogę się ze wszystkiego, naprawdę ze wszystkiego zwierzyć. Wciąż jeszcze jesteś moim najlepszym przyjacielem, chociaż tak rzadko się widzimy, odkąd mieszkasz w Sydney.

Dobrze jest tu z tobą siedzieć i gadać, jak dawniej. Kosmos prawie się nie zmienił, prawda? Mój Boże, ile czasu spędziliśmy tu jako studenci – dyskutowaliśmy, filozofowaliśmy i pletliśmy mnóstwo bzdur. Nie wiem jak ty, ale ja lubię wspominać tamte czasy. Cieszę się, że właśnie ty siedzisz dziś naprzeciwko mnie, i to akurat tu, w tym barze. Nie byłem tu całą wieczność! A potem, pół roku temu, znów pierwszy raz tu przyszedłem. Akurat z tym mężczyzną, z którym teraz jest moja żona.

Tamtej nocy odkryłem, że mają romans. Jak się dowiedziałem? Dzięki pewnemu wyjątkowemu deserowi. Naprawdę! Kulki lodów podpowiedziały mi, że moja żona ma romans.

Też chcesz jeszcze jedno piwo? Tak?

Dobrze mi robi, jeśli to wszystko z siebie wyrzucę. Właściwie chyba potrzebuję spowiedzi. Śmiejesz się? Wiem, to brzmi dziwnie, moja żona ma romans, a ja koniecznie potrzebuję spowiedzi.

I to prawdziwej spowiedzi, przed księdzem, a przede wszystkim przed Bogiem!

Pamiętasz jeszcze naszą pierwszą spowiedź w szkole? Zamknięty w sobie nauczyciel religii pomaszerował z nami do zimnego kościoła, gdzie czekaliśmy w rzędach ławek, zdenerwowani i ze skurczonymi



zołądkami układaliśmy w głowie zdania, które powiemy staremu księdzu w ciasnym, ciemnym konfesjonale. Nie wiedzieliśmy, co mamy powiedzieć! Byliśmy dziećmi i w gruncie rzeczy niczego złego nie zrobiliśmy. Większość po prostu powtarzała te parę zdań, które podpowiedział nam nauczyciel, żebyśmy się trochę mniej bali: okłamałem rodziców, nie słuchałem się ich, kłóciłem się z rodzeństwem. Również ja, dygocząc, wypowiadałem te zdania, choć to nie była prawda. Zawsze słuchałem się rodziców, nie odważyłbym się ich okłamać, a z siostrą też się nie kłóciłem. Zawsze byliśmy dla siebie uprzejmi, już w dzieciństwie, w domu zawsze traktowaliśmy się z szacunkiem, to pewnie jeszcze pamiętasz. Tak bardzo ci się to podobało? Tak, czasem myślałem, że twój podziw dla mojej rodziny był niemal pełen czci.

Zazdrościłem ci twojej rodziny.

Coś tam księdzu powiedziałem, nie zastanawiając się nad tym, co tak naprawdę nabroiłem. Chyba wszyscy tak robiliśmy. Nie byłem uczciwy, coś nakłamałem sobie i księdzu. Chociaż już wtedy to i owo powinienem był wyznać: byłem zarozumiały, wydawałem się sobie lepszy od swoich kolegów, nienawidziłem rodziców i dziadków, bo mnie wychowali właśnie tak, że wydawałem się sobie lepszy niż inne dzieci. Ale nie byłem pewien, czy mój spowiednik chciałby to usłyszeć, bo był bliskim przyjacielem moich rodziców. Widywałem go w każdą niedzielę, a czasem przychodził do nas na kolację. Więc to nie była uczciwa spowiedź, tylko farsa.

Dlaczego ci o tym mówię? Może dlatego, że to typowe dla całego mojego życia? Nie wiem. Właściwie chciałem opowiedzieć o czymś zupełnie innym. Tak, o tym wieczorze, kiedy odkryłem, że żona mnie zdradza.

Tego dnia, to było tuż przed Bożym Narodzeniem, pracowałem trochę dłużej w kancelarii, około dziewiątej wieczorem chciałem już jechać do domu i postanowiłem jeszcze na chwilę wpaść do pewnego klienta, którego kilku podpisów pilnie potrzebowałem.

Dzwonię więc do swego klienta, nazywa się Felix Hofmann, na komórkę, ale nie odbiera, a że mieszka przy Döblinger Hauptstrasse

27 – tak, dobrze słyszałeś, ten człowiek mieszka w tym samym domu, a nawet w tym samym mieszkaniu, w którym mieszkałem w czasach studenckich – niedaleko kancelarii, spontanicznie decyduję się do niego wpaść.

Drzwi wejściowe na dole są otwarte i już na klatce schodowej ogarnia mnie dziwny nastrój. Dzwonię wprost do jego drzwi, a gdy otwiera, zaskakuje go mój widok. Kto spodziewa się swego adwokata o dziewiątej wieczorem? Najpierw mówi, że wpadnie następnego dnia do kancelarii i przyniesie podpisane papiery, potem jednak zaprasza mnie do środka, żeby to załatwić od ręki.

Wchodzę więc znów po dwudziestu trzech latach do swojego dawnego mieszkania, wciąż jeszcze wydaje mi się znajome, zapach jest taki sam jak wtedy. Wszędzie stoją zapakowane kartony, liczne obrazki oparte o ściany, większość to fotografie, najwyraźniej z podróży, ale są wśród nich również malowidła. Chwiejnie przechodzę pomiędzy nimi, ostrożnie, za tym mężczyzną.

Znasz je? To uczucie, że człowiek opuszcza teraźniejszość i jest z powrotem w przeszłości? Idę korytarzem i rozglądam się, nic nie leży na podłodze, starym poplamionym parkiecie w jodełkę. Widzę przed oczami stary perski dywan – wściekle drogą rzecz, pamiątkę po mojej babce – który tam leżał, a którego Isabella nie mogła znieść. Pewnego dnia po prostu go zwinąłem i wyniosłem. Jak się później dowiedziałem, podarowała go dwóm bezdomnym – to wytrąciło mnie z równowagi.

Wyobrażam sobie siebie jak w filmie. Nagle znów jestem młodym człowiekiem, który mieszka tu ze swoją pierwszą dziewczyną. Tak, wierzę, że ciało może pamiętać miejsca, w których człowiek dłużej mieszkał albo gdzie zdarzyło się coś szczególnego. Ty nie? Ale moje ciało przypomina sobie to mieszkanie, gdy do niego wchodzę. Zauważam, ku swojemu zaskoczeniu, że jest mi niedobrze, wszystko mnie boli, poza tym nagle czuję się stary, zmęczony i wypalony.

Ten mężczyzna idzie ze mną do salonu. Gdy tam mieszkaliśmy, to pomieszczenie służyło nam za sypialnię, na podłodze leżał tylko dwuosobowy materac, bo Isabella uważała łóżko za zbyt kołtuńskie. Jeszcze dokładnie pamiętam to miejsce, w którym leżał, mam przed

oczami kolorową pościel, pomięte poduszki, a dookoła bezładnie porozrzucane ubrania, które zawsze doprowadzały mnie do pasji. Kolana mi drżą.

Nagle wydarza się coś dziwnego. Kiedy stoimy w salonie i rozmawiamy, wkrada się we mnie, oprócz starych wspomnień, jeszcze jedno uczucie, przecucie, że coś wybuchowego jest w tym pomieszczeniu, w tym mieszkaniu. Nie jakiś prawdziwy materiał wybuchowy, to oczywiście przesada, ale ewidentnie coś wisi w powietrzu, coś, co mnie bardzo konsternuje, co koniecznie muszę zgłębić.

Udaje mi się wreszcie oderwać od wspomnień i skupić się na swoim rozmówcy. Daję mężczyźnie papiery, objaśniam treść i pokazuję, gdzie ma się podpisać. Hofmann, dziewięć lat młodszy ode mnie, stoi, uważnie słucha, a potem przegląda dokumenty. Ma na sobie zwykłą niebieską koszulkę, dżinsy i czarne skarpetki, nic więcej, żadnych kapci. Mężczyzna wydaje mi się sympatyczny i w tym momencie myślę jeszcze, że chętnie bym go poznał bliżej. Spotkaliśmy się przed dwudziestu laty w nocnym pociągu do Rzymu – to była mniej niż przelotna znajomość z podróży – niewiele o nim wiem. Oprócz tej sprawy z mieszkaniem.

Dwa tygodnie wcześniej przyszedł do mojej kancelarii, niezapowiedziany. Miałem wprowadzić niejasne przecucie, że skądś go znam, ale nie pamiętałem nazwiska, sam wiesz, z iloma ludźmi mam na co dzień do czynienia. Kto zapamiętuje nazwisko jakiegoś człowieka, z którym dwie dekady wcześniej pewnej nocy siedział w jednym przedziale w pociągu i rozmawiał? Ale on wciąż pamiętał moje nazwisko i to, że jestem adwokatem, i chciał, żebym go reprezentował w sprawie przeciwko właścicielowi domu, twierdził, że nie zna w Wiedniu żadnego innego adwokata. Powiedział mi o mieszkaniu i że musi się jak najszybciej wyprowadzić. Powód dosłownie odjął mi mowę. Obiecałem mu osobiście poprowadzić jego sprawę i nie oddawać jej współpracownikom, nie mogłem inaczej, było w tej sytuacji coś, od czego nie można się było uwolnić. A także coś obciążającego, tak, jego sytuacja mnie obciążała. Po tej wizycie w kancelarii całymi dniami nie mogłem o niczym innym myśleć ani

spać.

Co mnie obciążało, pytasz? Poczekaj, najpierw chciałbym ci do końca opowiedzieć o tym dziwnym wieczorze.

Rozmawiamy krótko o jego wyprowadzce z mieszkania. Pytam, czy trudno było tak szybko znaleźć nowe i czy ma kogoś, kto pomoże mu w przeprowadzce, i czy potrzebuje pomocy. Mężczyzna dziękuje i mówi coś o swoim przyjacielu, Maksie, który go bardzo wspiera. Obojętnym ruchem odsuwa dwa używane talerze na bok i kładzie papiery na stole, żeby je podpisać. Pytam go, czy ma gościa i czy mu nie przeszkadzam.

– Była u mnie na kolacji przyjaciółka, ale musiała pilnie jechać do domu – odpowiada, sięgając po długopis.

Patrzę na jego pochylone plecy, przypatruję się, jak energicznie pisze swoje nazwisko, a potem moje spojrzenie szybuje ku deserowym talerzom. Wszystko we mnie zastyga. Po resztkach na talerzach rozpoznaję, że Hofmann jadł kolację z moją żoną.

Śmiejesz się? Jak mogę to rozpoznać po resztkach jedzenia?

Na jednym z talerzy widać naprawdę tylko resztki, roztopione lody waniliowe i ciemny sos pod nimi. Ale na drugim talerzu jest jeszcze nieruszony, roztopiony deser. To banana split, ułożony w kształcie męskich narządów płciowych: banan jest przekrojony na pół, na jednym końcu dwie kulki lodów ułożone po lewej i prawej stronie, a na drugim końcu kilka bryzgów sosu czekoladowego.

To wyrazisty deser i nosi niewątpliwy podpis Juliane.

Taki sam deser zrobiła kiedyś dla mnie, przed wielu laty, jeszcze przed naszym ślubem. Pamiętam to tak dokładnie, bo był to jedyny raz, kiedy przyrządziła dla mnie coś tak dwuznacznego, była troszkę wstawiona. Później myślałem, że to do niej nie pasowało, bo jeśli chodzi o seksualność, Juliane była i jest raczej, jak by to określić, powściągliwa.

W naszym małżeństwie nie było też na porządku dziennym jakichkolwiek nieprzyzwoitych dowcipów. Nigdy nie rozmawialiśmy również o preferencjach w łóżku i wcale bym tego nie chciał. Gdy Juliane podała mi ten deser, nie znaliśmy się jeszcze zbyt dobrze, nie wiedzieliśmy, jakie to drugie jest na co dzień i jak działa. Wpadła do

mnie bez zapowiedzi, z torbą zakupów i objęła mnie tak gwałtownie jak nigdy. Zaszyła się w kuchni i gotowała dla mnie, przyrządziła stek z przystawkami i właśnie ten deser. Podając go, powiedziała: „*Voilà*, oto moja twórcza produkcja o nazwie bananowa erekcja”. Fakt, że się to rymowało, uznała za bardzo zabawny, dostała ataku śmiechu. Później poszliśmy do łóżka, a ona powtarzała, że bardzo mnie kocha i potrzebuje.

Stoję zatem w mieszkaniu mojego klienta, gapię się na deser bananowa erekcja i staram się odzyskać równowagę, gdy ten mężczyzna przegląda i podpisuje papiery. Po prostu wiem: Juliane tu była. Prawdopodobnie jedno z dzieci zadzwoniło i musiała szybko wyjść, pewnie omal się nie mineliśmy.

Mogła tam jeszcze być, powiadasz, w którymś z pokoi.

Ta myśl też mi przemknęła. Być może, ale w to nie wierzę. Zadzwoniłem wprost do drzwi mieszkania, Hofmann otworzył dość szybko, nie wiedząc, kto za nimi stoi, i dlatego nie miał żadnego powodu, a poza tym czasu, żeby kogoś ukryć. Poza tym nie widziałem rzeczy Juliane, torebki, butów.

W tym momencie mam gonitwę myśli. Fakt, że nic mi nie powiedziała o zaproszeniu i kolacji z Hofmannem, każe mi odrzucić domniemanie niewinności. Pamiętam, że kilka miesięcy wcześniej zadawałem sobie pytanie, czy ma romans. Dlaczego? Bo przez jakiś czas wychodziła częściej niż zwykle i wydawała się jakaś odmieniona. Ale stawiałem raczej na jakiegoś kolegę z pracy w szkole muzycznej. Na niego, to znaczy na Hofmanna, bym nie wpadł. Nigdy w życiu. Zadawałem sobie pytanie, kiedy nawiązali kontakt.

Nerwowo zastanawiam się, jak powinienem zareagować. Mam go wprost zapytać: „Moja żona tu była? To ona zrobiła ten deser? Macie romans?”.

Patrzę na niego z góry i wiem, że nie potrafię tego zrobić, po prostu nie dam rady. Dlaczego? Dlatego, że nie chcę skompromitować ani jego, ani siebie. Nie radzę sobie z niezręcznymi i kompromitującymi sytuacjami, nieważne, czy jestem ich źródłem, czy obiektem. Zawsze tak było.

Wiesz o tym?

Spokojnie możesz nazywać mnie tchórzem!

Na szczęście się minęliśmy, tak myślę. Nie chciałbym się znaleźć w tak niezręcznej sytuacji, że spotykam ją u niego, i Juliane też nie chciałbym widzieć w tak niezręcznym położeniu. I owszem, tego mężczyzny, który przede mną stoi, również nie.

Udaje mi się wziąć głęboki oddech. Hofmann podpisuje ostatni dokument i wstaje. Rozpoczynamy luźną rozmowę, a ja nagle zaczynam mówić o podróży do Rzymu i o tym, cóż to był za przypadek – biorąc pod uwagę tak dużą liczbę wagonów i przedziałów – że wsiał akurat do tego przedziału, w którym już siedzieliśmy ja i Juliane.

Tak, poznałem żonę podczas tej podróży.

On patrzy na mnie uważnie i pyta, czy mam ochotę pójść z nim i czegoś się napić. Zastanawiam się chwilę i mówię:

– Tak. Czemu nie?

Wychodzimy z mieszkania i idziemy tutaj, do Kosmosu, gdzie wypijamy trochę za dużo i rozmawiamy o wszystkim, co przychodzi nam do głowy, również o przypadkach i o tym, czy w ogóle istnieją. Siedzimy i rozmawiamy dwie godziny, to znaczy przez większość czasu on mówi, a mnie to cieszy, ograniczam się do błahostek. Opowiada mi, co w ostatnich tygodniach robił, i kiedy go słucham, nie czuję wściekłości, przeciwnie. Czuję, jak ogarnia mnie ulga. Jakie to dziwne, myślę, koło się zamyka. Mam przed oczami Hofmanna i Juliane, jak przed dwudziestu laty leżą obok mnie na odsuniętych siedzeniach i przekonani, że inni w przedziale śpią, nieśmiało się całują.

Dobrze, tak uważam, że to on, a nie kto inny, on nie jest rywalem, którego można traktować poważnie, a to wszystko nie potrwa długo – w gruncie rzeczy miałem wielkie szczęście, że Juliane tak wybrała. Jako adwokat zajmuję się rozwodami, wiem, że większość ludzi wcześniej czy później zdradza, i aż za dobrze znam tego konsekwencje.

Im więcej się zatem nad tym zastanawiam, tym bardziej się uspokajam, romans mojej żony przestaje budzić lęk. Zadaję sobie kolejne pytanie: „A może nawet pozwolę mu na tę miłość z moją

żoną? Czy będę mógł potem zasnąć? Będę się wtedy czuł mniej odpowiedzialny, mniej winny?”. I przez chwilę mi świta, że prawdopodobnie tak właśnie będzie.

Postanawiam, że na razie nie będę pytał Juliane o Feliksa, tylko po prostu poczekam i będę obserwował sytuację. Jeśli ja o tym wiem, ale oni nie wiedzą, że wiem, w pewnym stopniu to ja pociągam za sznurki. Tak, to daje mi poczucie bezpieczeństwa. Tak sobie myślę, gdy wsiadam do samochodu i jadę do domu. Do żony i dzieci.

Tak to było, przed sześcioma miesiącami. Tak odkryłem romans.

A dzisiaj w nocy, pytasz? Dzisiaj zostanie z tym mężczyzną całą noc, jestem pewny, może też jeszcze jutro.

I dlaczego miałbym teraz potrzebować spowiedzi? Chcesz usłyszeć wszystko?

## Grudzień 2015

### Juliane

Co to za zdjęcie?

Ach, to.

Ile lat wtedy miałyśmy? Szesnaście.

Elena, Marie, Mike i jego przyjaciel – jak on miał na imię? Tommy. Ty, ja i Andreas. U mnie na kolanach.

Za miesiąc skończyłby dwadzieścia trzy lata.

Czy wciąż tak dużo o tym myślę? Co rozumiesz pod pojęciem „dużo”?

Szczerze mówiąc, każdego dnia przemyka mi myśl: twój brat nie żyje. Przez ciebie.

Wywracasz oczami.

To był wypadek, mówisz.

Każdy wtedy tak mówił, psycholożka powtarzała to do wyrzygania. Matka też. Ale nie ojciec. Po prostu wyprowadził się z domu, już po trzech tygodniach. Andreas był jego pupilkiem. A pół roku później rodzice byli po rozwodzie. Ale to przecież wiesz. Już wcześniej nie było między nimi za dobrze, prawdopodobnie wytrzymywali ze sobą ze względu na Andreasa.

Wypadek.

Można oczywiście powiedzieć, że to słowo ma uzasadnienie, bo nie było w tym żadnego zamiaru. Można by rzec: nieumyślny wypadek, nie tylko wskutek moich działań, ale spowodowany też przeze mnie. W każdym razie w gazecie tytuły brzmiały inaczej, już nie pamiętasz? *Dziewczyna zabiła młodszego brata.*

To ja nakłaniałam rodziców, żeby pozwolili mi opiekować się Andreasem! Ja! Nie odwrotnie, to nie oni mnie zmuszali, żebym była jego nianią. Wówczas wyglądałoby to dla mnie trochę inaczej, przynajmniej troszeczkę. Robiłam to tylko po to, żeby podczas wakacji nie pracować. On miał pójść do przedszkola. Ojciec był zdecydowanie przeciwny, żebym została w domu, a matka też



wolałaby, żebym zarabiała i rozumiała, co znaczy pracować na własne pieniądze.

– Żebyś się nauczyła, że bankomat nie wypluwa banknotów tak po prostu – mawiała.

Miała rację. Byłam rozpuszczoną dziewczuchą, i tyle. To miło, że próbujesz mnie przekonać o czymś wręcz przeciwnym, ale wiem, jaka byłam, mając piętnaście, szesnaście lat. Wydawałam się sobie taka bez zarzutu, silna, niepokonana. Całe życie przed tobą! Możesz osiągnąć wszystko, co chcesz! Nie skończysz, jak ci dorośli dookoła ciebie, jesteś kimś wyjątkowym. Bardzo dobrze pamiętam to uczucie.

Wszyscy tak myśleliśmy, tak, chyba masz rację.

Ale byłam zarozumiała. Cieszyło mnie to, że chłopcy za mną ganiłi, że mnie adorowali, kiedy siedziałam na kocu, na basenie, grałam na gitarze i śpiewałam. Chciałam leniuchować i włóczyć się po okolicy, z tobą i resztą, i z Mikiem. Mój Boże, ale byłam w nim zadurzona! To ze względu na niego nie chciałam tego lata pracować jako kelnerka. Dlatego nie przestawałam żebrać, a moi rodzice w końcu ustąpili. Potrafiłam być dość uparta, jeśli czegoś chciałam.

Wiesz, gdyby to przynajmniej była nieuwaga! Ale ja świadomie i z jawnym zamiarem zostawiłam Andreasa siedzącego samotnie na brzegu basenu. I dlaczego? Z czystej próżności i fanfaronady. Wbijałam mu do głowy, żeby nie ruszał się z miejsca i patrzył, jak będę robić salto z dziesięciometrowej wieży. Umiał trochę pływać i dobrze nurkował – co więc mogło się stać? Jeszcze z dumą mi pomachał. Mike i jego koledzy się ze mnie śmiali, że i tak się nie odważę, a ja chciałam zrobić na nich piorunujące wrażenie. To wszystko.

Nie wiedziałaś o tym?

Jeszcze dziś widzę, jak na jego oczach wchodzę po schodach, w duchu już triumfując, bo zrobię idealne salto i wiem, że nie tak szybko ktoś inny będzie umiał to powtórzyć. On i jego przyjaciele przepuścili mnie i głupio się uśmiechali, gdy stałam gotowa do skoku. Mike jeszcze złapał mnie za tyłek, nie mogłam się nie roześmiać i pogroziłam mu palcem. To był ostatni raz, kiedy na mnie patrzył i ze mną rozmawiał. Tak, naprawdę! Gdy potem się na niego natykałam,

przechodził na drugą stronę ulicy. Ale w porządku – jak mogłam oczekiwać, że siedemnastolatek da sobie radę z taką sytuacją? Najpierw pieścisz się z jakąś dziewczyną za przebieralnią, odważnie sięgasz jej pod bikini, a kilka minut później wyciągasz z wody jej martwego brata. Tak, zabrał go ode mnie i popłynął z nim do brzegu basenu, gdzie już stał ratownik.

Widziałaś to z kawiarni? Moje salto, moje wynurzenie się i ponowne nurkowanie? Jak z Andreasem w rękach znów się wynurzyłam i Mike wskoczył?

Mówisz, że krzyczałam jak wariatka?

Tego już nie pamiętam, w ogóle nic nie pamiętam z tej godziny po skoku. Matka potem mi opowiedziała, bo się upierałam. Pamiętam tylko, że salto mi się udało i wyprostowana jak świeca wpadłam do basenu, a potem, jak stał przede mną ojciec, trzymał mnie za ramię i nie przestawał krzyczeć:

– Miałaś na niego uważać! Dlaczego skaczesz z wieży, kiedy masz na niego uważać?!

Godzina pomiędzy tymi momentami gdzieś się zgubiła.

W szpitalu słyszałam, jak wieczorem jedna pielęgniarka mówiła do drugiej:

– Z całym impetem trafiła chłopca w głowę.

Wiesz, że potem wciąż w myślach odgrywałam różne scenariusze tego wypadku? Andreas ucieka mi podczas zabawy w berka, wskakuje do wody, chce zanurkować i płynąć do drugiego brzegu basenu, ktoś bezprawnie skacze z zamkniętej wieży, i to akurat na niego. Albo: zsuwa się z brzegu basenu, uderza w kant potylicą i nieprzytomny stacza się do wody, czego nikt nie zauważa, bo tak wiele się dzieje, a on tonie.

Co mogło pójść inaczej?

Oczywiście też czułabym się winna, bo miałam na niego uważać, ale jednak to byłoby coś innego. Ponieważ wówczas to byłby naprawdę wypadek, również dla mnie! Andreas nie umarłby wtedy przeze *mnie*. Z bólem bym za nim tęskniła, ale nie musiałabym się wciąż dławić swoją ogromną winą. Chciałam po prostu, żeby stopy, które w niego uderzyły, nie były moje, tylko cudze. Nie mogłam

patrzeć na swoje stopy, najchętniej bym je sobie odrąbała.

Patrzysz przestraszona. Wiem, nigdy o tym nie rozmawialiśmy, prawda? I jestem ci wdzięczna za to, że nie skłaniałaś mnie do mówienia. Chyba po tym wszystkim zachowywałam się w stosunku do ciebie dość obcesowo, chociaż byłaś moją najlepszą przyjaciółką. I nadal jesteś, nawet jeśli widzimy się tak rzadko. Przepraszam. Ale wiesz, kiedy cię widziałam, od razu sobie o tym przypominałam. Bo byłaś tam tego popołudnia, na basenie. Czasem was nawet nienawidziłam, Marie, Eleny i ciebie. Mogłyście mnie od tego odwieść, myślałam, mogłyście do mnie krzyknąć: „Pamiętaj, co obiecałaś tacie! Powinnaś zostać z bratem!”.

Nie masz pojęcia, co mi chodziło po głowie. Najgorsze było pragnienie, żeby cofnąć czas i potem w ciągu tych dziesięciu minut wszystko zrobić inaczej. Tylko dziesięć przeklętych minut!

Nie, z mężem niewiele o tym rozmawiam, właściwie wcale, opowiedziałam mu o wszystkim krótko po tym, gdy się poznaliśmy, i tyle. Nie chcę go tym obciążać, ma dość problemów. I co mi da ciągle odgrzewanie tej sprawy gadaniem? Robiłam to w domu przez cztery lata, z psychiatrą, z terapeutką.

Nic mi nie da, przeciwnie, ciągnie mnie to w dół i jest jak kamień u szyi, z którym z trudem staram się pozostać na powierzchni. I po prostu patrzeć, jak udaje mi się przeżyć jeden dzień po drugim jak najlepiej. Paul chyba to zrozumiał i po prostu ze mną był. To mi bardziej pomogło. W ogóle przeprowadzka do Wiednia to była najlepsza decyzja. W domu wszystko przypominało mi o Andreasie i o tym, co się stało. Każdy w mieście o tym wiedział! Każdy! I w sąsiednich miejscowościach! Nie mogę myśleć o tych na wpół współczujących, na wpół żądnych sensacji spojrzeniach.

Gdy potem przeprowadziłam się do Wiednia, wszystko było inaczej. Byłam zwykłym człowiekiem, zwyczajną studentką pośród setek innych! Mogłam zacząć nowe życie. Tu nikt nie wiedział o moim zmarłym bracie, nikt oprócz Paula. I tak jest do dziś.

Nie, nieprawda, przed rokiem opowiedziałam o tym komuś jeszcze.

Często myślę o tym, jak wielkie miałam szczęście, że wtedy we Włoszech poznałam Paula. Chciałam podczas tej podróży odnaleźć

siebie, a znalazłam męża. Bez niego nigdy bym się nie odważyła wyjechać z domu i kto wie, czy wówczas jeszcze bym żyła. Nie powinnam tak mówić? Znowu bym spróbowała.

Gdyby ten wypadek się nie zdarzył, nie pojechałabym wtedy sama do Włoch. Masz rację.

Wszystko w naszym życiu ma ze sobą jakiś związek. Jest jak pajęcza sieć, w której jesteśmy uwięzieni. Robimy, co robimy, bo w naszej przeszłości zdarzyło się, co się zdarzyło. Obieg zamknięty. Albo właśnie pajęcza sieć.

Dajmy spokój tym starym historiom. Chcę się teraz po prostu nacieszyć tym, że tu jesteś, i spędzić z tobą wspaniały dzień.

Daj mi to zdjęcie. Lepiej sprzątnę to pudełko ze zdjęciami i pojedziemy do miasta. Tak?

Chcesz wiedzieć, kim jest ten ktoś, kto przed rokiem się o tym dowiedział.

Opowiem ci.

## Maj 2015

### Elix

Jeśli nie przeszkadza ci, że mogę mówić tylko szeptem, chętnie opowiem ci tę historię z rekinem. Interesuje cię? Tak? Tak czy owak nie możemy zasnąć.

Nie, nie, nie boli mnie gardło, to nie to, tylko straciłem głos, już jakiś czas temu, nie mam pojęcia dlaczego. Jakby reszty było mało.

Piętnaście lat temu podróżowałem przez cały rok na katamaranie z dwoma przyjaciółmi, zeglowaliśmy z Australii aż do Afryki Południowej przez Lombok, Bali, Madagaskar i Mozambik. Katamaran zbudowaliśmy własnymi rękami, w pobliżu Perth.

Mówię ci, co to był za rok! Z perspektywy – najpiękniejszy w moim życiu. Najbardziej luzacki, najbardziej odjazdowy, najbardziej ekscytujący. Teraz to wiem. I tam, pod Lancelinem – to mała osada na zachodnim wybrzeżu Australii – walczyłem z rekinem. Nie, nie bujam.

W lipcu 1999 roku poleciałem z przyjacielem do Australii. Z Maksem. Mieszkaliśmy w Wiedniu razem z innym studentem w jednym mieszkaniu.

Znasz go. Był tu już kilka razy. To ten, który zawsze przynosi sałatki.

Co studiowałem? Geografię i informatykę.

W Perth czekał na nas inny mój przyjaciel, Alessandro, przyjechał z Rzymu. Alessandro zeglował od małego, od wielu lat mieli z ojcem własny mały jacht, był więc wśród nas żeglarskim profesjonalistą. Ten rejs on i ja planowaliśmy już od dawna. Ponieważ uważałem, że we trzech będzie lepiej, zapytałem Maksa, czy chce popłynąć z nami, a Alessandro się zgodził. Max był z zawodu kucharzem, przejąłby więc kambuz, dzielenie żywności, zakupy na bazarach, targowanie się, sprzątanie pod pokładem. Tak, umiejętności kulinarne też były

powodem, by go zabrać. Poza tym był to dowcipny, wesoły facet, z którym spokojnie można było się upić. Alessandro był raczej milczący i czasem trochę surowy. Ja też całkiem nieźle umiałem żeglować, miałem prowadzić dziennik pokładowy, pomagać Alessandrowi albo go zastępować, byłem odpowiedzialny za różne naprawy na pokładzie i za łowienie ryb. We trzech idealnie się uzupełnialiśmy.

Kupiliśmy stary, zepsuty katamaran o długości dziesięciu i szerokości pięciu metrów i w ciągu dwóch miesięcy doprowadziliśmy go do stanu, w którym mógł pływać po morzu. Dla kaprysu ochrzciliśmy łódkę „Marilyn”. Przedtem trwały rozliczne dyskusje, bo każdy chciał ją nazwać imieniem swojej aktualnej dziewczyny, ale trzy imiona nie wchodziły w rachubę.

À propos dziewczyn. Te oczywiście zostały w domu. Jak się w tym czasie nazywała moja? Verena. Razem studiowaliśmy. Moja pierwsza wielka miłość. Ale gdy wróciłem po roku, już nie była moją dziewczyną, znalazła innego. Jak miała na imię dziewczyna Maksa, już nie pamiętam, Alessandro miał Giulię.

Ale kobiety były też na plażach Perth. Nawiązaliśmy na kilka tygodni bliższy kontakt z pewną Nowozelandką, Jane, i dwiema Angielkami, Liz i Samanthą. Tak dokładnie to pamiętam, bo niedawno wpadł mi znów w ręce dziennik pokładowy, to było przy przeprowadzce do nowego mieszkania, opowiadałem ci o tym. Godzinami siedziałem w starym mieszkaniu na podłodze obok na wpół spakowanego kartonu i czytałem go. Wszystko stało się znów tak realne. Wydawało mi się, że słyszę obok szum morza i ostre krzyki mew.

A potem ogarnął mnie taki żal, że zacząłem płakać. Dopóki nie pojawił się Max i strasznie się rozszłościł, bo wciąż jeszcze nie spakowałem książek z regału. Wyniósł pełne kartony, wsadził je do swojego busa i zawiózł do nowego mieszkania. Dziennik pokładowy musiał wyjąć mi z ręki, podarowałem mu go. Co miałem z nim zrobić? Moje nowe mieszkanie jest o wiele mniejsze, więc i tak nie miałem miejsca, żeby wszystko zatrzymać, dużo rzeczy rozdałem, a wiele po prostu wyrzuciłem. To było dobre ćwiczenie. Mam na

myśli rozstawanie się z różnymi rzeczami.

Przepraszam, odbiegam od tematu. Z moją koncentracją chwilowo nie jest za dobrze.

Wracając do „Marilyn” i do tego rekina. I do Jane, Liz i Sam. Te trzy kobiety za dnia były na plaży, surfowały, pływały, nurkowały z fajką. Czasem pomagały nam przy budowie łodzi albo zaopatrywały nas w jedzenie. Nie dawało się pohamować ich zapału. Sam była nieźle zadurzona w Alessandrze. Zabawnie było przysłuchiwać się ich rozmowom, bo jego akcent po angielsku brzmiał pysznie. Liz złapała się za Maksa i pozwalała mu prawie co wieczór dla siebie gotować, utyła przy tym z dziesięć kilogramów, no, teraz przesadziłem. Jane powiedziała mi, że mam *great body* i *that's it*, a kiedyś stwierdziła, że ze mną byłoby *funny*, nic więcej jej najwyraźniej nie interesowało, dzięki Bogu, była najmniej skomplikowana z nich wszystkich. W sześćcioro spędziliśmy wiele wspólnych wieczorów, tak, również nocy. Nie, nie to miałem na myśli, zawsze parami, rzecz jasna. Zanim wypłynęliśmy, długo świętowaliśmy na pokładzie przy wspaniałej kolacji i mnóstwie alkoholu.

O dziesiątej rano wyruszyliśmy, w kierunku Lomboku i Bali, wzdłuż zachodniego wybrzeża. Znajomi nam machali. Czułem odrobinę nostalgii, bo na tej plaży spędziliśmy cudowny czas pełen interesujących znajomości i rozmów. Budowa łodzi sama w sobie była pasjonująca – wspaniałe doświadczenie i wyzwanie.

Kilka mil od brzegu Jane, Liz i Sam wygramoliły się nagle z żagielkoi, zupełnie skacowane. Nie mogliśmy tego pojąć! Ukryły się tam jeszcze w nocy. Podczas uroczystości pożegnalnej wszyscy za dużo wypiliśmy, zwłaszcza panie były pijane, gdy wieczorem parami padliśmy na koje. Kto na czyjej był koi, nie pamiętaliśmy już dokładnie, ale zakładaliśmy, że Jane spała ze mną, Liz z Maksem, a Sam z Alessandrem. Gdy to on zbudził mnie o dziewiątej rano, powiedział z uznaniem:

– Więc jednak mają klasę i oszczędziły nam scen.

Żadnej z nich już nie było.

A potem stanęły przed nami, na bardzo chwiejnych nogach. Alessandro był tak zły, że kopnął prawą nogą w burtę i coś sobie przy

tym uszkodził, Max nie mógł opanować śmiechu. Było jasne, że musimy je odstawić na brzeg, miało to nas kosztować wiele godzin. Wiatr był akurat idealny. Ja też nie mogłem stłumić śmiechu, wszystkie wyglądały jak zwłoki, Sam od razu zaczęła rzygać na środku pokładu, na ten widok Alessandro znowu dostał napadu szału. Siedziały potem, biedne, w kambuzie, dopóki koło Lancelinu nie spuściliśmy na wodę pontonu i nie odstawiliśmy ich na ląd. Sam znów chciała rzucić się Alessandrowi na szyję, ale on gwałtownie się odwrócił, nie wyglądała szczególnie apetycznie, taka zielona na twarzy, w T-shircie upapranym wymiocinami i wciąż jeszcze śmierdząca alkoholem. Szybko odpłynęliśmy pontonem, a one patrzyły z przystani za nami i stawały się coraz mniejsze.

Ponieważ odczuwaliśmy skutki picia alkoholu, spędziliśmy resztę dnia i wieczór w pobliżu Lancelinu. Leżeliśmy na słońcu, potem Max ugotował spaghetti. Alessandro był tak zły, że nie powiedział ani słowa. Po południu zawarłem znajomość z pewnym rekinem. Płynął prosto na mnie, kiedy nurkowałem z rurką i fajką, ale z początku zupełnie go nie zauważyłem. Gdy na chwilę się wynurzyłem, dostrzegłem, że Max i Alessandro na „Marilyn” intensywnie machają rękami i coś pokazują.

Wtedy zobaczyłem płetwę grzbietową. To było jak w filmie! Płetwa grzbietowa kieruje się wprost na ciebie, a ty wpadasz w panikę. Tylko że tym razem nie leżysz na kanapie. Płynąć z powrotem do katamaranu nie mogę, bo to zdecydowanie za daleko, a poza tym drogę odcina mi rekin. Płetwa błyskawicznie się do mnie zbliża, a ja gapię się na nią jak skamieniały, no tak, błyskawicznie to przesada, raczej spokojnie do mnie pod pływa, i to naprowadza mnie na myśl, czy to aby nie jest młody rekin. Zmuszam się zatem do spokojnych, powolnych ruchów i zanurzam się pod wodę, by mu się przyjrzeć. I rzeczywiście, to mały rekin, musi być bardzo młody, wiem, że muszę go chwycić za ogon i trzymać, że tylko tak mogę go zabić. Ale do tego potrzebowałbym noża, którego nie mam. I to jest mój problem. Rzeczywiście udaje mi się przytrzymać go obydwoma rękami za ogon – szarpie się jak wściekły.

Znów się wynurzam i krzyczę do Maksa i Alessandra, że potrzebuję



noża. Chwilę to trwa, zanim pojmują, o co mi chodzi, prawie wpadam w panikę, bo rekin tak dziko się miota i szamocze. Muszę się maksymalnie skupić, żeby mi nie uciekł. Widzę, że moi towarzysze pospiesznie szukają naszego noża myśliwskiego, aż w końcu – wydaje mi się, że trwa to całą wieczność – Max wskakuje do wody z dużym kuchennym nożem w ustach. Płyne kraulem w moim kierunku, zanurza się za mną i wbija go w rekina, który z początku jeszcze dziko się szarpie, a potem stopniowo słabnie. Alessandro, z nożem myśliwskim w garści, pływa do nas i pomaga nam wciągnąć martwego rekina na „Marilyn”. Na pokładzie najpierw pozwalam sobie na piwo, podczas gdy oni mocują się z rekinem. Jestem wyczerpany. Alessandro gratuluje mi refleksu, a obaj cieszą się z zapasów, które teraz możemy zrobić. Mięso rekina jest bardzo bogate w białko i smaczne.

Cieszyłem się, że myśleli tak samo jak ja i nie lamentowali, że te kochane zwierzęta, że mord i że to straszne. Musieliśmy w końcu zgromadzić zapasy suszonej ryby! Podzieliliśmy więc rekina, napięliśmy sieć, ułożyliśmy na niej surowe kawałki do suszenia, a na tym moskitierę, bo muchy były dość uciążliwe. Wieczorem Max podał steki z rekina, a ja według jego instrukcji upiekłem chleb.

Tak wyglądał początek naszego rejsu.

Kilka dni później Alessandro znalazł w żagielkoi biustonosz. Zgadywaliśmy, do kogo mógł należeć, na podstawie wielkości miseczek Max typował Liz. Alessandro zaintonował piosenkę *Time to Say Goodbye*, wersję Andrei Bocellego i Sarah Brightman, przycisnął przy tym biustonosz do swojej piersi i dramatycznym gestem rzucił go potem do morza. W końcu on też mógł się z tego śmiać.

Co było dalej? Jeszcze cię to nie znudziło? Przeciwnie?

Zostaliśmy kilka dni przy północno-zachodnim wybrzeżu i sąsiednich wyspach, żeby zebrać dalsze zapasy. To niewiarygodne, ile ryb bierze w godzinę! Nie wyobrażasz sobie! Było jak w rajach, tak to było beztrudne i odprężające. W owym tygodniu odkryłem swoją *passion to fish fish, no girls*, jak to nazwał Max. W każdej późniejszej podróży było dla mnie ważne, żebym mógł do woli łowić i wieczorem usmażyć na patelni albo upiec nad ogniem, zależnie od warunków,

własnoręcznie złowioną rybę.

Potem popłynęliśmy dalej, w kierunku Lomboku.

Dla Maksa był to pierwszy długi rejs na pełnym morzu, miał biedak straszną chorobę morską, skurcze żołądka wykańczały go całymi dniami. Nie mógł pracować jako kucharz, więc ja przejąłem kambuz. Alessandro oczywiście zrzędził na moje kulinarne wyczyny.

Odprawa w pierwszym porcie na Lomboku, chyba w Kucie, była najciekawsza. Na pokład weszło trzech celników, chcieli zobaczyć nie tylko listę wwożonych towarów, lecz dość bezczelnie przekopali wszystko. W końcu wskazali cztery kartony papierosów i chcieli je zabrać. Wzbraniałem się. Na to oni sięgnęli do szafy na żywność po duży worek ryżu, a Max totalnie się wkurzył. Urzędnicy dali nam do zrozumienia, że chcą albo papierosy, albo ryż, ale my uparcie się broniliśmy, zaczęli więc nas wyzywać, ale niewiele rozumieliśmy z tego, co mówili. W końcu pochwycili nasze paszporty i zniknęli z nimi. Byliśmy wykończeni i nie wiedzieliśmy, co robić. Po południu znów się pojawili i zażądali papierosów i ryżu, nie było mowy o jakimś albo-albo. Z wioski wypłynęło duże kanu z dwunastoma mężczyznami na pokładzie i skierowało się w stronę naszej „Marilyn”. Ogarnęła mnie panika i już byłem gotowy oddać im wszystko. Nie miałem odwagi nawet sobie wyobrazić, jakie zamiary mieli ci mężczyźni.

Alessandro nie dał się jednak zmiękczyć – podczas wcześniejszych rejsów z ojcem zebrał dostatecznie dużo doświadczeń ze skorumpowanymi celnikami – i nakrzyczał na nich po angielsku. Niewiele to pomogło, wydawali się zupełnie nie reagować. Jeden wskazał nawet jego lniane spodenki i kapelusz Maksa – te rzeczy też mieli zdjąć i im wręczyć. W końcu Alessandro miał dość, włączył zewnętrzny silnik i dał mi znak, żebym podniósł kotwicę. Wyglądaliśmy prawdopodobnie na bardzo zdecydowanych, bo nagle skapitulowali, rzucili nasze paszporty na pokład i wsiedli do swojej małej łodzi. Nie mieli już czasu, bo przyływ był bardzo silny, a wiosłowanie z powrotem byłoby dla nich tym trudniejsze, im dłużej zostaliby u nas na pokładzie. Mężczyźni w kanu wygrażali nam pięściami.

W Buleleng na Bali zostaliśmy przez celników potraktowani bardzo przyjaźnie, tak było również potem we wszystkich innych portach. Na Bali cumowaliśmy w Buleleng i Benoi i żyliśmy bardziej niż po królewsku. Po miesiącu znów nabraliśmy ochoty na żeglowanie, dostatecznie już daliśmy się rozpuścić. Tym razem trzem Amerykankom. Zabraliśmy się do przepłynięcia Oceanu Indyjskiego.

To były tak cudowne dni, kiedy przepełniała nas niewiarygodna euforia, nie potrafię tego opisać! Byliśmy tacy dumni z naszej „Marilyn”, którą tak dobrze się sterowało. Jaki wspaniały katamaran sobie zbudowaliśmy! Często po prostu leżeliśmy na pokładzie na słońcu i myśleliśmy o hałasie, ruchu ulicznym i smrodzie, czasem o kobietach, przyznając. Gdy tak leżeliśmy i żartowaliśmy, czasem zdarzało się, że wpadła nam na kolana jakaś latająca ryba. Jeśli była zbyt mała, Max wyrzucał ją z powrotem za burzę, a jeśli uznał jej wielkość za dostateczną, zjadaliśmy ją na kolację.

Zaraz będzie jedzenie, też to słyszysz? Nie, nie jestem przesadnie głodny.

Gdzie jeszcze zawijaliśmy?

Byliśmy na Wyspie Bożego Narodzenia, Mauritiusie, Madagaskarze, żeby wymienić tylko kilka miejsc, i na wielu małych, nieznanach wyspach. Ostatnim miejscem była Praia do Tofo w Mozambiku, a w Durbanie, w Republice Południowej Afryki, sprzedaliśmy naszą „Marilyn”. Z ciężkim sercem, jak sobie możesz wyobrazić. Wsiadliśmy do samolotu, który przeniósł nas z powrotem do Europy, a tam pochwyciła nas codzienność. Tak zaczął się nowy rozdział w naszym życiu, zwłaszcza dla Alessandra, który ożenił się ze swoją Giulią i któremu szybko urodziła się czwórka dzieci, jedno po drugim. No i dorobił się wielkiego brzucha. Czas długiego rejsu dobiegł dla niego końca, dla mnie właściwie też.

Dlaczego? No cóż, ponieważ studenckie życie się skończyło i zacząłem pracować. Gdzie? W dużej agencji reklamowej. Ale od pięciu lat jestem samodzielny, pracuję jako fotograf i projektant stron internetowych. I dlatego, że już nigdy więcej nie znalazłem tak wspaniałych partnerów do żeglowania, z którymi chciałbym żyć miesiącami w ciasnej przestrzeni. Max zakręcał się jako kucharz

na „Queen Mary 2”, później wyjechał do Berlina i na kilka lat straciliśmy się z oczu.

Kim są moi klienci? Małe przedsiębiorstwa turystyczne z Tyrolu Południowego, przede wszystkim z Val Pusteria i pobliskich dolin, rolnicy prowadzący gospodarstwa agroturystyczne, ale też właściciele pensjonatów, drobni hotelarze. Robię piękne zdjęcia ich domów, podwórek, hoteli. Potem tworzę z tego idealną stronę internetową.

Tak, owszem, pochodzę z Tyrolu Południowego. Ale mieszkam już od dwudziestu lat w Wiedniu, zostałem tu po studiach. Mój brat był pierwszą osobą, która poprosiła mnie, bym zrobił dla niej profesjonalną stronę internetową, potem zgłaszało się coraz więcej znajomych z doliny, którzy chcieli, by im też pomóc. Później się to rozrosło i wszyscy byli tacy wdzięczni! Wtedy wpadłem na pomysł, żeby się usamodzielnić.

Tak, dobrze mi idzie, nawet bardzo dobrze.

Lubię być panem samego siebie. Chcę sam decydować, kiedy i na jak długo wyjeżdżam. Ten przepis z pięcioma tygodniami urlopu w roku był chyba główną przyczyną, dla której koniecznie chciałem zostać wolnym strzelcem. To po prostu było dla mnie za mało, mam na myśli te pięć tygodni.

Właściwie chciałbym go powtórzyć, ten długi rejs pod żaglami. To zawsze było moje marzenie: uciec od życia na rok albo dwa, mieszkać na łódce i żeglować, do Azji Południowo-Wschodniej i dalej. Dlaczego do tego nie doszło, nie potrafię precyzyjnie powiedzieć. Wprawdzie wiele podróżowałem, ale zawsze tylko przez dwa, najwyżej trzy miesiące. Może byłem zbyt tchórzliwy.

No, jest jedzenie.

Czy po południu wróci moja żona i przyniesie coś do jedzenia? Papaje i truskawki? To nie jest moja żona, tylko przyjaciółka.

Nie to miałaś teraz na myśli, prawda?

Na pewno przyjdzie.

# Wrzesień 2015

## Max

Rozbierz się.

Tu możesz położyć swoje rzeczy.

Położ się na łóżku.

Nie, nie tak! Czekaj.

Zginasz prawe ramię i układasz je pod głową, lewa dłoń leży na kości łonowej, nie tak kurczowo, swobodnie. Twarz odwracasz do mnie, ale na mnie nie patrzysz, tylko skupiasz się na jakimś punkcie dalej, w górze. Tak, dokładnie, patrzysz na ten obraz tutaj, nie, ten tutaj, ten z wiolonczelistką, patrzysz na niego. Lekko otwórz usta. Uginasz lewą nogę, prawa zostaje wyprostowana. Odstaw ją trochę bardziej.

Nie tak nieśmiało! Z takim ciałem nie musisz się wstydzić.

Tak jest idealnie.

Jeśli będzie ci zimno, powiedz. Albo kiedy będziesz potrzebowała przerwy.

Podoba ci się ten obraz z wiolonczelistką? Nawet bardzo?

Przyznaję, że mi też. Artysta ma preferencje, jeśli chodzi o własne dzieła. Ze wszystkich swoich obrazów najbardziej lubię ten. Chociaż jest partacki i amatorski, tak, taki jest, i jeśli jesteś przeciwnego zdania, to znaczy, że chcesz mi się podlizać. Nie musisz. Kiedyś chciał go ode mnie odkupić pewien bogaty mężczyzna w Berlinie, proponował mi za niego bardzo dużo pieniędzy. Namalowałem dla niego inny, bo ten chciałem zatrzymać. Tak czy owak, ten drugi był lepszy.

To pierwszy z pewnej serii, a właściwie z dwóch serii. Namalowałem go w lipcu 1994 roku. W Rzymie. Tak, miałem osiemnaście lat. A więc zapamiętałaś moją datę urodzenia! Jestem pod wrażeniem. Wiele łączy mnie z tym obrazem. Wspomnienie

o pewnej dziewczynie. Moje pierwsze lato za granicą pełne poczucia wolności. Później przełom w moim życiu. Wiele mu zawdzięczam.

Czy była moją dziewczyną? Ta wiolonczelistka? Nie, nie! Jaką rolę odgrywała w moim życiu? Żadnej. Nie, nie spałem z nią.

Nie rozumiesz tego? Że nie odgrywała w moim życiu żadnej roli, a mimo to ją namalowałem? I że ten obraz potem miał w moim życiu tak duże znaczenie? Ale tak jest.

Chcesz wiedzieć, kim była? Ależ jesteś ciekawska.

Przypadkiem siedzieliśmy w tym samym przedziale w pociągu. To wszystko. Dobrze kombinujesz, moja miła, w drodze do Rzymu. Wsiadła w Innsbrucku ze swoją wiolonczelą i weszła do przedziału, w którym siedziałem. Czy byliśmy sami w przedziale? Nie, było tam też dwóch innych mężczyzn, nie, tylko jeden, ten drugi wsiadł dopiero w Bolzano. Pamiętam to dokładnie, bo ja byłem tym, który zapytał tę dziewczynę, czy wiolonczela mogłaby usiąść gdzie indziej. Postawiła ją na siedzeniu naprzeciwko siebie. Uważałem, że to dowcipne pytanie, ona najwyraźniej nie. A ten mężczyzna pomógł jej potem położyć wiolonczelę na półce na bagaż.

Czy była ładna? Nie, nie była. Dobrze, może i była. Ale była Kimś, kto był Nikim. Nie rozumiesz tego? Nie była nikim szczególnym, nie rzucała się w oczy. Była typem kobiety, który się wprawdzie widzi, ale tak naprawdę się go nie zauważa. Wszystko w niej było zwyczajne, nie miała klasy. Szara myszka, mówisz? Nie uwłaczaj szarości! Określiłbym ją raczej jako bezbarwną, i tak też się zachowywała, jakby chciała być niewidzialna.

Nie ruszaj się! Patrz na ten obraz, nie na mnie!

W jakim wieku? Oceniałem ją na mniej więcej osiemnaście, dziewiętnaście lat, może była ciut starsza. Rankiem wysiedliśmy w Rzymie i pożegnaliśmy się. Dwa dni później nawet nie pamiętałem jej imienia.

Ale zanim się rozeszliśmy, zagrała nam coś na swojej wiolonczeli. Na peronie. Poprosiło o to tych dwóch pozostałych mężczyzn i chociaż z początku pozornie się wzbraniała, co mnie dosyć wkurzało, zrobiła to jednak. Co grała? Już nie pamiętam. Ale grała bardzo dobrze. Ludzie przystawali i słuchali. I nagle stała się zupełnie

inną kobietą! Emanowało z niej coś, co działało na ludzi. Również na mnie. Nieśmiałość zniknęła jak sen, wyczuwało się jej wewnętrzną siłę.

Wiele lat później wpadło mi na to w Berlinie do głowy odpowiednie słowo, które wtedy nigdy by mi nie przeszło przez myśl, mianowicie *charyzma*. W 1994 roku nie było go jeszcze w powszechnym użyciu, później weszło w modę. Każda połówka dekady ma swoje modne słowa. W połowie lat osiemdziesiątych modne stało się pojęcie *dynamiczny*. W prawie każdym ogłoszeniu o pracę szukano dynamicznego człowieka albo wręcz człowieka, który „posiadał dynamikę” – nieważne, czy był uczniem, czy kierownikiem filii, i nieważne, w jakim zawodzie. W dzieciństwie wyobrażałem więc sobie człowieka, który miał ciało podobne do rakiety, nie mam pojęcia dlaczego. Mając dziewięć lat, namalowałem takiego raketoc człowieka. Mojej nauczycielce się nie podobał. Powiedziała potem do dyrektorki:

– Obawiam się, że on jest lekko opóźniony w rozwoju.

Stałem pod drzwiami klasy i słyszałem to.

Nie powinnaś mieć miny współczującej, tylko zmysłową.

Później trzeba było znów wszystko robić w *duchu zespołowym*. Modne też było słowo *istotny*, nie w ogłoszeniach, lecz w dyskusjach, komentarzach, esejach, relacjach prasowych. Wszystko było *istotne* albo *nieistotne*. Cały świat nam tak objaśniano. Później mówiło się o *konformizmie* albo *nonkonformizmie*.

Kiedy więc ona grała na tym peronie, musiałem pomyśleć o dziewczynie, którą znałem, gdy byłem w szkole głównej<sup>1</sup>. Pierwsza wielka miłość? Raczej uwielbienie. Miała na imię Regina. Wróciły wszystkie wspomnienia.

W każdym razie dostałem gęziej skórki. Koniecznie chciałem utrwalić ten nastrój. Wyciągnąłem szkicownik i węgiel z plecaka i naszkicowałem ją. Zrobiłem trzy szybkie szkice, z różnych perspektyw. Tylko ona z instrumentem, całkiem duża, z przodu i z boku. Na koniec ten peron ze stojącymi i przechodzącymi ludźmi, z pociągiem w tle, wiolonczelistką pośrodku.

Na dwa dni zamknąłem się w swoim maleńkim pokoju

w pensjonacie, zrobiłem pięć rysunków węglem i zacząłem obraz olejny. Ten tutaj, na który masz teraz patrzeć. Nie patrz na mnie! Pracowałem jak szalony. W ciągu lata był gotowy. Pod koniec września wróciłem do Wiednia. Co poza tym robiłem w Rzymie? Pracowałem jako portrecista w pobliżu Schodów Hiszpańskich. Całkiem nieźle zarabiałem. Nauczyłem się trochę po włosku. Piłem za dużo piwa. Flirtowałem z turystkami. Nie, żadnej nie poderwałem. Na to byłem wtedy zbyt nieśmiały.

Czy ją później spotkałem? Tę wiolonczelistkę? Tę z czasów mojej szkoły głównej czy tę z pociągu? Obydwie później spotkałem. Tę drugą, tę z pociągu, spotkałem półtora roku temu, i to u przyjaciela, Feliksa. Zaprosił mnie na kolację i ona też na niej była. Nie poznałbym jej, gdyby mi wcześniej nie powiedział, kim jest. Potem czasem umawialiśmy się we troje. Nie, teraz już nie. Już od dwóch miesięcy. Bo...

Dajmy temu spokój.

Tę pierwszą spotkałem na jej weselu, mniej więcej piętnaście, szesnaście lat temu. Nie, nie jako gość, pracowałem jako kucharz w hotelowej restauracji. Byłem odpowiedzialny za zupy i zimne przekąski w weselnym menu. Zanim stres na dobre rozpanoszył się w kuchni, poszedłem do toalety, żeby sobie zwalić gruchę. Swoją cenną spernę schowałem w małym woreczku na mrożonki, który mocno zawiązałem na supeł i włożyłem do kieszeni w spodniach. Zanim podano zupy dla państwa młodych, udało mi się przekłuć woreczek, wlać zawartość do jej talerza i wymieszać. Talerz narzeczonej zaznaczyłem dla kelnera serduszką z małych listków bazylii, co jej matka uznała za wyjątkowo słodkie.

Dlaczego to zrobiłem? Dlaczego chciałem, żeby zjadła moją spernę? Nawet tego nie zauważyła. Tylko jej matka mówiła potem, że zupa córki miała wyjątkowo kremową nutę.



# Czerwiec 2015

## Paul

Co mi dzisiaj doskwiera, pytasz?

Wiem, chcesz mnie uspokoić. Dobrze mnie znasz, wiesz, że zawsze wszystko rozważałem i biłem się z myślami. Za bardzo?

Miałem szczęście z rodzinnym domem, pięknym dzieciństwem i młodością. Szkoła była dla mnie dziecinną igraszką, moja kariera zawodowa była z góry wyznaczona, nie musiałem się męczyć z aplikacjami, odmowami, zapuszczaniem korzeni w jakiejś firmie, niskimi zarobkami. To wszystko prawda.

Dobra, potem miałem trochę pecha, bo poznałem młodą kobietę i się rozwiódłem, chociaż mieliśmy dziecko. Ale coś takiego zdarzyło się nie tylko mnie, to codzienność. Przez jakiś czas byłem sam, a potem poznałem we Włoszech swoją obecną żonę. Pasujemy do siebie. Ja dużo pracuję. Nasze dzieci dobrze się rozwijają. Mamy dobre życie.

To jedna z typowych historii na tym świecie, prawda? Nic szczególnego.

A jednak. Tak jest tylko z zewnątrz. To, co wrze pod powierzchnią, jest właśnie tym, co mi doskwiera.

Co tam wrze, pytasz?

Wina.

Mam na myśli nie tylko ogólną winę, którą codziennie ponosimy. O tym często kiedyś dyskutowaliśmy, pamiętasz? Piliśmy niedrogą kawę, jedliśmy tanią czekoladę, nosiliśmy T-shirty za kilka euro i w ten sposób wspieraliśmy wyzysk ludzi w innych krajach. Przechodziliśmy obojętnie obok ludzi, którym wiodło się źle, i naszym stylem życia, naszymi działaniami wspieraliśmy system klasowy.

Nie mam na myśli tej formy winy. Czuję się winny jako jednostka.

Moją pierwszą żonę poślubiłem, bo po pierwsze, chciałem dać nauczki ojcu, a po drugie dlatego, że przeżyła w młodości silną traumę. A i to jeszcze nie wszystko. Zakłopotany patrzysz w stół.

Myślisz, że przesadzam i że katolickie wychowanie moich rodziców wciąż jeszcze wisi nade mną jak wielki umoralniający palec wskazujący. Być może, ale wiem, że nie tylko o to chodzi.

Wiesz, że w dzieciństwie ci zazdrościłem?

Myślisz, że nie było powodu?

Może twoja rodzina nie była tak zamożna jak moja, ale uwierz mi, twoje dzieciństwo było bogatsze. Bogatsze w empatię, spontaniczność, radość, bez troskę. Również wolność. Mogłeś być rozbrykanym dzieciakiem. Siedziałem u ciebie na obiedzie przy stole i dziwiłem się, bo było tak głośno i swobodnie. Każdy mógł mówić, kiedy chciał, a nie tylko wtedy, gdy się do niego zwrócono. Rzucano dowcipy, również dosadne, a twoi rodzice śmiali się z kawałów swoich dojrzewających dzieci. Pozwalali wam wylać waszą frustrację na szkołę, na niektórych nauczycieli albo kolegów, rodzice hamowali was tylko, gdy się zanadto zagalopowaliście albo wyzwiska były za mocne.

U nas w domu zawsze coś się wysoce uroczyście i sztywno celebrowało. Co? Odpowiedzialność, poczucie obowiązku, stanowczość, świadomość celu, tradycję. Nasza codzienność, całe nasze życie rodzinne było tym przepojone. Ponosimy odpowiedzialność za społeczeństwo, również za rodzinę i nasze nazwisko. Mamy obowiązek służyć społeczeństwu oraz rodzinie. I wszystko, co robimy, powinno mieć sens i być wierne tradycji.

Jeśli społeczeństwo nie ma ze mnie pożytku, równie dobrze mogę nie żyć. Jeśli robię coś, co nie ma żadnego sensu, to graniczy ze śmiesznością. Nie, oczywiście, nikt tego tak dosłownie nie wyrażał! Ale moi dziadkowie i moi rodzice żyli według tych zasad, a siostra i ja tak zostaliśmy wychowani. Nie żyliśmy tak po prostu. Żyliśmy *świadomi odpowiedzialności i z sensem*. W najbardziej dosłownym znaczeniu tych słów. Wszystko było rytuałem albo przynajmniej miało w sobie coś bezosobowo rytualnego, zawsze pobrzmiwało w tym jakieś głębsze znaczenie. Gdy moi rodzice ze sobą rozmawiali, zawsze przyjaźnie i uprzejmie, nie brzmiało to, jakby się kochali, tylko jakby chcieli nam, swoim dzieciom, pokazać, że małżonkowie traktują się

nawzajem z szacunkiem.

Nosiłem do szkoły koszulę, nie T-shirt, od pierwszego dnia. Przy jedzeniu prowadzono kulturalną konwersację. Siedzieliśmy prosto i nie narzekaliśmy, o gadaniu głupstw nawet nie wspominam. Mówiło się wiele o polityce, o wydarzeniach na świecie, czasem też rozmawialiśmy na tematy naukowe lub etyczne. Wykształcenie było najważniejsze. Podczas posiłków nie tylko jedliśmy, nas kształcono i wychowywano. W ten sposób rodzice wcześniej nauczyli nas prowadzenia idealnej, kulturalnej rozmowy o wszystkim i niczym. W wieku piętnastu lat rozmawiałem podczas kolacji z prezydentem na temat polityki zagranicznej Stanów Zjednoczonych i nie było to dla mnie nic nadzwyczajnego.

W szkole mieliśmy być lepsi od innych. *Byliśmy* lepsi od innych, pod każdym względem, już przez samo nasze pochodzenie. W wieku szesnastu lat chciałem podjąć normalną wakacyjną pracę, to był 1981 rok, jako kelner w jakiejś kawiarni, tak jak wielu kolegów z klasy. Ale mój dziadek powiedział tylko pogardliwie moim rodzicom:

– Chcecie mu na to pozwolić? To by było rzucanie pereł przed wieprze!

W reakcji na to mój ojciec załatwił mi stanowisko praktykanta w biurze burmistrza.

Kiedyś, jeszcze dobrze to pamiętam, nie chciałem w gimnazjum stanąć do wyborów na gospodarza klasy i ojciec przeprowadził później ze mną poważną rozmowę. Nie, nie zbeształ mnie, z przykrością mi zakomunikował, że jest rozczarowany, ponieważ nie wziąłem pod uwagę swojej odpowiedzialności w grupie kolegów. Bo jeśli ktoś miałby dobrze rozumieć tę odpowiedzialność, to właśnie ja, Dalberg, powinienem.

Byliśmy wychowywani w świadomości, że jesteśmy inni i lepsi. Ale biada, gdybyśmy sobie pozwolili na arogancję, przechwałki albo rozrzutność! To były ciężkie wykroczenia, za które byliśmy karani. To było coś dla nowobogackich, my natomiast powinniśmy być wprawdzie pewni siebie, ale z gruntu skromni i zdystansowani.

Nie chcę przez to powiedzieć, że nasi rodzice i dziadkowie nas nie kochali. Oczywiście, że tak. Że w naszym dzieciństwie nie było

serdeczności, też nie mogę powiedzieć. Święta rodzinne i kościelne były u nas bardzo uroczyście obchodzone, nie zapomniano o żadnych imieninach czy urodzinach. Obejmowano nas też i całowano. Właściwie mieliśmy bardzo bezpieczne dzieciństwo. Nikt nas nigdy nie bił ani na nas nie krzyczał, przeciwnie, rzadko można było usłyszeć podniesiony głos. A mimo to odczuwałem jakiś ciężar, ograniczenie, coś było wciąż tłumione, ale nie potrafiłbym powiedzieć, co to było. Każdego dnia przykładem uczono nas, jak mamy oceniać świat, jakie wartości i poglądy mamy reprezentować, jak mamy kształtować swoje marzenia i jak dyscyplinować swoje potrzeby. Dalberg nie traci kontroli nad sobą. Trzeba też było oczywiście odpoczywać i jeździć na wakacje, ale tylko po to, by potem znów być gotowym do pracy. Pracy samej w sobie, dla rodziny, dla społeczeństwa. Życie to nie tylko przyjemności. Nie chodziło o szczęście jednostki, lecz o dobrobyt i uznanie całej rodziny, i o przykład dla społeczeństwa. Człowiek dbał o słabszych, nie oceniał ich, finansował i wspierał dobroczynne projekty. Rodzice chcieli świat czynić lepszym, tak, w gruncie rzeczy byli też idealistami, nie zamierzali jedynie cieszyć się swoim bogactwem. Mimo to chyba pobrzmiewało w tym coś jeszcze: pomagamy światu na zewnątrz tak długo, jak długo on zostawia w spokoju nasz uprzywilejowany światek.

Nie, nie, nie zrozum mnie źle. Nie chcę się skarżyć, niczego mi nie brakowało. Chcę ci tylko opowiedzieć o tym, o czym wcześniej nie umiałem z tobą rozmawiać.

Moja matka była troskliwa i została z nami w domu, nawet gdy już podrośliśmy. Angażowała się honorowo w kilku dobroczynnych stowarzyszeniach, poza tym musiała planować życie towarzyskie ojca. Często miewaliśmy gości, ważnych ludzi. To nie były bezcelowe spotkania z przyjaciółmi, z którymi zjada się chili con carne, a potem siedzi przed telewizorem i ogląda mecz. To były dokładnie zaplanowane wydarzenia towarzyskie, w których uczestniczyliśmy od maleńkości i podczas których traktowano nas jak dorosłych.

Brzmi to tak, jakbym dorastał w jakiejś innej epoce niż ty, chociaż tak jak ty urodziłem się w 1965 roku. Moi rodzice obracali się

głównie w takich kręgach i dlatego wydawało mi się to normalne. Jednej z bocznych linii mojej rodziny, to chyba był brat mojego pradziadka, nadano nawet tytuł szlachecki. Kancelaria adwokacka naszej rodziny istniała od 1851 roku i w kwestiach konstytucyjnych powoływali się na nią radcy dworu. Mój dziadek zawsze z dumą to podkreślał. Urodził się w 1894 roku i jemu najtrudniej było radzić sobie z coraz szybszymi zmianami i wyzwaniem w kancelarii. Gdy wciąż sugerowałem ojcu, byśmy zajęli się również rozwodami i sprawami karnymi, że musimy się rozwijać, to właśnie on najbardziej się przed tym bronił. Do tego czasu kancelaria zajmowała się głównie prawem związanym z działalnością gospodarczą, prawem spółek handlowych, towarzyszyliśmy zakładaniu firm, wielkim przejęciom, fuzjom. Inne sprawy ojciec zawsze uważał za niehonorowe, zbyt obrzydliwe.

Mógłbym ci jeszcze bardzo wiele opowiedzieć. O naszych wakacjach, podczas których albo zwiedzaliśmy miasta, bo to należało do kulturalnego wykształcenia, albo dużo wędrowaliśmy, jeździliśmy konno, łowiliśmy. Umiłowanie przyrody było ważne, a jeszcze ważniejsze było zdrowe ciało. Nie było leżenia tygodniami na plaży i leniuchowania. Pijackich eskapad też nie było, a jeśli, to bardzo rzadko. Jeżeli pozwoliłem sobie na zbyt wiele, łaskawie dawano mi do zrozumienia, że głupota młodych ludzi jest wprawdzie wytłumaczalna, ale teraz już dosyć na dłuższy czas. W weekendy spaliśmy co prawda nieco dłużej niż zwykle, ale też nie wstawaliśmy w środku dnia. W niedzielę chodziliśmy razem na mszę; również gdy miałem osiemnaście lat, musiałem towarzyszyć rodzicom.

Ty miałeś swobodę wyboru swoich planów na przyszłość. Sam zaplanowałeś i ukształtowałeś swoje życie, a twoi rodzice cię wspierali. Studiowałeś medycynę, bo tego chciałeś i odpowiadało to twoim skłonnościom i zainteresowaniom.

Ja przyszedłem na świat i było oczywiste, że będę studiował prawo i że przejmę tę wielką kancelarię adwokacką, najstarszą w Wiedniu, należącą do mojego ojca. I najbardziej renomowaną, dorzuciłby w tym miejscu on. Poza tym zarządzanie nieruchomościami w Wiedniu i dobrami ziemskimi w Styrii. Nie było żadnych

wątpliwości, wiedziałem to już w wieku trzech lat i wyrastałem z tą świadomością. Będę dobrym adwokatem i przez jakiś czas zajmę się ewentualnie polityką, jak mój dziadek i ojciec. Nie było innej możliwości, a ja tego nie kwestionowałem. Nie musiałem odkrywać, jakie mam skłonności, wszystko było przesądzone. Byłem synem, miałem kontynuować tradycje rodzinne i w dodatku nie przynieść wstydu nazwisku Dalberg. To był zwrot używany często przez mojego dziadka: nie okryć hańbą rodziny, firmy. Tak, on był naprawdę z innej epoki. To jego najbardziej dotknęło moje pochapne małżeństwo z Isabellą i rozwód.

Takie było moje dzieciństwo.

Nie, nie było złe, tylko czasem było ciężko, tak, coś ciągnęło mnie do ziemi. Chociaż w dzieciństwie nie byłem świadomy tego ciężaru, to przyszło później. Jako nastolatek i student chciałem się zbuntować przeciwko pełnemu konwencji światu moich rodziców, uważałem go za drobnomieszczański i staromodny, i dokładnie w tym czasie poznałem swoją pierwszą żonę.

Później zrozumiałem, że to nie zależało od reprezentowanych przez nich wartości i postaw, bo z wieloma potrafię się zidentyfikować, tak, poczułem to jako dorosły, że ich sposób życia odpowiada mojemu. Dobrze, ich poglądy mogłyby być bardziej otwarte i swobodne, jeśli chodzi o przemiany społeczne, mogliby być bardziej nowoczesni. Byli tak bardzo konserwatywni, miało się wrażenie, że spoczęła na nich warstwa kurzu. Ale czy nie na tym polegają zmiany pokoleniowe? Chciałem być wolny, rozwijać się samodzielnie, znaleźć własną drogę. Nawet jeśli ta droga miała prowadzić tam, skąd się przyszło.

Isabellę poznałem na mikołajkach mojej matki. Co roku około szóstego grudnia matka organizowała przedświąteczną imprezę dla przyjaciół, współpracowników kancelarii i ważnych klientów, zwykle na mniej więcej sto osób, wśród nich kilku polityków i bogatych przedsiębiorców. Jej mikołajki były legendarne i bardzo je lubiano, co roku miała nowe pomysły. W tym roku zaproszony był kabareciarz, który żartował dla zabawy z wielu gości.

Mimo to się nudziłem. Miałem dwadzieścia jeden lat i rok wcześniej wyprowadziłem się do swojego mieszkania, tak, słusznie,

do mieszkania przy Döblinger Hauptstrasse 27, mieszkałem z innym studentem prawa. Na dwudzieste urodziny ojciec podarował mi trochę pieniędzy z radą, bym je dobrze ulokował. Kupiłem za to mieszkanie, nieruchomości nie była zła. Sprzedał mi je starszy człowiek, znajomy ojca, handlarz winem, który w tym mieszkaniu przez trzydzieści lat prowadził sklep z winami. Było stare i niedrogi, na więcej za te pieniądze nie było mnie stać. Tak, na o wiele mniejsze i owszem, ale nie chciałem mieszkać sam, wolałem wziąć do spółki innego studenta.

Dość pośpiesznie się tam wprowadziłem, bo nie mogłem się doczekać swobód studenckiego życia, zleciłem tylko szybkie malowanie pokoi i sam je umeblowałem. Rodzice zinterpretowali mój pośpiech jako skromność i ucieszyli się.

Ale moje życie we własnym mieszkaniu nie było tak całkiem niezależne, rodzice obstawali przy wspólnych niedzielnych obiadach i jednej wspólnej kolacji w tygodniu, najczęściej we środy. Ojciec upierał się poza tym przy cotygodniowej wizycie w kancelarii, która trwała godzinami. Chciał mnie przezornie i sumiennie wprowadzić w obowiązki adwokata i przyuczyć do późniejszego prowadzenia kancelarii. Nienawidziłem tych wizyt. Siedziałem tam obok niego przy olbrzymim biurku i wysłuchiwałem suchych faktów z historii przedsiębiorstw, które wchłaniały inne przedsiębiorstwa, firm, które ogłaszały upadłość. W tym czasie napięcia między nami zaczęły wychodzić na jaw. Nie mogłem się już powstrzymać i w końcu nabrałem odwagi, by powiedzieć, że nie prowadziłem kancelarii w tym kształcie. Bardziej niż firmy interesują mnie ludzie. Chciałbym pracować nad innymi sprawami, reprezentować ludzi, którzy nie mieli w życiu tak lekko jak ja. Tak, również ludzi, którzy zeszli na manowce. Tacy też mnie interesowali, dlatego zapisałem się na kilka seminariów z psychologii. To był inny świat, który mnie fascynował, chciałem go zrozumieć.

Pamiętasz to? Tak, dużo z tobą o tym rozmawiałem. Również tutaj, w Kosmosie.

Ale wracając do mikołajek, na których się nudziłem, dopóki nie zacząłem rozmawiać z Isabellą. Nie, nie była gościem, należała do

personelu firmy cateringowej. Jak wszystkie kelnerki nosiła kostium Świętego Mikołaja z bardzo krótką spódniczką i głębokim dekoltem obszytym białym pluszem, sznurowane, wysokie czarne buty do kolan i małą czapkę Mikołaja, która przekrzywiła się na jej upiętych włosach. To był pomysł matki.

Wyglądała cholernie dobrze.

Widziałeś Isabellę kilka razy, prawda?

Uważasz, że była bardzo sexy? Taka też była, ale nie tylko. Była pełna temperamentu, niekonwencjonalna i w żadnym razie nie była nudna.

Na Wielkanoc wyprowadził się z mieszkania mój kolega ze studiów, a Isabella wprowadziła się na jego miejsce.

Ojciec szalał z wściekłości, matka – z rozczarowania, i prawdopodobnie dlatego ten związek był dla mnie jeszcze bardziej ekscytujący.

Też chcesz jeszcze jedno piwo?



## Grudzień 2015

### Juliane

Widzisz ten dom po lewej?

Nie, nie ten szary, niski, tylko ten brudny, żółty, wysoki dom obok, mam na myśli ten z dużymi, wąskimi oknami.

Serce zawsze mi przyspiesza, gdy obok niego przejeżdżam.

To są okna kuchni w mieszkaniu na parterze. Gdy intensywnie o niej myślę, znów czuję jej zapach. Nie, był w porządku, lubiłam go! W ogóle całe mieszkanie lubiłam! Czułam się w nim bardzo dobrze! Również po tym, gdy ten mężczyzna się wyprowadził i odwiedzałam go gdzie indziej, lubiłam myśleć o tym mieszkaniu, w którym wszystko się zaczęło.

Tak, dokładnie, ten mężczyzna jest, oprócz Paula, jednym człowiekiem w Wiedniu, któremu powiedziałam o swoim salcie z dziesięciometrowej wieży wprost na głowę mojego brata. Ściślej mówiąc, *był* jedynym człowiekiem. Dlaczego? Czy się wyprowadził?

Daj mi opowiedzieć po kolei.

To typowe mieszkanie w starym budownictwie, z dużymi, wysokimi pomieszczeniami, nędznie wyposażoną kuchnią i łazienką. Kto teraz w nim mieszka? Od roku stoi puste. Jest w remoncie, tak sądzę.

Odwiedzałam tu tego mężczyznę przez sześć miesięcy. Kiedy się zaczęło? Po Nowym Roku miną dokładnie dwa lata od czasu, kiedy pierwszy raz zadzwoniłam do tamtych drzwi. Byłam mocno zdenerwowana, możesz mi wierzyć. Czy Paul o tym wiedział? Nie, oczywiście, że nie! Przynajmniej wtedy jeszcze nie.

Jak miał na imię ten mężczyzna? Felix.

Wszystko zaczęło się w styczniu przed dwoma laty. W pewnej galerii w pierwszej dzielnicy, w pobliżu katedry św. Szczepana. Wystawa nazywała się „TravelLust” i pokazywała zdjęcia z podróży.

To były zdjęcia ludzi z różnych krajów na świecie, porywające w swojej jednoznaczności. Naprawdę bardzo mi się podobały. Wprawdzie nie znam się za dobrze na tego rodzaju sztuce, ponieważ Paul i ja wolimy chodzić na koncerty niż na wystawy, ale coś było w tych fotografiach.

Przedstawiały poganiacza osłów na przełęczy Laudan w Tadżykistanie. Dwóch młodych mężczyzn na katamaranie. Filipińskie dziewczęta, śmiejące się na plaży przy ognisku. Bezzębne stare kobiety na chińskich polach ryżowych. Małe dzieci na wodnych bawołach w pobliżu Phnom Penh. Południowotyrolskich górali z kosami na polu.

Wyjątkowe w tej wystawie było to, że pomiędzy zdjęciami wisały obrazki, rysunki węglem i obrazy olejne, zdjęcie służyło jako baza do obrazu. Były dziełem malarza o nazwisku Max Bauer.

Przechodziłam, pod naprawdę dużym wrażeniem, od sali do sali. Potem, w przedostatniej, zobaczyłam ten obraz. To był duży, olejny obraz, mniej więcej osiemdziesiąt centymetrów na metr, przedstawiał wiolonczelistkę. Młoda dziewczyna siedziała na czymś, czego pod jej długą, szeroką spódnicą nie mogłam rozpoznać, i grała na swoim instrumencie. Dość zatopiona w sobie. Otaczali ją ludzie, którzy się jej przysłuchiwali, a w tle stał pociąg. Obraz był namalowany jaskrawymi farbami, z wszelkimi detalami.

Obok wisiał kolaż wykonany ze zdjęć – siedmiu starych, po części pogniecionych fotografii. Pokazywały dziewczynę z tej samej perspektywy, tylko coraz bliżej. Pierwsze przedstawiało ją pośrodku peronu pełnego podróżnych, którzy szybko przechodzili obok niej, tylko nieliczni przystanęli, w tle pociąg. Na ostatnim była tylko pochylona, skupiona twarz.

To ja byłam tą wiolonczelistką, przed dwudziestu laty. Tak, dobrze słyszałaś. Od razu siebie rozpoznałam.

Zdjęcia zrobiono na peronie dworca Roma Termini. I wiedziałam też, kto je zrobił. To był pewien młody chłopak z Tyrolu Południowego, którego poznałam w pociągu.

Miał na imię Felix.

Zaparkuję tutaj. Stąd możemy pójść na piechotę do centrum. Masz

ochotę trochę się przejść?

Co za przypadek, mówisz? Że poszłam akurat na wystawę, na której wisiał ten obraz i zdjęcia ze mną?

Zapowiedź tej wystawy przeczytałam w gazecie kilka dni wcześniej, nie, właściwie tylko przeleciałam wzrokiem po nagłówku. O tym obrazie z wiolonczelistką dowiedziałam się poprzedniego wieczoru, od córki.

Emilia powiedziała do mnie przy jedzeniu:

- Widziałam cię dziś w jednym muzeum, na takim obrazie olejnym.
- O czym ty mówisz? – zapytał ją Paul.
- Wisi tam obraz z mamą! Gra na wiolonczeli i jest jeszcze młoda – odpowiedziała.

Śmiejesz się? Ty w oczach swoich dzieci też już jesteś stara? Dla Emilii wszyscy po trzydziestce są starzy.

Emilia zrelacjonowała nam potem na swój głośny, ożywiony sposób szczegół po szczególe, jak doszło do tego, że przed południem nagle stanęła obok tego obrazu. Jej klasa poszła na krótką wycieczkę do galerii z młodym nauczycielem wuefu, który musiał zastąpić chorą nauczycielkę plastyki. Dokładnie opowiedziała, na co zachorowała nauczycielka i dlaczego dyrektor przydzielił im w zastępstwie akurat nauczyciela wuefu.

Snuli się więc po wystawie i gapili bardziej na swoje komórki niż na obrazy i zdjęcia. Emilia zauważyła obraz z tą wiolonczelistką chyba tylko dlatego, że nauczyciel wuefu w ostatniej sali pocałował swoją dziewczynę, która do nich dołączyła. Emilia i jej koleżanki zareagowały na to oczywiście wielkim poruszeniem i chichotami, jak możesz sobie wyobrazić. Stały obok tego obrazu z wiolonczelistką i gapiły się na drugą stronę innego pomieszczenia, na tych dwoje. Dopóki Emilia nie obróciła głowy trochę w bok i nie spojrzała na obraz.

A wieczorem powiedziała mi:

- Widziałam cię dziś w jednym muzeum, na takim obrazie olejnym.

Tak, tak to było, tak dowiedziałam się o tej wystawie i o tym obrazie. To zdanie postawiło moje życie na głowie, ono popchnęło to,

co potem zaczęło się toczyć.

Później często myślałam o tym, że gdyby nauczycielka plastyki nie zachorowała, gdyby nauczyciel wuefu nie zadzwonił do swojej dziewczyny, gdyby ci dwoje się nie całowali... Prawdopodobnie nie dowiedziałabym się o tym obrazie.

Nazajutrz była sobota. Siedziałam sama w kuchni, Emilia jeszcze spała, Leon został u kolegi na noc, miałam go odebrać po południu. Paul wstał wcześniej rano i pojechał do biura, on ciągle dużo pracuje, odkąd jego ojciec przeszedł na emeryturę. Jak zwykle jego kołdra była porządnie odłożona, poduszki i prześcieradło wygładzone. Wypiłam kawę i spojrzałam na ogród, śnieg błyszczał w słońcu, ogarnął mnie znany od dawna melancholijny nastrój. Poczułam się samotna.

Postanowiłam pojechać do centrum, trochę pospacerować, wejść do galerii, a potem zabrać Paula z kancelarii i razem z nim zjeść obiad. Obok wejścia do galerii stała zapowiedź wspólnej wystawy fotografa Feliksa Hofmanna i malarza Maksa Bauera: „TraveLust”. Nazwisko tego malarza już obilo mi się o uszy, fotografa znałam osobiście. Przypomniałam sobie podróż pociągiem przed dwudziestu laty i to, jak tamtego wieczoru daremnie na niego czekałam.

Stałam przed obrazem z tą wiolonczelistką i starymi zdjęciami i wiedziałam, że chcę znów zobaczyć Feliksa.

Zapytałam kobietę w kasie, czy i jak mogę się skontaktować z tym fotografem, a ona odpowiedziała:

– Pan Hofmann jest z przyjaciółmi w bibliotece. – I pokazała mi drogę.

Tak, spotkałam się znów z Feliksem. A potem wszystko potoczyło się bardzo szybko.

Nigdy nie słyszałaś jego imienia, bo nigdy o nim nie opowiadałam. W ogóle niewiele o sobie opowiadałam? Wiem, i teraz mi przykro.

Jestem ci wdzięczna, że mnie nie zmuszałaś do mówienia o osobistych sprawach. Ani po tym wypadku, ani podczas twoich wizyt w Wiedniu. To dla mnie oznaka prawdziwej przyjaźni. Nie mam, jak inne kobiety, potrzeby ciągłego strzępienia sobie języka, bo

muszę wszystko w najdrobniejszych detalach z kimś omówić.

Wiesz o tym? Uważasz mnie za outsiderkę od śmierci Andreasa? Może tak jest.

Nie mam najmniejszej ochoty na rozmowy, w których jedna przyjaciółka rzutuje swoje życie i własne marzenia na drugą w postaci tak zwanych dobrze pojętych rad. Nie muszę natychmiast relacjonować swojego życia wewnętrznego, a przede wszystkim nie lubię omawiać pewnych rzeczy do znudzenia.

O Feliksie nie opowiadałam żadnej przyjaciółce, ty jesteś pierwsza. To była moja tajemnica. Gdybym o tym mówiła, miałabym poczucie, że to zbrukałam. Nikt nie miał się o tym dowiedzieć, to było tylko moje! Później, gdy wszystko potoczyło się tak źle, i tak nie byłam zdolna do rozmowy o tym.

Jeden dzień i trzynaście godzin później zaczął się nasz romans. Jesteś zaskoczona? Ja też byłam. Chociaż stało się to z mojej inicjatywy. To do mnie nie pasuje?

Siedzieliśmy obok siebie na kanapie, w tym mieszkaniu, obok którego przejeżdżałyśmy. To było właściwie bardziej leżenie niż siedzenie, ze stopami na pomocniku, patrzyliśmy w sufit z głowami opartymi o poduszki i opowiadaliśmy sobie anegdoty z naszego dzieciństwa. On wychowywał się w góralskim gospodarstwie w Tyrolu Południowym. Wypiliśmy też więcej, niż trzeba. Odwróciłam się do niego, przysunęłam bliżej i pocałowałam go. Kilka minut później, tuż przed północą, chwiejnie szliśmy do sypialni, mocno przytuleni do siebie. Jego dłoń była pod moją bluzką, mój język w jego ustach.

Jaki był ten pierwszy raz?

Gdy chciał zdjąć mi bluzkę, zaczepił się o nią kolczyk i w końcu musiałam iść do łazienki, żeby się uwolnić. Tam spędziłam trochę czasu, zdjęłam spodnie, rozpięłam biustonosz i położyłam na pralce. Obejrzałam się w lustrze i ogarnął mnie strach, że mu się nie spodobam.

Ciebie też ogarniał w takiej sytuacji? Nie mamy już po dwadzieścia lat, prawda? Zauważy te parę waleczków tu i tam na udach, bliznę na

stopie? – zadawałam sobie pytania. I w ogóle, czy uzna mnie za atrakcyjną? Myślałam: jeszcze możesz się cofnąć, ubrać i pojechać do domu. Jednocześnie nacisnęłam klamkę, weszłam z powrotem do sypialni, a moje serce dziko galopowało.

Felix leżał wyciągnięty na łóżku, nagi, z prawym ramieniem pod głową. Nie był ogolony i to mi się podobało. Tak, podobało mi się, naprawdę! Wyglądało naturalnie, jakoś tak męsko, i pasowało do niego! Co? To, że nie hołdował temu śmiesznemu trendowi.

Jego ciało było dobrze zbudowane, ani za chude, ani zbyt umięśnione, skórę miał gładką i brązową. Uśmiechnął się do mnie i wyciągnął rękę. A potem ogarnęło mnie uczucie, którego nie potrafię opisać.

Poczekaj, spróbuję.

Poczułam się naraz silna i pewna, jakaś taka wyzwolona i pełna energii. Tak jakby w tym początku nowej fazy w moim życiu tkwiła jakaś konieczność. Ale było w tym jeszcze coś innego. Z jednej strony czułam się panią swego życia, która świadomie podjęła decyzję, że zrobi to, co teraz robiła. Z drugiej strony było jednak w tej nocy coś nieuchronnego, los sprawił, że na tym łóżku leżał akurat Felix, nie kto inny. Nie, nie, nie było w tym nic melancholijnego, nic, co mnie ściągało w dół, przeciwnie, czułam się w tamtej chwili taka szczęśliwa! Ale to uczucie, że dzieje się coś ważnego, coś decydującego, coś nadzwyczajnego, mnie nie opuszczało. To nie był tylko tani skok w bok. Brzmi patetycznie, wiem. Być może tylko zakochałam się w tamtej chwili. Albo za dużo wypiałam.

Położyłam się obok niego, on obrócił się na bok, a jego usta szukały mojego ucha.

– Wyglądasz odjazdowo – szepnął, a ja od razu pomyślałam o ostatnim Dniu Matki. Tego dnia Leon udawał rapera i rapował dla mnie przy śniadaniu, tańcząc jednocześnie, w ramach czegoś na kształt show z okazji mojego święta: „Mamo, jesteś wdechowa i odjazdowa, jeee, huuu, jak na mnie patrzysz!”.

Emilia uczyła go tego cały dzień, a my, Paul i ja, wybuchliśmy głośnym śmiechem.

To wtrąciło mnie w kolejny chaos uczuciowy, bo o swoich

dzieciach nie chciałam myśleć tutaj, w łóżku obcego mężczyzny. Ale szybko o nich zapomniałam, i to jak szybko! Dlaczego? Bo Felix zaczął ssać brodawki moich sutków i zapomniałam o wszystkim dookoła. Więcej szczegółów nie będę ci zdradzać, wiem, że nie nalegasz. Tylko tyle: był dobrym kochankiem. Był po męsku stanowczy, a jednocześnie ostrożny i uważny, uważał na mnie, wcale mnie nie obserwując, i tylko dlatego mogłam przewyciężyć swoje zahamowania. Robiłam rzeczy, których z mężem nigdy nie próbowałam.

Dwie godziny później pojechałam do domu.

Dlaczego to się tak szybko potoczyło, pytasz? To cię dziwi najbardziej?

## Maj 2015

### Felix

Zasypianie jest dla ciebie najgorsze?

Dla mnie najgorsze jest przebudzenie rankiem.

Budzę się i myślę: gdzie jestem? Cholera, co się ze mną dzieje? Dlaczego jestem zamknięty? Dlaczego prawie nie mogę się ruszać? Dlaczego tak trudno mi złapać oddech?

A potem kropelka po kropelce sączy się do mojej świadomości ten wielki strach: już nic nie jest normalnie, twoja wolność się skończyła! Nie, on się nie sączy po kropelce, on pojawia się w sekundę i mnie paraliżuje.

Przebudzenie, strach, paraliż, zmuszanie się, by spokojnie oddychać i jasno myśleć, skupić się na śniadaniu, walczyć dalej. Każdego dnia to samo. Do zwariowania. Potem przez cały dzień tak naprawdę nie znika, ten ogromny strach.

Są dni, kiedy w ogóle nie mogę ani nie chcę tego zaakceptować. Wszystko we mnie się przed tym broni! Tak jak wczoraj. Obudziłem się i nic nie ruszało z miejsca. Całą wieczność trwało, zanim udało mi się zebrać, żeby pójść do łazienki. Po prostu nie chciałem wstać. Leżałem w łóżku i czułem się jeszcze bardziej bezwładny niż zwykle. Nie tylko zmęczony i wyczerpany, także sztywny. W łazience usiadłem na sedesie i naprawdę zacząłem płakać. Jak małe, uparte dziecko siedziałem tam i szlochałem. To wszystko jest takie niesprawiedliwe! Oddajcie mi moje normalne życie! Kupka rozpaczy. Puściłem wodę, żebyś mnie nie słyszał przez drzwi. Ledwie przełknąłem śniadanie, obiadu też nie zjadłem. Zupełnie nie czułem głodu. Miałem uczucie, że mój żołądek skurczył się do wielkości paznokcia na kciuku. Przyszła mi nawet do głowy myśl, że może go już nie mam. Może został już zezarty. Czy moje ciało rozkłada się od środka?

Reszta dnia minęła tak samo, byłem niezdolny do zrobienia czegokolwiek, nie mogłem czytać, pracować przy komputerze.



Tak, dlatego byłem wczoraj taki milczący.

Moje myśli tylko kręcą się w kółko. Mój Boże, to wszystko taki straszny gnój! Wszystkie marzenia się skończyły, nie muszę już planować przyszłości, nawet następnego weekendu, nie potrzebuję już iluzji. Nie mogę nawet pójść po zakupy z zaplanowanym wspaniałym menu, którym chciałbym ugościć przyjaciół, nawet pójście do kawiarni na ulicy i wygrzanie się na słońcu jest niemożliwe.

Nie dorosłem do tego, do tego „oto jest dzień, a potem nadejdzie następny”. Nie mogę już słuchać tego gadania. Nie mam już dostępu do własnego życia. Uważałem je zawsze za piękne, to życie, dla mnie nigdy nie było walką jak dla tych, którzy lamentowali, że wszystko jest ciężkie i trudne. Zawsze uważałem się za szczęściarza, który ma talent do korzystania z każdego dnia i nie daje się wykończyć stresowi ani pośpiechowi. Ale teraz ja też walczę, a przede wszystkim nagle pojawiło się to coś, jakby pogarda dla świata i ludzi, i zadaję sobie pytanie, dlaczego tak jest? Dlaczego wszystko się zawala? Gdybym wiedział, od kogo i dlaczego dostałem za zadanie tę walkę, byłoby mi łatwiej.

Czy wierzę w Boga? To dla mnie trudne pytanie. Do niedawna odpowiedziałbym kategorycznym *nie*. Wychowano mnie w duchu religijnym, inaczej u nas na wsi się nie dało. Moja matka robiła to dobrze i bez przesady, jej religijność była pozytywna i pełna radości życia, nie surowa i ascetyczna. Nie musieliśmy co wieczór odmawiać różańca, zmawiać długiej modlitwy przed posiłkiem i po nim, kilka razy w tygodniu chodzić na mszę. Chodziliśmy w niedziele i święta, przed obiadem zmawialiśmy *Ojcze nasz*, i tyle. Wieczorem przychodziła do nas do łóżka i kreśliła krzyżyk na naszych czołach. To było piękne, przede wszystkim to uczucie, które przekazywała nam wraz ze swoją wiarą: jest ktoś, kto nad tobą czuwa, nie martw się.

Mimo to w młodości zauważyłem, że religia nic mi nie daje, ani jej treści, ani ceremonie, i wystąpiłem z Kościoła zaraz po tym, jak przeprowadziłem się do Wiednia. Nie potrzebowałem religii, żeby znaleźć sens życia. Najważniejszy sens życia polega na tym, by pojąć, że nie istnieje żaden sens! Tak myślałem, mając dwadzieścia, dwadzieścia lat.

Ale teraz coraz częściej łapię się na tym, że myślę o Bogu, o Jezusie, o Trójcy Świętej i tej sprawie z niebem. Na tym, że się modlę. To właściwie źle, że człowiek ma taką potrzebę, kiedy mu się źle dzieje, a poza tym nie. Tak, kłócę się z Bogiem i czuję, że chciałbym być wierzący, bo być może wówczas w pewnych momentach strach by mnie tak nie paraliżował. Ale z drugiej strony, gdybym bez zastrzeżeń wierzył w Boga, zadawałbym sobie pytanie, gdzie jest i za co mnie karze. Dlaczego dostaję od ciebie taki potężny cios w łeb? Żyłem według ciebie zbyt egoistycznie?

Dziś wrócił mi apetyt, jestem głodny jak wilk. Dziś jest w ogóle dobry dzień, potrafię się cieszyć z małych rzeczy. Ta mała ruda pielęgniarka jest w wyjątkowo dobrym humorze, chyba ma na imię Sandra. Obchodzi dziś dwudzieste piąte urodziny.

Przedtem kiwnęła na mnie ręką, gdy Sebastian wypychał łóżko z sali, żeby mnie zawieźć na naświetlania, w drugiej ręce trzymała kawałek ciasta, który właśnie nadgryzła. Zapytała mnie z chichotem i pełnymi ustami, czy ja też chcę kawałek. Upiekła je dla niej matka i dała, żeby trochę poświętowała z kolegami na oddziale. I żeby je rozdzieliła między swoich ulubionych pacjentów, tak powiedziała. Zamówiłem też kawałek dla ciebie, mam nadzieję, że się nie gniewasz? Przyniesie je około czwartej do nas do sali, razem z dwiema filiżankami cappuccino.

Jak myślisz? Powinniśmy jej zaśpiewać *Sto lat*?

Dzisiaj miałem czwarte naświetlanie, w sumie muszę przyjąć dwadzieścia, żeby mniej mnie bolały plecy. Jednak dać mi gwarancji, że to pomoże, doktor Perthens nie chciał, ale przynajmniej moja sytuacja ma się nie pogorszyć. Te bóle w plecach są najgorsze. I to, że mogę chodzić już tylko o kulach.

Czy są bolesne? Te naświetlania? Nie, to jest prawie jak wellness. Przedtem dostaję tabletkę uspokajającą, po której przyjemnie odjeżdżam, potem Sebastian wiezie mnie w łóżku na trzecie piętro, gdzie mnie wkładają do rury, w której zwykle zasypiam, tak jest w środku spokojnie. Zawsze czuję się potem bardzo odprężony.

Personel jest tu naprawdę przyjacielski i się stara. Dzisiaj pyta mnie młoda lekarka, która robi znaki na ciele przed wsunięciem w rurę, czy

wolę zielone, czy czerwone kreski na brzuchu. Ponieważ nie mogłem się zdecydować, użyła obydwu kolorów. Teraz na moim brzuchu namalowany jest podwójny krzyż, na zielono i na czerwono, kreski biegną jedna tuż obok drugiej. Przechodzą w poprzek przez pępek, z jednej strony na drugą, dwie kreski wiodą pośrodku tułowia od klatki piersiowej w dół, aż do majtek. Tak jakby ktoś chciał mnie potem poćwiartować.

Tak, dziś jest dobry dzień w porównaniu z wczorajszym.

Słońce świeci. Mój przyjaciel Max przyniesie mi wieczorem sałatkę z kapusty, tę lubię najbardziej. A może też papaję. Jeśli zjem pół papai, łatwiej mi zasnąć. Max uważa, że to wymysł, ale jest mi to obojętne.

Zawsze cieszę się na zasypianie. Kiedy wreszcie mogę odjechać w mrok, to dla mnie jak zbawienie. Chociaż nie umiem tu szybko zasnąć. Wiesz, jestem nocnym markiem, w domu chodzę spać dopiero około drugiej.

Już to zauważyłeś? Jestem jak dla ciebie zbyt niespokojny? Przepraszam.

# Wrzesień 2015

## Max

Chcesz zatem posłuchać o pierwszej wiolonczelistce.

Była starszą siostrą pewnego mojego przyjaciela, którego przez rok odwiedzałem w domu. Właściwie powinienem powiedzieć: wolno mi było go odwiedzać. Bo to nie było takie oczywiste, że chłopaka z domu dziecka tak często się zaprasza. Spędzałem średnio dwa popołudnia w tygodniu u Thomasa w domu, czasem też weekendy, i to był dla mnie raj na ziemi.

Tak, byłem w domu dziecka. Moja słodka, oszczędź sobie współczujących spojrzeń. Dziękuję. Nie od urodzenia, nie, wtedy pewnie miałbym szczęście i znalazł rodziców adopcyjnych. Matka dopiero w piątym roku mojego życia doszła do słusznego przekonania, że lepiej będzie nie narażać mnie więcej na pięści mojego ojca. I jej własną niezdolność do chronienia mnie. I nie, nie byłem przez opiekunów ani wykorzystywany, ani maltretowany, muszę cię niestety rozczarować z tą twoją żądzą sensacji. My, dzieci, załatwialiśmy to między sobą. Dlaczego przy słowach „wychowanek domu dziecka” ludziom od razu przychodzi do głowy wykorzystywanie?

Thomasa poznałem, gdy miałem dwanaście, nie, trzynaście lat, przed jego szkołą. Chodziłem do trzeciej klasy szkoły głównej, on chodził do gimnazjum, które było po drodze do mojego domu. Upadł na chodniku, a ja pomogłem mu wstać i zaniósłem mu potem torbę do domu, bo bolało go ramię. Mogłem zostać na obiedzie, a także po południu, jego matka zadzwoniła do domu dziecka. Graliśmy przez dwie godziny w szachy. Od początku dobrze się rozumieliśmy. Gdy wychodziłem, zapytał mnie, czy chcę znów przyjść w przyszłym tygodniu, i umówiliśmy się na konkretny dzień. Od tego czasu przychodziłem dość regularnie, a jego rodzice to aprobowali, chyba się cieszyli, że ich syn ma w końcu jakiegoś przyjaciela. Nawet jeśli był nim tylko niewychowany nicpoń z domu dziecka. Ktoś, kto prawie

nie otwierał ust. Ktoś, kto nie wiedział, jak się je nożem i widelcem. Wyraźnie było im to obojętne. Naprawdę się mną interesowali. Chcieli wiedzieć, co myślę o pewnych sprawach, czy podoba mi się w szkole i co lubię robić w wolnym czasie. Zwłaszcza w pierwszych tygodniach dużo ze mną rozmawiali, prawdopodobnie, żeby sprawdzić, czy jestem w porządku, czy nadaję się na kolegę ich syna. Można by rzec: poddawali mnie kontroli. Byłem tego świadomy, i pamiętam jeszcze, że mnie to wówczas jako dziecko złościło i urażało. Chcieli wiedzieć, czy jestem dostatecznie dobry. Dla Thomasa i do tego, żeby wchodzić i wychodzić z ich domu. W czasie tych rozmów i po nich czułem się jeszcze mniej wart niż zazwyczaj. Dzisiaj, jako dorosły, a przede wszystkim jako ojciec, potrafię ich zrozumieć. Uwierz mi, chcesz wiedzieć, kim jest człowiek, który spędza tak wiele czasu z twoim dzieckiem. I czego się mniej więcej po nim spodziewać. Te przesłuchania wkrótce się skończyły, a ja czułem, że mnie naprawdę lubią.

Thomas był niepełnosprawny fizycznie, urodził się bez stóp. Nosił protezy, ale one chyba nigdy prawidłowo nie przylegały i często też sprawiały mu ból. Rzadko mógł przejść bez kul więcej niż parę kroków. To wszystko mi nie przeszkadzało. W tym wieku moje sportowe ambicje i tak były mocno ograniczone. A przy masturbacji spokojnie dotrzymywał mi kroku.

Nie patrz z takim przestraczem. A co – jak myślisz – robią chłopcy w tym wieku?

Zajmowaliśmy się oczywiście również innymi rzeczami. Jego olbrzymi pokój dziecinny był dla mnie rajem, mógłbym się tam zaszyć na wiele miesięcy. Było tam pełno skarbów! Ale on się mimo to nudził, z wyjątkiem czasu, który spędzał ze mną. Miał własny telewizor, u nas w domu dziecka był tylko jeden na dziewięćdziesięcioro czworo dzieci, i ze sto filmów na wideo. Ponieważ lubił malować, w skrzyni piętrzyły się stosy bloków i kredek, te podobały mi się najbardziej. Często siedzieliśmy godzinami jeden obok drugiego przy jego wielkim biurku, wymyślaliśmy historyjki i malowaliśmy je, scena po scenie. On lubił rysować superbohaterów, ja wolałem sceny akcji i gołe dziewczyny.

Miał poza tym mnóstwo zabawek, poczynając od modeli samolotów do samodzielnego złożenia przez elektryczne samochodziki na pilota po techniczne Lego i gry towarzyskie. Najchętniej graliśmy w szachy, czasem też w ryzyko albo w talent kupiecki. Nie znasz tej gry, jesteś na to za młoda. To się dziś nazywa chyba monopol. Obaj nie mieliśmy kupieckiego talentu, po prostu rozdawaliśmy domy i zwalnialiśmy tego drugiego z czynszu. Kiedyś ojciec Thomasa zobaczył, jak gramy, i zezłościł się na nas.

– Przedsiębiorczość jest ważna, nie powinniście jej lekceważyć – napomniął nas, a Thomas tylko chichotał.

Był odnoszącym sukcesy przedsiębiorcą, człowiekiem samowystarczalnym, wszystko sam zbudował. Co robił zawodowo, już dokładnie nie pamiętam, to chyba miało coś wspólnego z nieruchomościami. Byli obrzydliwie bogaci i mieszkali w trzypiętrowej willi, pięknie urządzonej, ani przesadnie luksusowej, ani zbyt nowoczesnej, po prostu przytulnej i stylowej. Lubiłem tam przychodzić. Matka Thomasa miała dobry gust, musiałem to przyznać. Ta kobieta w ogóle była bardziej w porządku, mężczyzna był jak dla mnie trochę za głośny i zbyt prostacki, zachowywał się czasem jak typowy nuworysz. Całe drugie piętro było zarezerwowane tylko dla dzieci: pokój Thomasa, jego własna łazienka, pokój Reginy, jej łazienka, pokój gościnny z łazienką, oddzielny hol podobny do bawialni. Ale rzadko z niego korzystali, bo niezbyt chętnie przebywali razem, a ich pokoje były i tak dostatecznie duże.

Regina była o trzy lata starsza od Thomasa i wyglądała niewiarygodnie wystrzałowo. Podziwiałem ją od pierwszego dnia. Prawie ją czciłem, bo sprawiała wrażenie starszej, niż była, wyglądała już jak młoda kobieta. Może też byłem w niej trochę zakochany, nie wiem. Co znaczy zakochanie w tym wieku? Szybsze dochodzenie do orgazmu, kiedy się sobie wyobrazi tę osobę?

Czy wyobrażałem sobie Reginę? Tak, owszem.

Thomas był pupilem rodziców, to było od razu widać, zauważyłem to już przy pierwszej wspólnej kolacji. Albo dzieckiem specjalnej troski. O chore dziecko rodzice prawdopodobnie bardziej się troszczą i martwią. To zdrowe wychowuje się mimochodem obok. Ale to, że

Regina musiała być o młodszego brata zazdrosna do obłądu, przyszło mi do głowy dopiero później.

Grała na wiolonczeli. Dziś powiedziałbym, że nie była specjalnie utalentowana, ale w wieku trzynastu lat nie potrafiłem tego ocenić, dla mnie przepięknie brzmiało to, co ćwiczyła. Thomas grał na pianinie, ale ćwiczył znacznie mniej niż siostra. Ona była ambitniejsza. Dla rodziców, myślę, to była sprawa prestiżu, żeby dzieci uczyły się gry na instrumencie, bez względu na zdolności lub ich brak.

Gdy zobaczyłem ją pierwszy raz, akurat ćwiczyła. Szliśmy obok jej otwartego pokoju do Thomasa, a ona siedziała wyprostowana jak świeca pośrodku pomieszczenia i grała jakiś powolny kawałek. Musiałem przystanąć i posłuchać. Thomas też stanął i robił miny. Czują, że ktoś ją obserwuje, przestała grać i stanęła przede mną. Bez uśmiechu podniosła smyczek w geście nakazującym bratu, by zamknął drzwi.

Kiedy się tylko dało, próbowałem się do niej zbliżyć. Nie po to, żeby z nią rozmawiać, na to byłem zbyt nieśmiały, tylko żeby po cichu ją obserwować. Ona by ze mną nie rozmawiała, zachowywała się w stosunku do mnie wrednie i arogancko. Jeśli w ogóle się do mnie zwracała, była to co najwyżej lekceważąca uwaga. Lubiłem na nią patrzeć, zwłaszcza gdy grała na wiolonczeli. Wydymała wtedy wargi, to podobało mi się najbardziej. Kiedyś wieczorem malowałem ją w domu dziecka, ale ten obrazek mi się nie udał i go podarłem.

Dobrze się czułem w domu Thomasa. Wszystko tam wydawało mi się idealne. Troskliwa matka. Ciepło. Serdeczność. Drobne upominki. Wspólne posiłki, przy których rozmawiało się o głupotach. Wieczory przed telewizorem, podczas których wszyscy uwalali się na kanapie i jedli popcorn. Przytulny wystrój, duży pokój wypełniony zabawkami. To był prawdziwy dom, a nie dom dziecka, w którym opiekun pytał, czy lekcje są już odrobione, i wieczorem wysyłał do łóżka.

Czy byłem zazdrosny? Może trochę. Nie było tak, że zżerany zazdrością siedziałem w pokoju Thomasa i z nienawiści najchętniej bym mu wyrwał konsolę do gry, żeby ją wyrzucić przez okno.

Thomasowi nie można było zazdrościć. Z powodu braku stóp? Nie tylko z tego powodu, ale też dlatego, że był przyjacielski, spokojny, prawie łagodny. Powiedziałbym raczej, że byłem dumny, nie zazdrosny. W domu dziecka miałem specjalną pozycję dzięki swoim wizytom w tej willi, starsze dzieci zostawiały mnie w spokoju, opiekunowie byli dla mnie miłsi.

Ale bywały oczywiście chwile, kiedy myślałem, że też bym tak chciał. Zwłaszcza w Boże Narodzenie. Zostałem zaproszony dwukrotnie, rok po roku, na święta Bożego Narodzenia. Te dwie Wigilie to były najpiękniejsze przeżycia w całym moim dzieciństwie. Bez przesady. Ta rodzina dawała mi poczucie, że do niej należę. No cóż, z jednym wyjątkiem – Reginy. Była w stosunku do mnie lodowata, zwłaszcza podczas drugich świąt Bożego Narodzenia, wtedy miałem już czternaście lat i chodziłem do czwartej klasy szkoły głównej. Nie traktowałem tego poważnie albo nie byłem aż tak świadomy, bo nie miałem żadnego doświadczenia ze starszymi dziewczynami. Myślałem, że wszystkie są kapryśne i chłodne.

Nic do mnie nie docierało! Nie miałem bladego pojęcia o tym, co się wokół mnie działo. Byłem taki naiwny! I zajęty sobą. Dojrzewanie, burza hormonalna, wypryski, kompleksy, mózg pełen odurzających snów na jawie. Po prostu pełny program.

Poprzedniej jesieni rodzice Thomasa wciąż pytali o moje plany na przyszłość. Do jakiej szkoły chciałbym pójść? Czy od razu uczyłbym się zawodu? Wyznałem im, że najchętniej poszedłbym do gimnazjum i zrobił maturę. Ale opiekunowie i kierownictwo domu dziecka skłaniali mnie do nauki zawodu. Dla dzieci z domu dziecka to była utarta ścieżka, człowiek powinien się cieszyć, że znalazł miejsce, gdzie mógł odbyć naukę zawodu i staż i nie musiał pracować jako pomocnik. O tym, że chciałem studiować w akademii sztuk pięknych i zostać malarzem, nie śmiałem powiedzieć. Moje marzenie wydawało mi się nierealne i dziecinne. Ale Thomas im to zdradził i podczas mojej kolejnej wizyty jego ojciec mi z tego powodu dokuczał. Nie uszczypliwie, nie, raczej życzliwie.

– No, mały Picasso – przywitał mnie.

– Naprawdę masz talent – powiedziała matka. – Nie powinieneś



tracić swego celu z oczu.

I na gwiazdkę podarowali mi sztalugi, bloki, węgiel rysunkowy i farby olejne.

Wkrótce po tym drugim Bożym Narodzeniu zabroniono mi odwiedzać Thomasa. To spadło na mnie jak grom z jasnego nieba. Święta jeszcze spędziłem u nich, również sylwestra świętowałem w willi. Dwa dni później ojciec Thomasa zadzwonił do domu dziecka i poprosił mnie do telefonu. Bez owijania w bawełnę zakomunikował, nawet nie niegrzecznie, że moje wizyty nie są od tej chwili mile widziane, że mam zostawić jego dzieci w spokoju i że życzy mi wszystkiego dobrego. Żadnych wyjaśnień, bo po co. Nic.

To było dla mnie jak detronizacja. Skrajnie upokarzające. Po prostu mnie spławili i ze wstydu najchętniej zapadłbym się pod ziemię. W domu dziecka kilkoro dzieci się ze mnie śmiało. Dlaczego teraz wciąż przesiaduję z nimi? Czyżby ten bezstopy wykopał mnie ze swego życia? Po dwóch tygodniach kipiała we mnie złość. Musiałem poznać powód i zacząłem się na Thomasa przed szkołą. Gdy mnie zobaczył, zdenerwował się i chciał mnie ominąć. Nie ustąpiłem, nie przepuściłem go i zadawałem wciąż to samo pytanie: dlaczego? Dlaczego?

Aż w końcu wykrzyczał:

– Nie powinieneś być tego robić! Tego z twoją... twoją spermą! Nie musiałeś walić konia nad jej poduszką i wiolonczelą! Lakier odprysnął! Jesteś chory!

Zupełnie mnie sparaliżowało.

– Sam przecież w to nie wierzysz – odparłem. Po jego twarzy widziałem, że jest zdezorientowany. – To ona jest chora! – rzuciłem i poszedłem.

Po tygodniu zadzwoniłem do jego matki. Bo nie chciałem, żeby to przeszło tak po cichu! Ale ona po prostu odłożyła słuchawkę. Tydzień później postanowiłem napisać list do jego rodziców. Nie dlatego, że byłem zainteresowany dalszymi kontaktami, przeciwnie, i dziesięć koni nie zawlekłoby mnie już za próg tej willi. Napisałem więc, że tego nie zrobiłem i że chciałbym dostać szansę, by się bronić, w obecności Reginy. Poza tym dziękuję za wspaniałe czas spędzony

u nich. Ale odpowiedzi nie dostałem.

Cztery lata później dowiedziałem się prawdy. Od samej Reginy. W pewnym barze, w sobotę o czwartej nad ranem. Pochlaliśmy z kolegą z pracy. Nie, z gimnazjum nici. Nauka na kucharza w pewnym hotelu. Podeszła do baru w swoich szpilkach w towarzystwie kilku osób, między innymi Thomasa, była pijana. Thomas nazywał się teraz Tom i dobrze wyglądał, był pewny siebie. Najwyraźniej miał już dopasowane protezy, chodził bez kul, a jego niepełnosprawność była prawie niezauważalna. Regina obchodziła swoje dwudzieste pierwsze urodziny.

Zalana w sztok wytrąbiła to i turlała się ze śmiechu: podczas mojej ostatniej nocy w willi w Nowy Rok wysmarowała swoją wiolonczelę efektami – dwukrotnego, co z dumą podkreślała – wytrysku swojego chłopaka, u którego była wieczorem. Zabrała spermę do domu w plastikowym woreczku. Następnego ranka, gdy już poszedłem, oburzona pokazała wiolonczelę swoim rodzicom i z płaczem dodała, że to nie był pierwszy raz. Na poduszce, na toaletce, na majtkach w szufladzie, wszędzie to znajdowała. Nie chciała skarżyć, bo widziała, jak bardzo wszyscy mnie kochali. Więc ryczała. Rodzice jej uwierzyli, zwłaszcza gdy spytali Thomasa, czy dużo się onanizuje i czy Regina mi się podoba, a on na obydwa pytania zgodnie z prawdą odpowiedział „tak”.

Tom stał obok zakłopotany i nie mógł jej pohamować. Został ze mną jeszcze chwilę, gdy ta paczka już wyszła, żeby odprowadzić do domu nawaloną jubilatkę. Przepraszał mnie. Opowiedział mi, że rodzice poważnie się zastanawiali, czy mnie przyjąć jako rodzina zastępcza. Myśleli już nawet o tym, do jakiego gimnazjum mnie posłać, jak przemeblować dla mnie pokój gościnny. Regina zupełnie oszalała z zazdrości.

– Nie miała lekko z takim bratem jak ja – wyjaśniał. – Wszystko zawsze kręciło się wokół mnie, a potem jeszcze wokół ciebie.

Kilka miesięcy później wyznała mu prawdę, której tak czy owak od początku się domyślał.

– Jest moją siostrą – powiedział, wzruszając ramionami. – Co miałem zrobić? Potem, gdy ty już nie przychodziłeś, zawsze była dla

mnie miła.

Jowialnie poklepał mnie po ramieniu, a potem poszedł.

Pół roku później pojechałem do Rzymu, gdzie wiolonczelistka przypomniała mi Reginę. I wszystko inne. Moje zakochanie, czasy z Thomasem, tę willę, moje marzenia, by zostać malarzem, jej paskudny żart. Po prostu musiałem namalować tę wiolonczelistkę.

I kolejne cztery lata później znów spotkałem Reginę, na jej weselu, i ugotowałem jej specjalną zupę.

Tak, dowiedziała się, co zjadła.

Zanim pojechałem do domu, przeszedłem przez salę i znalazłem ją. Było już po północy, paliła na hotelowym tarasie. Podeszedłem do niej i chwytając się za rozporek spodni, zapytałem, czy smakowała jej zupa z tą dobrą przyprawą. Jak zareagowała? Najpierw patrzyła szeroko otwartymi oczami, a potem krzyknęła za mną:

– Ty draniu!

Włóż szlafrok, zrobimy w kuchni przerwę na kawę.

Jak miała na imię ta druga wiolonczelistka? Juliane.

Ale już po dwóch dniach nie pamiętałem jej imienia. Wielu ludzi pytało mnie o nią, na wernisażach, wystawach, w wywiadach: „Kim jest? Czy była pańską przyjaciółką?”. Ale ja nic o niej nie wiedziałem. I zakładałem, że nigdy więcej jej nie spotkam, szczerze mówiąc, nawet o tym nie myślałem. W ogóle o niej nie myślałem.

Dopóki półtora roku temu nie zobaczyłem jej siedzącej przy stole u mojego przyjaciela. Bogu dzięki!

## Czerwiec 2015

### Paul

Tego i owego o tym, że życie z moją pierwszą żoną stało się dla mnie osobistą katastrofą, już się przecież dowiedziałeś.

Niewiele o tym opowiadałem?

Wiem. Bo się wstydzilem, że przydarzyło się to akurat mnie. Byłem przecież taki inteligentny, taki pozbawiony uprzedzeń w stosunku do wszystkich, a moja znajomość ludzi – ta była ogromna! Ogromne to było coś zupełnie innego w początkowym okresie z Isabellą. Opuść sobie lepiej te pieprzne dowcipy, na to czuję się za stary. Zaraz po dwudziestce człowiek wydaje się sobie taki rozsądny, a w gruncie rzeczy jest tylko aroganckim szczeniakiem. Ja dostałem porządną nauczkę.

Moja rodzina wiedziała jeszcze mniej niż moi przyjaciele, czyli tyle co nic, ale i tak dowiedzieli się dostatecznie dużo. Rodzice w tym czasie bardzo cierpieli, dla nich to wszystko było bardzo złe. Gdyby to był tylko wolny związek, przed którym mnie ostrzegali, mogliby przynajmniej czuć satysfakcję. Ale to było małżeństwo, w dodatku na świat przyszło dziecko, dlatego byli smutni i bardzo rozczarowani. Rozwód był dla nich tragedią. Jeśli chodzi o samo małżeństwo, po prostu funkcjonowaliśmy inaczej, właściwie tak jest nadal. Poważnie, byłem wtedy pierwszym rozwiedzionym Dalbergiem w całej rodzinie.

Małżeństwo to małżeństwo, nie żadne „tym razem spróbuję z tobą”. Nie jest tylko czystą formalnością, ma w sobie coś świętego, i trzeba w nim trwać aż do śmierci. Tak, ma to oczywiście też coś wspólnego z religijnością, ale nie tylko, to jedna z życiowych zasad. Zanim się wstąpi w związek małżeński, trzeba siebie i tę drugą osobę skrupulatnie sprawdzić. Rozwód jest absolutnym tabu. Oczywiście jest, że są w życiu gorsze okresy, ale to jeszcze nie powód, żeby po prostu odejść. Tak myśli moja rodzina i nie tylko ona, również ja tak uważam.

Ty też? Wiem.

Dla mnie małżeństwo z Isabellą było regularną katastrofą. Nie potrafiłem sobie tak po prostu powiedzieć: „Dobra, to nie funkcjonuje, więc odchodzę, miejmy nadzieję, że następnym razem będę miał więcej szczęścia”. Zadawałem sobie pytanie, dlaczego inni ludzie potrafią to tak szybko zaakceptować – w tym czasie zaczynał się prawdziwy boom rozwodowy. Sporo się zmieniło przez ostatnie trzydzieści lat, prawda?

Dla mojej kancelarii to oczywiście dobrze, interes się kręci. Mediacją rozwodową, którą wprowadziłem do oferty na początku lat dziewięćdziesiątych, od początku było duże zainteresowanie, i wciąż jest. To koncepcja korzystnej ugody.

Co to jest? W ten sposób udaje się większość wyniszczających małżeńskich wojen zmienić w rozwód za porozumieniem stron. Dwojgu ludziom łatwiej się rozejść, jeśli oboje mają poczucie, że między tym, co dali, a tym, co wzięli, panuje równowaga, zarówno w sensie emocjonalnym, jak i materialnym. Musi to dotyczyć nie tylko przeszłości pary, lecz także przyszłości, jeśli mają dzieci. Nawijujemy też, za zgodą klienta, kontakt z adwokatem przeciwnej strony. Ale nie chcę cię teraz zanudzać szczegółami.

Po swoim rozwodzie wyspecjalizowałem się więc w rozwodach. Myślisz, że odniosłem korzyść z tego doświadczenia? Można i tak na to spojrzeć. Mimo to wolałbym go sobie oszczędzić.

Okres rozstawania się z Isabellą trwał ponad cztery lata. W czasie, gdy rozstałem się z nią po raz pierwszy, ty wyprowadziłeś się do Sydney, do swojej Mandy. Obaj mieliśmy wtedy po dwadzieścia pięć lat. Cztery lata później w końcu się rozwiodłem, po tym, jak kilka razy się wyprowadzałem i wprowadzałem. Ten definitywny koniec kosztował mnie dużo sił, ale musiałem to zrobić, w przeciwnym razie zszedłbym na psy. Szło mi wtedy cholernie źle. Często kłóciłem się z ojcem, który przy każdym spotkaniu ostentacyjnie pokazywał, jak bardzo jest mną rozczarowany. Praca w kancelarii nie sprawiała mi frajdy, a on wciąż odmawiał przeprowadzenia jakiegokolwiek zmiany. Ode mnie, nieudacznika, nie przyjmował żadnej sugestii. Potem, jako rozwodnik, czułem się pusty, samotny, naznaczony i w depresji.

Myślisz, że to przesada? Ale ja tak to czułem.

Stracone lata, zmarnowana energia! A do tego jeszcze córka, którą nie ja będę wychowywał. To było dla mnie najgorsze. Moi rodzice radzili mi wprawdzie, by wnieść sprawę o prawo do opieki nad dzieckiem, i prawdopodobnie nawet bym ją wygrał – ojciec chciał uruchomić swoje znajomości – ale nie potrafiłem się na to zdobyć. Isabella nie była złą matką, chociaż moi rodzice byli o tym przekonani.

Jak ona się miewa? Jade? Bardzo dobrze, właśnie skończyła studia i tego lata wybiera się w dłuższą podróż ze swoim chłopakiem, zanim we wrześniu zacznie specjalizację. Jaką? Pediatrię. Chce leczyć dzieci. Jestem z niej dumny.

Czy mam bliski kontakt? Z byłą żoną czy z córką?

Jade widuję mniej więcej raz w tygodniu, albo ona przychodzi w niedzielę na kolację, albo ja spotykam się z nią w tygodniu na mieście i zjadamy obiad. Dobrze się rozumiemy i jest między nami bliska więź. Bogu dzięki!

Isabellę ostatnio widziałem przed rokiem. Nie, dawniej, to było zimą, więc półtora roku temu. Poprosiła mnie przez telefon o spotkanie. Przedtem nie widzieliśmy się na pewno dziesięć lat, a wcześniej konieczne były spotkania od czasu do czasu, żeby omówić pewne sprawy dotyczące Jade. Te spotkania nigdy nie były dla mnie przyjemne, bo Isabella najczęściej zachowywała się bardzo emocjonalnie i dlatego przyjacielskie kontakty długo były niemożliwe.

Była zupełnie wykończona, bo jej rodzice zginęli w wypadku samochodowym w Bułgarii, ona właśnie się o tym dowiedziała i jechała tam. Ja miałem załatwić kwestie prawne. Podczas tego spotkania siedziała w kawiarni naprzeciwko mnie, zapłakana i zrozpaczona. Nagle wzięła mnie za rękę i podziękowała za to, że mimo wszystko zawsze tak bardzo troszczyłem się o Jade i o nią, nie tylko finansowo. A potem przeprosiła za to, co się wtedy między nami działo. Pierwszy raz. Po dwudziestu latach! Nie wierzyłem własnym uszom.

– Przepraszam za wszystko – powiedziała. – Nie miałeś ze mną lekko. Byłam chyba dość nawiedzona.

Muszę przyznać, że w tym momencie byłem poruszony, chociaż bawiło mnie słowo *nawiedzona*.

Pytasz, czy określenie *nawiedzona* jest trafne? Czy z tego powodu się rozwiodłem?

Wolałbym to sformułować zwyczajnie: rozwiodłem się z nią, bo zauważyłem, że nie umiem z nią żyć, bo w ogóle do siebie nie pasowaliśmy. Byliśmy z gruntu odmienni, oboje zupełnie czego innego oczekiwaliśmy od życia i nie mieliśmy ze sobą nic wspólnego. Takie to było proste. I bardzo szybko stało się to oczywiste dla nas obojga. Ale niestety jeszcze szybciej się pobraliśmy, mianowicie już po dziesięciu miesiącach. Owszem, bo była w ciąży. Ale sama ciąża nie była powodem. Naprawdę chciałem się z nią ożenić. Zwariowałem na jej punkcie.

Oboje mieliśmy po dwadzieścia dwa lata, gdy byliśmy na krótkim urlopie w Hamburgu i poszliśmy tam do urzędu stanu cywilnego. Nikogo nie zapraszaliśmy, świadkami naszego ślubu byli obcy ludzie z ulicy. Wszystko musiało być tak niekonwencjonalne, jak to tylko możliwe, kołtuństwo było w oczach Isabelli czymś okropnym.

Moja matka się załamała, gdy dowiedziała się o tym ślubie i ciąży, ojciec poczerwieniał i dostał napadu szału. Ja stałem niewzruszony obok i w duchu szelmowsko się uśmiechałem. Miłość Isabelli dodawała mi siły i pewności siebie, zwłaszcza w relacji z ojcem. Dawała mi moc, żeby skutecznie mu się przeciwstawiać, tak że już nigdy nie stałem przed nim jak nieśmiały uczeń.

Kiedy sama siebie, prawie trzydzieści lat później, nazwała *nawiedzoną*, musiałem, szczerze mówiąc, powstrzymać łzy. Tak, stałem się sentymentalny. Na początku naszego związku wydawała mi się po prostu inspirująca z tą swoją świeżością. Była taka pełna temperamentu i porywająca. Wyluzowana, ekscytująca, hipisowska, kusząca, błyskotliwa, wesoła, interesująca. Dla mnie była właśnie taka i już nie chciałem z tego zrezygnować.

Pamiętasz to? Często zachwycałem się nią przy tobie? A potem zacząłem się coraz bardziej zamykać i przestałem o niej mówić?

Tak, masz rację.

Bo już w drugim i trzecim roku naszego małżeństwa pojąłem, że

można kochać jakiegoś człowieka i jednocześnie wiedzieć, że nie jest się z nim szczęśliwym. Że to nie jest ta właściwa osoba, że ten związek nie robi człowiekowi dobrze. I w następnych latach również miłość stopniowo kawałkami się wykrusza. Na koniec już tylko po prostu skrajnie działała mi na nerwy, a jej sposobu bycia nie uważałem za inspirujący, tylko nużący. To, co wcześniej wydawało mi się w niej interesujące, zacząłem postrzegać jako dziwaczne. Ale najbardziej przstraszyło mnie to, że się wstydziłem. Tak, również przed swoją rodziną – musiałem przed sobą i nimi przyznać, że mieli rację w jej ocenie i że dobrze mi radzili. Myślę jednak, że to jej się wstydziłem.

To, że była nierówna i niekonsekwentna, jeszcze bym wytrzymał. Gdy ją poznałem, studiowała filozofię, i to mi się wyjątkowo podobało, bo filozofia była moim konikiem. Dyskutowaliśmy całymi nocami o różnych teoriach i nurtach, leżeliśmy nago, kochaliśmy się i dalej rozmawialiśmy. Ten początkowy okres był cudowny, długo musiałem wracać do niego myślami.

Później zadawałem sobie pytanie, czy interesowałbym się nią tak bardzo, gdyby nie studiowała filozofii, tylko na przykład była na kursie dla położnych, który później zaczęła. Prawdopodobniej mniej, ale nie wiem.

Szkolenie dla położnych też przerwała, zmieniła je na iberystykę, potem otworzyła małą szkołę tańca, którą kiedyś musiałem ratować przed bankructwem. Co nie było dla mnie łatwe, bo ojciec akurat w tym czasie przykręcił wszystkie kurki z pieniędzmi. Prawdopodobnie wiedziony słusznym przewidywaniem, bo wiedział, że nie podpisałem intercyzy. Miałem mieszkanie, w którym mieszkaliśmy, i konto, na które przekazywano co miesiąc moją pensję. Tymczasem zacząłem pracować w kancelarii. W końcu Isabella skończyła kurs nauczania jogi.

To, że wolała spędzać urlopy w Indiach, z jakimiś dziwnymi ludźmi, a nie ze mną w górach, też jeszcze bym przeboleał. Bardziej przeszkadzało mi to, że w naszej wspólnej codzienności w zasadzie nie potrafiła prowadzić domu, bo była chaotyczna, że w ciągu dnia spała, a po nocach, kiedy ja potrzebowałem snu, tłukła się jak upiór.



Że za każdym razem, gdy byliśmy zaproszeni do mojej rodziny na kolację albo na święta, musiała tam prowokować wyzywającym strojem, zachowaniem i wypowiedziami typu: „Nie, nie dopasuję się do was, kołtuńskich, śmierdzących forsą bogaczy”.

Kiedyś powiedziałem jej, że pewna doza dostosowania się jest częścią miłości do drugiej osoby. Ona się na to wściekła i nazwała mnie słabeuszem, któremu brakuje odwagi, żeby przeciwstawić się rodzicom i żyć własnym życiem, tak jak chce, bezwarunkowo i bezkompromisowo, tylko dlatego, że musi wchodzić w tyłek swojej rodzinie.

Wciąż próbowała przekonać mnie do tego, żebym odszedł z kancelarii i zatrudnił się w jakiejś instytucji społecznej. I nawet pracowałem tam jako wolontariusz przez jedno popołudnie w tygodniu, ale zwolnić się z firmy ojca nie chciałem. Czułem się zobowiązany wobec rodziny i cieszyłem się, że będę mógł przejąć kancelarię, gdy ojciec przejdzie na emeryturę. Tkwił w niej ogromny potencjał, również dla zaangażowania społecznego! Miałem przed oczami wizję stworzenia punktu dla nieprzystosowanych społecznie ludzi w trudnych sytuacjach, którym doradzalibyśmy za darmo. To było solą w oku ojca. Cieszyłem się na to, że będę mógł wszystko zmienić.

Moi rodzice nie lubili Isabelli od pierwszego dnia, zwłaszcza ojciec. Kipiał z wściekłości, gdy się do mnie wprowadziła. Odchodził od zmysłów, że nie tańczę tak, jak on mi zagra, i że się buntuję. Późno, ale jednak. Wówczas insynuowałem mu zazdrość i wewnętrznie triumfowałem. Był tak bardzo przeciwny Isabelli, że właśnie dlatego chciałem przebić głową mur.

Isabella od początku czuła brak zaufania ze strony mojej rodziny. Wykorzystała to do walki o to, kto ma na mnie większy wpływ, i rozkoszowała się nią. Rodzina czy ona? Kto był silniejszy? Kto rozstrzygnie to współzawodnictwo na swoją korzyść? Kto skuteczniej na mnie wpłynie?

Czasem wydawało mi się, że prowadziła w ten sposób swoją własną walkę klasową. Jak gdyby czuła przymus toczenia wojny z określoną warstwą społeczną. Nie chodziło jej o mnie, nie interesowało jej to,

jak ja się czuję, nigdy na poważnie mnie o to nie zapytała. Pochodziła z biednej rodziny robotniczej, jej rodzice nie byli specjalnie wykształceni, ale mnie to nie przeszkadzało, to byli serdeczni, mili ludzie. Przeszkadzało mi raczej, że przyjmowali w stosunku do mnie uniżoną postawę, jakby czuli potrzebę bezustannego płaszczenia się przede mną, to czasem było naprawdę krępujące.

Jest też wiele innych rzeczy, które mógłbym wyliczać.

Tym jednak, czego nie mogłem wytrzymać, była ta historia z religią. Przyłączyła się mianowicie do Hare Krysna. Nie wiedziałeś? O tym też nigdy ci nie wspominałem.

Na początku mówiła o tym tylko od czasu do czasu i czytała, bo się tym interesowała. Nie przeszkadzało mi to w najmniejszym stopniu, ja też często czytałem o innych religiach. Potem zaczęła się spotykać z jakąś grupą, wtedy na świecie była już nasza córka, i w końcu zaczęła otwarcie wyznawać kult pewnych bóstw i brać udział w ich ceremoniach. Zbudowała w salonie mały ołtarz i ustawiła na nim figurki, którym przed każdym posiłkiem zanosila jedzenie. Wyniosłem go do sypialni, żeby nie musiał tego oglądać każdy nasz gość, ona przeniosła go z powrotem do salonu.

Trzy albo cztery razy dziennie składała ofiary z jedzenia, siedziała przy tym na podłodze z zamkniętymi oczami, kiwała się w przód i w tył, śpiewając lub mrużąc coś pod nosem. Miska z niezdatnymi do zjedzenia produktami stała na ołtarzu, jej modlitwy trwały wieki. Kiedyś wpadła bez zapowiedzi moja siostra i zobaczyła to. Isabella nie wyświadczyła mi oczywiście tej przysługi i nie zaprzestała swoich modłów, tylko kiwała się i śpiewała dalej. Wyglądało to tak śmiesznie, wstydziłem się do bólu.

Nie, nie zrozum mnie źle, nie chciałem, żeby nawróciła się na katolicyzm! Gdyby była ateistką, byłoby mi znacznie łatwiej. Albo gdyby wyznawała swoją religię mniej ostentacyjnie. Nie chciałem robić za misjonarza. Natomiast ona przez jakiś czas próbowała. Czekałem, myślałem, że jej zainteresowania również w tej dziedzinie się zmienią, liczyłem na typową dla niej niestałość. Ale się myliłem. Jej religia zdominowała naszą codzienność, wyznawcy z tej wspólnoty Hare Krysna wciąż przychodzili do nas do domu.

Dla mnie to był horror, możesz mi wierzyć. To było po prostu nie do wytrzymania. Isabella ma silną osobowość i nie dawała sobie wówczas niczego wyperswadować, kompromis ze względu na mnie nie wchodził dla niej w grę. To najtrudniej było mi jej wybaczyć. Staliśmy się sobie zupełnie obcy. Czasem nawet ogarniały mnie nienawiść i pogarda i to mnie przerażało. Musiałem sobie przypomnieć, jak matka ostrzegła mnie przed pospiesznym ślubem, tak jakby przeczuwała nasze plany:

– Życie z kimś, kto jest tak odmienny od ciebie, kto pochodzi z zupełnie innego świata, stanie się katastrofą. To się udaje tylko przez krótki czas. Uwierz mi.

Miała rację. Musiałem przyznać, że chciałem uporządkowanego życia, żony, która miała podobne zainteresowania, podobny światopogląd i podobny stosunek do życia. Stopniowo docierało do mnie, że chciałem życia w konwencjach podobnych do tych, w jakich wyrosłem. Chciałem chodzić w weekendy po górach, świętować Boże Narodzenie i Wielkanoc, jadać normalne posiłki, prowadzić dobre rozmowy, również o tym, jak mi się wiedzie, wypić z przyjaciółmi kieliszek wina, pójść do teatru. Chciałem partnerki, która wspiera mnie w pracy, a nie permanentnie dyskredytuje.

Gdyby na świecie nie było mojej córki, zakończyłbym nasze małżeństwo znacznie wcześniej. Uwielbiałem Jade, spędzałem z nią każdą wolną chwilę. To był powód, dla którego po odejściach wciąż wracałem do tego mieszkania. Wyprowadzałem się i tęskniłem za tą małą dziewczynką, czułem, że muszę wytrzymać z jej matką, i znów się wprowadzałem.

W wieku dwudziestu dziewięciu lat w końcu się rozwiodłem. Rodzice popierali moją decyzję, ale ojciec obstawał przy tym, żebym finansowo sam wypił piwo, którego nawarzyłem. Sprzedałem więc mieszkanie przy Döblinger Hauptstrasse 27 i kupiłem dla Isabelli mały szeregowiec z ogródkiem na obrzeżach miasta. Chciałem, żeby Jade było dobrze. Kiedy tylko mogłem, zabierałem ją do siebie. Gdy już ożeniłem się z Juliane, Isabella zgodziła się podzielić prawem do opieki nad dzieckiem. Jade mieszkała potem na przemian tydzień u nas, tydzień z matką.

Tak, tak to było z moją pierwszą żoną.

A teraz pozwolę sobie na jeszcze jedno piwo, a potem whiskey.  
A ty?

## Grudzień 2015

### Juliane

Tak, był powód, dla którego już po jednym dniu stałam pod drzwiami Feliksa i kilka godzin później leżałam w jego łóżku.

To był akt zemsty.

Dobrze słyszałaś.

Wtedy, w styczniu, dwa lata temu, w dobrym humorze wyszłam z galerii i poszłam do kancelarii Paula, żeby zabrać go na obiad. Cieszyłam się, że będę mu mogła wszystko opowiedzieć, i układałam sobie w głowie zdania.

„Pamiętasz Feliksa Hofmanna?” – o to miałam go zapytać najpierw.

Byłam pewna, że Paul nie będzie pamiętał, to było przecież wieki temu, a Felix był tylko przelotnym znajomym z podróży, z którym się nie kontaktowaliśmy. Gdybym sformułowała pytanie inaczej: „Czy przypominasz sobie tego młodego chłopaka z Tyrolu Południowego, który wtedy, w nocnym pociągu do Rzymu, siedział w tym samym przedziale co my?” – możliwe, że by sobie przypomniał, ale nie miałam pewności, Paul codziennie miał do czynienia z tak wieloma osobami.

Najpierw chciałam go troszkę podręczyć, żeby sobie przypomniał, zanim opowiem mu o swoim spotkaniu w galerii. I o obrazie. Jak uskrzydłona szłam przez starówkę. Cieszyłam się na wspólny obiad, potem miał mi towarzyszyć do galerii i obejrzeć wystawę.

Ale nie opowiedziałam Paulowi niczego. Niczego o wystawie, niczego o obrazie, niczego o swoim spotkaniu z Feliksem. Nawet się z nim nie spotkałam. Zobaczyłam go tylko i uciekłam, wściekła i zraniona. Z powrotem do galerii, gdzie umówiłam się z Feliksem na kolację, na sobotę.

To dla ciebie za szybko? Przepraszam. Spróbuję jeszcze raz. Tym razem po kolei i wolniej.

Felix stał w otwartych drzwiach biblioteki, swobodnie oparty o futrynę, i trzymał w ręce kieliszek prosecco. Przed nim stało wielu

jego przyjaciół i znajomych, którzy z nim rozmawiali. Z tego, co słyszałam z rozmowy, wynikało, że właśnie oprowadził ich po wystawie. Dziękowali mu, że poświęcił im czas.

Przez chwilę go obserwowałam, zanim do niego podeszłam. Czy mi się podobał? Tak, podobał mi się, od pierwszej sekundy. Jakim był typem? Wysoki i szczupły, ale nie taki chudy jak kiedyś, nie, był większy, o głowę wyższy ode mnie. Opalony na brąz, jak gdyby właśnie wrócił z urlopu. Miał gęste, jasnobrązowe włosy, ciut przydługie jak na mój gust. Wyjątkowy był wyraz jego twarzy – jak mam go opisać? W tym pierwszym momencie w galerii zrobił na mnie wrażenie wesołego, szelmowskiego czarusa. Gdy mnie zauważył, podniósł swój kieliszek prosecco, przepił do mnie z uśmiechem i puścił oko, nie wiedząc, kim jestem. Nie poznał mnie, jak się okazało kilka minut później. Nie, poczekaj, to niesprawiedliwe wobec niego, sprawiał wrażenie wyluzowanego, szczęśliwego, a z jego miny można było wyczytać: „Hej, u mnie wszystko dobrze, mogę ci podarować kawałek swojego szczęścia?”. To lepiej pasuje. Wiesz, co mam na myśli?

Kolor jego oczu? Nieokreślony, nazwałabym go szaroniebieskim. Zależnie od tego, jak padało światło, jego oczy były albo niebieskie, albo szare w rozmaitych odcieniach, na przykład wodniście niebieskim, niebieskim jak morze albo granatowym jak nocne niebo, prawie czarnym, a potem znów jasnoszarym z bursztynowym połyskiem.

Śmiejesz się? Tak może to opisać tylko zakochana kobieta?

O tych odcieniach wspomniał kiedyś Max podczas wspólnej kolacji; chciał namalować portret Feliksa, chciał nawet namalować nas dwoje, i zapytał go, z jakim kolorem oczu ma go przedstawić, ale nie udało mu się uzyskać odpowiedzi. Felix był zły, bo nie chciał, żeby Max go malował, i odpowiedział dość opryskliwie pytaniem, czy Max jest ślepy na kolory malarzem, przecież on ma ewidentnie fioletowe oczy z żółtymi plamkami. Ale to było dużo później.

Pierwszą rzeczą, jaką Felix do mnie powiedział, było:

– Witam, chce pani kieliszek prosecco?

Podał mi więc prosecco i zapytał, czy podobała mi się wystawa. To,

że mnie nie poznał, trochę mi na początku przeszkadzało, wiesz, urażona duma i takie tam, ale uznałam to za zupełnie normalne. A kto kogoś rozpoznaje po dwudziestu latach? – myślałam. Zauważyłam jednak, że mnie uważnie zlustrował i chyba się zastanawiał, czy powinien mnie znać i skąd. Uznałam, że to nawet zabawne, i postanowiłam potrzymać go trochę w niepewności. W końcu jego znajomi się pożegnali i zostaliśmy sami. Pogratulowałam mu wspaniałej wystawy i zapytałam go, która to.

– Moja pierwsza – powiedział – i prawdopodobnie też ostatnia. Max Bauer, mój przyjaciel, mnie na nią namówił. Od dawna chciał zrobić wspólną wystawę, bo lubi moje zdjęcia.

Poplotkowaliśmy chwilę, on opowiedział o podróży, w której był niedawno, już nie pamiętam gdzie, i wypiliśmy jeszcze po kieliszku prosecco. Widać było, że trochę koloryzuje, żeby zrobić na mnie wrażenie, i owszem, flirtował ze mną, nie jak macho, tylko z gracją i elegancją.

Ja też troszkę z nim flirtowałam, przyznaję. Coś jeszcze było oczywiste – oboje nawzajem się pociągaliśmy i bawiliśmy się tym. Nie, w tym momencie nie miałam jeszcze żadnych zamiarów, absolutnie nie, to była po prostu gra, w którą się grywa, jeśli ktoś cię pociąga i wiesz, że i tak tego kogoś więcej nie spotkasz. Bo człowiek wcale nie chce posunąć się dalej. Znasz to przecież.

Zamiary zasadniczo zmieniły się godzinę później. Wtedy wpadłam do tej galerii pod pretekstem, że zostawiłam w szatni szal, co oczywiście było nieprawdą, i powiedziałam do Feliksa:

– To zaproszenie na kolację jest jeszcze aktualne? Jednak mam czas jutro wieczorem, przyjaciółka właśnie odwołała spotkanie.

Musiałam przy tym wyglądać na dość zdecydowaną, tak mi przynajmniej kilka tygodni później opowiadał Felix. Coś się we mnie zmieniło, tak mówił, czuł, że podczas tej godziny coś się musiało wydarzyć. Ale mu o tym nie opowiadałam, nie chciałam, żeby czuł się wykorzystany.

Felix i ja spacerowaliśmy zatem przez sale wystawowe. Przy niektórych fotografiach opowiadał mi krótkie historie. Stałam przed obrazem wiolonczelistki i zapytałam:

– Cóż, tak bardzo się zmieniłam?

Jego zupełnie sparaliżowało, a ja nie mogłam powstrzymać śmiechu.

– Julie! – zawołał, mówił wtedy z angielska. – Mój Boże, Julie! Dlaczego nic nie powiedziałaś?

Wyraźnie się ucieszył, objął mnie i przytulił do siebie. Uwielbiałam jego zapach.

– Wow, to niemożliwe, ta młoda wiolonczelistka z pociągu! – powiedział i patrzył na mnie. – Co z ciebie wyrosło? Co u ciebie?

Opowiedziałam mu, że jestem mężatką, mam dwoje dzieci i przez trzy popołudnia w tygodniu uczę gry na wiolonczeli w szkole muzycznej.

Głupio mu było, że mnie nie rozpoznał, i kilka razy przeproszał za kiepską pamięć.

– Mogę cię w ramach zadośćuczynienia zaprosić na kolację? – zapytał i spojrzał mi w oczy ciut za głęboko. – Jutro wieczorem?

Od razu było dla mnie jasne, że z tej gry może wyniknąć coś poważnego, gdy przyjąłam jego zaproszenie. Znasz to uczucie, kiedy w ułamku sekundy nastrój pryska, bo jedno chce czegoś, czego drugie się obawia? Musiał to zobaczyć na mojej twarzy, bo nie nalegał, a ja bredziłam coś o jakiejś przyjaciółce, z którą już umówiłam się na jutrzejszy wieczór. Mimo to wymieniliśmy się numerami komórek i obiecaliśmy sobie, że będziemy w kontakcie.

W tym momencie myślałam, że nie będę się z nim kontaktować. Dlaczego tak myślałam? Bo czułam, że to może być dla mnie niebezpieczne.

Odprowadził mnie do drzwi i się pożegnaliśmy. Zauważyłam, że patrzył za mną, pochlebiało mi to i pomyślałam, że jeśli naprawdę do mnie zadzwoni, to się zgodzę, ale tylko na jedną kolację. Byłam po prostu ciekawa i chciałam wiedzieć, jak mieszka i co go tak gna.

Potem odsunęłam tę myśl i ruszyłam do kancelarii Paula, cieszyłam się, że opowiem mu nowinki. Ale nie doszłam do kancelarii, lecz tylko do kawiarni w sąsiednim budynku. To zwykła kawiarnia, do której Paul i jego współpracownicy czasem chodzą w czasie przerwy obiadowej. Ja też często jadałam tam z Paulem, kiedy miał niewiele



czasu.

W tej kawiarni zobaczyłam mojego męża siedzącego z kobietą. Stałam jak wryta.

To jeszcze o niczym nie świadczy, mówisz. Słusznie. To mogła być współpracownica albo jakaś klientka, z którą miał coś ważnego do omówienia. Oczywiście. Ale w sobotę?

Poza tym trzymali się za ręce.

Siedzieli tuż przy witrynie, dlatego dobrze ich widziałam. Na wpół schowałam się za słupem ogłoszeniowym i obserwowałam. Nie, niedługo, tylko kilka minut, ale zobaczyłam dostatecznie dużo. Niepotrzebnie się ukrywałam, bo byli zajęci tylko sobą, nie rozglądali się dookoła, czy aby nikt ich nie nakryje. Wydawało się, że świata poza sobą nie widzieli.

Czułam się jak w kiepskim filmie. Twój mąż udaje, że pracuje, a tak naprawdę spotyka się z inną kobietą. I to nie z pierwszą lepszą kobietą.

To była jego ekszona, Isabella. Upiór, który straszył w pierwszych latach naszego małżeństwa i nie dawał mi spokoju. Cień między nami, który pozostał cieniem, bo się o niej nie mówiło. Nie, nigdy jej nie poznałam, Paul tego nie chciał, Jade też nie. W ogóle widziałam Isabellę tylko dwa razy, z daleka, gdy wypuszczała Jade z samochodu. To było dawno temu.

Paul nigdy nie powiedział o niej złego słowa ani niczego mi nie opowiadał o niej, o swoim małżeństwie czy rozstaniu. Gdy o to pytałam, robił uniki i zmieniał temat. Kiedyś dał mi wyraźnie do zrozumienia, że nie ma zamiaru rozmawiać o swojej byłej żonie, był przy tym nawet trochę grubiański, co nie jest w jego stylu. Isabella była tematem tabu, a ja interpretowałam milczenie Paula jako żalobę po stracie wielkiej miłości. Nadal tak jest, ale dziś już nie jestem zazdrosna. Byłam niepewna i jeszcze nie czułam się w Wiedniu zbyt dobrze. Ona była jego wielką miłością, a ja czym byłam? Czy mogłam jej dorównać w jego wspomnieniach? Pamiętam jeszcze, w jakiej rozpaczycy czekałam na powrót Paula, gdy przywoził do domu Jade, i wiedziałam, że ma coś do omówienia z jej matką, czy dotyczyło to szkoły, czy czegoś innego.

Wiedziałam, jak długo byli małżeństwem, i gdy kiedyś zapytałam go o powód rozstania, powiedział tylko, że ich pożycie się rozpadło. Rzucił mi to prawnicze pojęcie bez żadnych dalszych wyjaśnień. Tak, oczywiście, że chciałam, żeby ją obgadał! Przynajmniej raz! Wtedy bym wiedziała, z czym mam do czynienia w tej części jego przeszłości. Wtedy orientowałabym się na tyle, żeby przestać się z nią porównywać. My, kobiety, tego potrzebujemy, bzdura, nie tylko my, mężczyźni też. Nie można przecież swojej byłej czy byłego poprzez milczenie ukazywać w lepszym świetle! Co ma z tym zrobić obecny partner albo partnerka?

Czy to w ogóle było ukazywanie w lepszym świetle? Tak, jestem o tym przekonana. Ja też widziałam związek swojego męża z tą kobietą w lepszym świetle. Prześladowały mnie zdjęcia, wyobrażałam sobie ich namiętną miłość i cierpiałam. Oczywiście dawałam się ponieść wyobraźni, to później stało się dla mnie jasne! Ale nie musiałabym tak reagować, gdyby mój mąż o niej rozmawiał i gdyby mnie do niej zabrał. I gdybym nie znalazła tego schowanego kartonu.

W mieszkaniu Paula, wtedy nie mieszkaliśmy jeszcze w naszym domu, nie było żadnego jej zdjęcia, żadnej płyty, żadnej książki, żadnego mebla czy czegokolwiek, o czym byłoby wiadomo, że należało do Isabelli albo było prezentem od niej. Jak gdyby jej nigdy nie było. Tylko mała Jade przyjeżdżała na weekendy, a i ona prawie nie mówiła o matce, ale tym bardziej kurczowo trzymała się ojca. A potem kiedyś znalazłam w piwnicy karton, dość dobrze schowany w dużej skrzyni wypełnionej starymi sportowymi ubraniami. Wyciągnęłam go i przejrzałam. Owszem, węszyłam. Która zazdrosna żona tego nie robi? Ty? Nosisz aureolę? To żart? Ach tak.

Zawartość tego kartonu zbiła mnie z tropu i zdecydowanie przyczyniła się do tego wybielenia. Był pełen zdjęć, również nagiej Isabelli – Paul nigdy mi takich nie robił – wylewnych listów miłosnych i dowcipnych pocztówek od Isabelli – nigdy takich do Paula nie pisałam, on do mnie też nie – lok jasnych włosów w kopercie. Na niektórych zdjęciach był też Paul, Paul inny niż ten, którego znałam, znacznie młodszy, z dłuższymi włosami, ze zmysłowym wyrazem twarzy. Tak, zmysłowym. Długo grzebałam

w tym kartonie, a gdy go odstawiłam z powrotem, byłam zupełnie zdruzgotana. Jedno było dla mnie jasne: to bez wątpienia była namiętność, chaos i namiętność, i nie miała nic wspólnego z tym powściągliwym, ułożonym, rozsądnym mężczyzną, z którym żyłam i przy którym czułam się tak pewnie.

Po ślubie i narodzinach Emilii moja zazdrość minęła, przestałam o tym myśleć. Nie wiem dlaczego, ale stałam się wewnętrznie spokojniejsza i bardziej rozluźniona. To, czy Paul miał dobre, czy złe wspomnienia o swojej żonie, stało mi się obojętne. Zbudowaliśmy dom i przeprowadziliśmy się, ja skończyłam studia i zaczęłam uczyć po kilka godzin gry na wiolonczeli w szkole muzycznej. Było nam dobrze w tych latach. A o Paulu, którego tymczasem poznałam jak własną kieszeń, wiedziałam, że mnie nigdy nie zdradzi. Czasem znów ogarniała mnie zazdrość, ale nigdy na dłużej.

Ci dwoje, Isabella i Paul, siedzieli więc naprzeciwko siebie w kawiarni. Paul trzymał jej dłonie w swoich. Ona mówiła, on uważnie słuchał i tylko czasem coś wtrącał, po prostu tylko na nią patrzył. I to jak na nią patrzył! Widzieć to jego spojrzenie – to było dla mnie najgorsze! Kiedy Paul tak patrzył na mnie? Ani razu, od początku naszego związku.

Jestem teraz niesprawiedliwa, tak myślisz? Już nie pamiętam? Były oczywiście i nadal są te spojrzenia pełne ciepła, zrozumienia. Ale tak Paul nigdy na mnie nie patrzył, tego byłam pewna, było w nich tak wiele zażyłości, bliskości, tak, również miłości. Nie tej ojcowskiej, spokojnej miłości, jakiej ja doświadczam.

Wydawało się, że coś jej z naciskiem i poważnie powiedział, ona zaczęła płakać, on szybko pogłaskał ją po policzku. To był tak czuły gest! Jeszcze nigdy nie widziałam ich razem. I do tego jeszcze tak... w takiej jedności! Jak gdyby nie była jego byłą, tylko kochanką.

Dłonie i kolana mi drżały, w głowie dudniło i chciało mi się wymiotować. Nie mogłoby być gorzej, gdybym przyłapała ich w hotelowym łóżku *in flagranti*. Co zrobiłam? Poszłam stamtąd w kierunku katedry św. Szczepana. Nagle zrobiło mi się lodowato. Usiadłam w Aidzie i wypiliśmy herbatę z rumem. Przy sąsiednim stoliku siedziała para młodych ludzi, która cały czas wymieniała

czułości. Chyba w tym momencie się zdecydowałam.

Tak, i zaraz potem poszłam z powrotem do galerii. Felix jeszcze tam był, stał i rozmawiał z dwojgiem starszych ludzi.

– Coś się stało? – zapytał, gdy mnie zobaczył.

– Ach – powiedziałam i machnęłam ręką, jakby to było nieważne. – Zostawiłam tylko szal w szatni. Poza tym moja przyjaciółka odwołała spotkanie jutrzejszego wieczoru, mam zatem czas. To jak? Zjemy razem kolację?

Popatrzył na mnie zaskoczony, a potem się uśmiechnął.

– Bardzo chętnie – odpowiedział. – U mnie w domu. Ugotuję coś dla nas. O ósmej.

Podał mi adres, a ja wyszłam z galerii. Kolana mi drżały.

Tak się zaczął nasz romans.

## Maj 2015

### Felix

Kiedy w ogóle pierwszy raz żeglowałem?

Kiedy miałem dziewięć lat. Przez cały dzień. Na jeziorze Garda.

Matka latem pojechała tam ze mną na tydzień, bo miałem wiosną ciężkie zapalenie płuc. Spaliśmy we dwoje w małym, tanim pokoju hotelowym, ale mi to nie przeszkadzało. Przed zaśnięciem opowiadała mi wiele historii ze swojej przeszłości. Co znaczył dla niej powrót do Tyrolu Południowego – a była córką człowieka, który przedtem wybrał emigrację do Niemiec – o tym, jak wszyscy we wsi jej unikali, jak sama ze starym ojcem remontowała gospodarstwo. Przytulałem się do niej, a ona mówiła, dopóki nie zasnąłem.

Przy kolacji w jakiejś pizzerii poznaliśmy starszego Włocha z Rzymu, który przyjechał z synem na urlop nad jezioro Garda, żeby żeglować. O tym, że to spotkanie nie było przypadkowe i że matka знаła tego rzymianina z dawnych czasów, dowiedziałem się dużo później. Spotkaliśmy się potem jeszcze raz na wspólnej kolacji. Czułem się trochę niezręcznie, bo matka cały czas mówiła po włosku, a ja ledwo co rozumiałem. Jego syn był w tym samym wieku co ja i miał na imię Alessandro. Mężczyzna zaś miał na imię Davide i z moją matką rozumieli się bardzo dobrze, pamiętam jeszcze, jak bardzo byłem tym na początku zdziwiony.

Ale potem zupełnie o tym zapomniałem. Właśnie dlatego, że mogłem żeglować. Davide wynajął żaglówkę i zabrał matkę i mnie na cały dzień na jezioro. Możesz sobie wyobrazić, jakie to było dla mnie obłędne przeżycie. Mały chłopak ze wsi mógł trzymać ster na eleganckiej żaglówce, godzinami! Ster był wykonany z gładko wypolerowanego, czerwonego drewna i działał bardzo dobrze, a ja wydawałem się sam sobie taki stylowy. Ponieważ ten mężczyzna i jego syn byli ubrani tylko w szorty, ja też zdjąłem T-shirt. U nas w domu było to zakazane. Nie chodziło się półnago, tego po prostu nikt nie robił. Czułem wiatr na twarzy, we włosach, na nagim torsie,

i to było niewiarygodne uczucie. Tego dnia zachwyciłem się żeglowaniem, koniecznie chciałem się tego nauczyć, wyruszać w rejsy, studiować w wielkim mieście, zobaczyć świat.

W czerwcu 1994 roku, moja matka już wtedy nie żyła, znów spotkałem Davide i Alessandra, odwiedziłem ich obu w Rzymie. Zabrali mnie w krótki rejs: Palmarola, Ponza, Ventotene, Ischia, Capri i z powrotem wzdłuż wybrzeża aż do Fiumicino. Nauczyli mnie podstaw żeglowania, następnego lata zdobyłem dwa pierwsze żeglarskie patenty. Cztery lata później zbudowałem z Alessandrem i Maksem „Marilyn”, w Australii, i pożeglowałem aż do Afryki Południowej.

Rok później skończyłem studia i postanowiłem zostać w Wiedniu. To nie była dla mnie łatwa decyzja, czułem się rozdarty.

Z jednej strony ciągnęło mnie z powrotem do Tyrolu Południowego, bo bardzo kocham swoją ojczyznę, odwiedzałem rodzinę co najmniej raz w miesiącu i rozkoszowałem się spokojem i przyrodą. Ludzie mówią tam swojskim dialektem, znasz każdy kamień, wszystko jest dobrze znane!

Z drugiej strony bardzo ceniłem sobie swobodę i anonimowość w wielkim mieście i w żadnym razie nie chciałem z nich zrezygnować! Każdy we wsi, ba! nawet w całej dolinie, wiedział wszystko o mnie, mojej rodzinie i jej przeszłości. Wiesz, życie moich rodziców było bardzo silnie związane z historią Tyrolu Południowego, prawie nierozzerwalnie, i to mnie w dzieciństwie i młodości przez pewien czas bardzo przygniatało. Dla ludzi w dolinie byłem wnukiem człowieka, który zdecydował się wyemigrować do Rzeszy, i synem przemytnika materiałów wybuchowych. W Wiedniu byłem takim samym studentem jak tysiące innych.

U nas w domu praktycznie nie było posiłku, przy którym ojciec nie mówiłby o polityce w Tyrolu Południowym, nieważne, czy tej z przeszłości, czy bieżącej. Był tym opętany i przez to melancholijny. Dla mojego brata i mnie nie było to łatwe, ponieważ nasi rodzice byli we wsi trochę outsiderami.

Mathias i ja znaleźliśmy na pamięć historię Tyrolu Południowego, wyrastaliśmy z nią. Była jak gdyby w nas wszczepiona. Nauczyciel

historii w szkole średniej nie mógł nas w tym zakresie nauczyć niczego nowego. Już jako pięciolatek wiedziałem, że Tyrol Południowy po pierwszej wojnie światowej został przyznany Włochom jako łup wojenny, chociaż jego ludność była w prawie stu procentach niemieckojęzyczna. „Z południa czy z północy, Tyrolczycy to Tyrolczycy!” – wciąż się słyszało.

Ale zupełnie zignorowano to w 1919 roku w traktatach pokojowych z Wersalu<sup>2</sup>, gdy ustanowiono granicę między Włochami a Austrią na przełęczy Brenner. Faszystowski reżim we Włoszech od początku uciskał niemiecką mniejszość. Nasi dziadkowie opowiadali nam, jak uczyli się po niemiecku w tajnych szkołach ukrytych w katakumbach, bo zabroniono prowadzenia niemieckich szkół. Słuchaliśmy o dyskryminacji we wszystkich urzędach, o codziennych szykanach.

A przede wszystkim słyszeliśmy o tak zwanej opcji, umowie o przesiedleniu, którą podpisali sprzymierzeni Mussolini i Hitler w 1939 roku. Każdy mieszkaniec Tyrolu Południowego musiał wybierać między pozostaniem w ojczyźnie a emigracją do Trzeciej Rzeszy, gdzie Hitler potrzebował niemieckich rolników, siły roboczej, by zagospodarować podbite i opróżnione tereny. Mussolini chciał cały urodzajny Tyrol Południowy zasiedlić Włochami i pozbyć się wreszcie upartego ludu, którego nie mógł zitalianizować. Zaczęła się niewiarygodna wojna propagandowa, ludność Tyrolu zwalczała się nawzajem. Ci, którzy zdecydowali się na emigrację, byli dla tych, co zostali, nazistami i zdrajcami ojczyzny. I odwrotnie – ci, którzy zostali, w oczach tych, którzy wyemigrowali, zaparli się swego niemieckiego pochodzenia i pozwolili zitalianizować swoje dzieci. Ludzie po obu stronach obrażali się nawzajem najgorszymi słowami, podpalali obory i zatrawali bydło. Osiemdziesiąt pięć procent Tyrolczyków południowych optowało za emigracją do Trzeciej Rzeszy, ale w istocie wyemigrowało tylko około siedemdziesięciu pięciu tysięcy, bo akcja przesiedleńcza osłabła już w 1941 roku i zimą 1942 roku przesiedlenia się skończyły.

Od matki wiedzieliśmy, z jakim trudem przyszło jej ojcu podjąć decyzję, by wyemigrować. Mój dziadek miał na imię Karl,

wyemigrował na przełomie 1939 i 1940 roku. Razem z moją matką wrócił do Tyrolu Południowego w 1960 roku, to ona go do tego skłoniła. Wielu wróciło po drugiej wojnie światowej.

Nasz ojciec opowiadał nam przede wszystkim o czasach powojennych. O wielkim rozczarowaniu, gdy Tyrol Południowy znów przyznano Włochom. O przemytnikach, którzy w latach sześćdziesiątych szmuglowali z Austrii do Tyrolu Południowego materiały wybuchowe i zaopatrywali grupy terrorystów. On sam przyłączył się do pewnej grupy, Komitetu Wyzwolenia Tyrolu Południowego, gdy jego brat został ciężko pobity podczas przesłuchania w więzieniu. Te nielegalne grupy działały w podziemiu. Wysadzały w powietrze maszty energetyczne i pomniki, żeby zwrócić uwagę świata, jak bardzo uciskana jest wciąż niemiecka mniejszość. To prawda, szczytem była tak zwana Noc Ognia w czerwcu 1961 roku. Chciano w ten sposób wymusić samostanowienie i prawdziwą autonomię.

Wiedzieliśmy, co przeżyli nasi rodzice, przede wszystkim, co przeżył ojciec – w latach sześćdziesiątych siedział w więzieniu w Mediolanie za przemyt materiałów wybuchowych przez granicę. Po wypuszczeniu na wolność był we wsi traktowany jak bohater. Później, w latach osiemdziesiątych i dziewięćdziesiątych, gdy Tyrolczycy południowi zbijali majątek na turystach z Włoch, przestał być bohaterem, ludzie zaczęli go unikać. Przypominał im czasy, których teraz woleli już nie pamiętać. Przed włoskimi turystami trzeba było udawać zdrowy, wspaniały świat, a jego częścią była też zdrowa, wspaniała przeszłość. „My tu w górach jesteśmy niewinni, nigdy nie mieliśmy nic wspólnego z tymi eksplozjami!”.

Matka mówiła mniej o swojej młodości, prawdopodobnie dlatego, że nie chciała nas nią obciążać. Całe życie poświęciła mnie i bratu, gospodarstwu, mojemu ojcu, religii. Jako córka emigranta, która powróciła do ojczyzny, prawdopodobnie też była niektórym solą w oku, bo o emigracji do Rzeszy również nie chciano pamiętać. Ale nigdy nie obnosiła się z tym tak jak mój ojciec – mam na myśli przeszłość. I dlatego z czasem jednak zapomniano, że jej ojciec wyemigrował, a ona właściwie przyjechała z zewnątrz. Większość



ludzi ją lubiła, bo była pracowita, serdeczna, spokojna, a przy tym wesoła.

Gdy w 1991 roku tak nagle zmarła, jej śmierć była dla nas trzech katastrofą. Luke, jaka powstała w rodzinie, można nazwać kraterem. Do obłędu za nią tęskniliśmy! Brakowało jej wszędzie i we wszystkim, była sercem, motorem rodziny. Bez niej wszystko było trochę zaniedbane, nie tylko gospodarstwo – my też. Nie tylko zewnątrz, ale i wewnątrz. Przez całe lata dni były monotonne i szare.

Na co umarła? Na udar. Nagle dostała silnego bólu głowy i zaczęła mówić bez związku. Ojciec zawiózł ją do szpitala w Bolzano. Wszystko działało się bardzo szybko, od razu ją zoperowali. Po operacji już się nie obudziła, następnego dnia zmarła. Nie mogliśmy się pożegnać, ona nie była w stanie niczego uporządkować. Ojciec przez cały dzień nie mógł znaleźć jej paszportu ani aktu urodzenia, nie znał adresu jej ciotki w Austrii ani nawet nie potrafił odnaleźć jej najlepszych butów, żeby je przekazać do zakładu pogrzebowego. Została więc pochowana w kapciach, obok swego ojca.

To nawet ja jestem w lepszej sytuacji! Cyniczne? Nie, mówię poważnie!

Podczas tego urlopu nad jeziorem Garda matka opowiedziała mi wiele o swoim ojcu. Nigdy go nie poznałem, umarł niestety przed moimi narodzinami. Ponoć jestem podobny z twarzy do dziadka jak dwie krople wody. I poza tym też jestem do niego podobny, powiedziała mi to później, kiedy miałem mniej więcej szesnaście lat. Na czym to podobieństwo polegało, nie wiem, wiem tylko, że był muzykalny, namiętnie grał na harmonii i dobrze śpiewał. Tak, prawdopodobnie mam to po nim.

Karl najpierw zdecydował się zostać, w żadnym razie nie chciał emigrować. Bo nie wierzył, że w Trzeciej Rzeszy czeka go raj na ziemi, był na to zbyt wielkim realistą. I dlatego, że nie chciał znów stracić majątku. Był parobkiem w dużym gospodarstwie w dolinie, dopóki się nie ożenił. Żona odziedziczyła gospodarstwo, bo jej ojciec nie miał synów. Karl chciał swoje dzieci wychować w tym gospodarstwie, ich wspólnym gospodarstwie, z którego był tak

dumny, na którym tak ciężko pracował. Gdy ogłoszono możliwość emigracji, jego żona była w ciąży, w końcu, po dziesięciu latach.

Pięć miesięcy później jednak zdecydował się wyjechać. Dlaczego, pytasz?

Zdarzyły się trzy rzeczy: jego żona umarła, rodząc córkę. To była moja matka, dał jej na imię Anna, po swojej zmarłej żonie. Jego siostra, na której pomoc liczył, już latem zdecydowała się wyemigrować. Chciał ją przekonać, żeby została z nim i pomagała w gospodarstwie, ale ona się wzbraniała i znalazła się wśród tych Tyrolczyków południowych, którzy przyjechali w listopadzie do Innsbrucku. A w końcu nagonka na tych, którzy nie chcieli wyemigrować, była tak silna, że podpalili mu oborę i stodołę, gdy był z chorym niemowlakiem u akuszerki mieszkającej na dole, we wsi. Krowy i świnie spłonęły.

W gruncie rzeczy nie miał wyboru, prawda? Dużo się nad tym zastanawiałem, bo mój ojciec kilka razy robił lekceważące uwagi na temat Karla, co bardzo smuciło matkę. Zanim wyruszyłem w ten długi rejs, powiedział mi:

– Gen hultaja odziedziczyłeś po swoim dziadku.

Mój planowany rejs w ogóle mu się nie podobał, przede wszystkim dlatego, że miał w nim uczestniczyć Alessandro, którego nie znosił, i dlatego, że zamiast wyjeżdżać, powinienem według niego wreszcie skończyć studia, wrócić do Tyrolu Południowego i tam znaleźć porządną pracę.

Przed kilku laty, wtedy pracowałem już jako samodzielny projektant stron internetowych, powiedział coś podobnego:

– Młody mężczyzna musi coś osiągnąć i zbudować własnymi rękami, dla siebie i swojej rodziny, a nie ciągle jeździć po świecie jak jakiś nierób.

Ojcu nie podobało się, że zostałem w Wiedniu, wciąż jeszcze mieszkałem w kawalerskim mieszkaniu i co roku wyjeżdżałem w długą podróż, zamiast za te pieniądze zbudować dom w Tyrolu Południowym, dla rodziny. Nie wiedział, co ma myśleć o moim stylu życia, i winę za to, że byłem nieudacznikiem, przypisywał złym genom dziadka.

– Twoja matka przewróciłaby się w grobie, gdyby cię teraz zobaczyła – beształ mnie kiedyś. To było trzy lata temu, tuż przed jego śmiercią. Na co umarł? Na zawał serca. Po prostu przewrócił się na bok w oborze przy karmieniu, gdy mój brat doił krowy. Chociaż miał ponad osiemdziesiąt lat, nie chciał przestać pomagać przy zwierzętach, po prostu wciąż lubił to robić, gospodarstwo było jego życiem.

Piękna śmierć, powiadasz? Tak, właściwie tak.

Karl spakował więc najpotrzebniejsze rzeczy i wiosną 1940 roku podążył za swoją siostrą. Ze złamanym sercem. Tak określiła to moja matka.

– W ciągu kilku miesięcy stracił wszystko: żonę, którą bardzo kochał, gospodarstwo, ojczyznę, wiarę w ludzi. Siedział w pociągu ze mną na kolanach i czuł jeszcze swąd spalonych zwierząt – opowiadała mi w hotelowym pokoju nad jeziorem Garda.

Przez rok zostali w Innsbrucku, w osadzie, w której ulokowano oczekujących Tyrolczyków południowych do czasu, aż znajdzie się dla nich docelowa ojczyzna. Potem on i jego siostra dostali dwa pokoje w dużym gospodarstwie rolnym w pobliżu Linzu. Siostra pracowała w gospodarstwie, pomagała właścicielom przy zwierzętach, a właścicielce – w domu i przy dzieciach. Ponieważ dzieci była tam już czwórka, moja matka jako kolejne niewiele zmieniała. Karl dostał pracę w Stalowni Göringa, do której każdego dnia jeździł rowerem. Zostali przez tę rodzinę przyjęci serdecznie, mimo to tęsknili za ojczyzną, zwłaszcza Karl. Dla niego z początku tęsknota była nie do zniesienia. Potem mu się poprawiło, odzyskał siły i radość życia.

Jego ambicją było poświęcić życie dla Anny i z żelazną konsekwencją odkładał dla niej swoje wynagrodzenie. Chciał, żeby się kształciła. Chciał – gdy będzie dorosła – pomóc jej zbudować godziwą egzystencję. Najważniejsze dla niego było, żeby nie musiała przez całe życie pracować u gospodarzy jako służąca, tak jak wcześniej on.

– Te czasy już minęły! – śmiała się gospodyni, gdy kiedyś z nią o tym rozmawiał.

Siostra Karla wyszła za mąż za pewnego stolarza z sąsiedniej

miejscowości i wyprowadziła się, moja matka miała wtedy siedem lat. Dobrze jej się wiodło w tym dużym gospodarstwie. Gospodyni miała do niej matczyne stosunek i niczego jej nie żałowała. Najmłodsza córka gospodarzy była jej najlepszą przyjaciółką, najstarszy syn – jej pierwszą miłością, w wieku dwunastu lat. Właściwie miała wspaniałe dzieciństwo. Musiała jak inne dzieci pomagać w pracy, ale zostawało jej dostatecznie dużo czasu na zabawę i psoty. Cała piątka razem odrabiała lekcje, budowała domki na drzewie i skrzynie na mydło, spała na sianie i zimą popołudniami jeździła na sankach. A wieczorami Karl grał jej na harmonii i opowiadał o Tyrolu Południowym.

– Jestem tej rodzinie wdzięczna na wieki – powiedziała mi. – Nie wiem, co by ze mnie wyrosło, gdyby nas nie przyjęli.

Gdy miała czternaście lat, Karl i ona przeprowadzili się do małego mieszkania w Linzu, bo gospodarz potrzebował tych dwóch pokoi dla swoich starych rodziców. W życiu Anny to był wielki przełom. Jej ojciec nadal pracował w stalowni, która tymczasem zmieniła nazwę na Połączone Austriackie Huty Żelaza i Stali (VÖEST). Zniszczył tam sobie płuca. Anna chodziła do szkoły gospodarstwa domowego, a gdy ją skończyła, zaczęła pracę jako kucharka w szpitalu. Ta posada niezbyt jej się podobała. W mieście oboje nie czuli się dobrze, byli nieszczęśliwi. W tym czasie matka zaczęła nalegać, żeby w końcu pojechali do Tyrolu Południowego.

W czerwcu 1958 roku, miała wtedy osiemnaście lat, pojechali pociągiem do Welsbergu i dalej autobusem. Moja matka pierwszy raz widziała ojczyznę, którą opuściła jako niemowlę.

Myślisz, że to nie była jej ojczyzna, bo dorastała w Górnej Austrii? Masz rację. Ale ona czuła jakąś więź, już choćby z tego powodu, że Karl zawsze tak dużo jej opowiadał. I góry jej się spodobały. Wiedziała od pierwszego dnia, że chce spędzić życie tutaj, nie w Linzu. We własnym gospodarstwie, a nie w ciemnym dwupokojowym mieszkaniu.

Wynajęli na dwie noce pokój w jedynej gospodzie, a na sali jadalnej wszyscy gapili się na nich jak na trędowatych.

– No, Kofler, Trzecia Rzesza cię wypluła? Teraz wracasz do domu?

– zapytał go zjadliwie starszy człowiek.

I wiesz, co moja matka odpowiedziała?

– Gdyby wypluła nas Trzecia Rzesza, bylibyśmy tu już od trzynastu lat – powiedziała opryskliwie. – Nie ma jej już od maja 1945 roku. A może to do was jeszcze nie dotarło? I nadal podpalacie obory razem z bydłem?

To były pierwsze zdania wypowiedziane przez moją matkę, które usłyszał mój ojciec. Był najmłodszym synem właścicieli gospody i stał za ladą, miał na imię Vinzenz. Nie mógł się głośno nie roześmiać. Nam, dzieciom, opowiadał, że ta błyskotliwa kobieta od razu mu się spodobała, zakochał się w niej na zabój.

Gdy stanęli przed zapuszczonym gospodarstwem, Karl się rozplakał, i kiedy potem usiedli na słońcu, Anna powiedziała:

– Tu jest przecudnie. Pomyślmy o repatriacji, tato, wielu tak zrobiło.

Koniecznienie chciała wrócić do Tyrolu Południowego, prowadzić własne gospodarstwo, i nie przestawała nalegać.

– Nie widzę dla siebie przyszłości w Linzu – kontynuowała. – A tutaj jest kawał ziemi z siedliskiem, która właściwie należy do nas. Dostatecznie dużo zaoszczędziliśmy, żeby wszystko odbudować.

– Nie masz pojęcia, jak traktowani są powracający emigranci – odparł Karl.

– Nie będą nas obgadywać wiecznie – stwierdziła. – Z czasem o tym zapomną.

Karl ustąpił, bo też tęsknił za ojczyzną. Praca w stalowni zniszczyła mu płuca i wciąż nękał go okropny kaszel. Złożyli wniosek o repatriację i przejęcie gospodarstwa, oboje oszczędzali każdy grosz, który zarobili. Zanim formalności zostały załatwione, minęły dwa lata. Potem w końcu przestali być bezpaństwowcami i znów mieli włoskie obywatelstwo. Ponieważ gospodarstwa, które włoskie władze w 1940 roku odkupiły od Karla, nie można było odsprzedać dalej, bez większych trudności otrzymali je z powrotem.

Pod koniec maja 1960 roku moja matka ze swoim ojcem przenieśli się z powrotem do Tyrolu Południowego. Anna była żądna czynu, Karl – ciężko chory.

Nadchodzi jedzenie.

Chcesz, żebym mimo to opowiadał?

Mieli ze sobą sprzęty domowe i wszystkie zaoszczędzone pieniądze. To było dla obojga trudne lato, dzień w dzień ciężko pracowali, żeby dom nadawał się do zamieszkania. Od nowa zbudowali oborę i kupili bydło. To, że znaleźli rzemieślników, którzy dla nich pracowali, zawdzięczali mojemu ojcu. Był po uszy zakochany w Annie i pomagał im, jak tylko mógł. Zostali parą.

Potem, w czerwcu 1961 roku, była Noc Ognia. Grupa o nazwie Komitet Wyzwolenia Tyrolu Południowego wysadziła w powietrze w sumie trzydzieści siedem masztów wysokiego napięcia, z tego dziewiętnaście w rejonie Bolzano. Sparaliżowali w ten sposób wielkie elektrownie i zaopatrzenie w prąd tamtejszej strefy przemysłowej, najczystszy faszystowski symbol. Ta grupa od lat organizowała mniejsze zamachy, Noc Ognia była szczytem ich działalności. Dla zamachowców ważne było, żeby nie narażać ludzi. Ich celem było zwrócenie uwagi świata na problemy Tyrolu Południowego. I udało im się.

Cały Tyrol Południowy zamienił się następnego dnia w obóz wojskowy, doszło do masowych aresztowań. Mój wujek, starszy brat ojca, też został aresztowany i torturowano go w mediolańskim więzieniu. To strasznie rozsierdziło mojego ojca. Przyłączył się do tego Komitetu Wyzwolenia i szmuglował materiały wybuchowe przez góry do naszej doliny. Do tego czasu był przeciwny aktom przemocy. Podczas jednej z takich eskapad niemal go złapali, wciąż był w niebezpieczeństwie. Matka nie miała dla tego zrozumienia i często się kłócili.

– Nie rozumiesz tego, bo się tu nie wychowałeś – stwierdził kiedyś gorzko.

Karl zmarł zimą 1964 roku po niekończącym się ataku kaszlu. Matka z lekarzem przyszli za późno i doktor mógł tylko stwierdzić zgon. Na kołdrze było mnóstwo krwi. Mój ojciec został złapany na przemyśle i przez jakiś czas siedział w więzieniu.

A matka? Była sama w gospodarstwie. To były dla niej najtrudniejsze lata życia.

Byłoby bardzo źle, gdyby nie włoski urzędnik policji finansowej o imieniu Davide.

Ale o tym opowiem ci wieczorem albo, jeśli będę miał gości, jutro rano.

Teraz zjedzmy.

# Wrzesień 2015

## Max

Drugą wiolonczelistkę spotkałem ponownie półtora roku temu u mojego przyjaciela. W jego mieszkaniu. To było wiosną.

Otworzyła mi drzwi i przywitała z kieliszkiem campari w ręku. Dosyć oficjalnie, uściskiem dłoni:

– Piękny wieczór, panie Bauer, miło znów pana widzieć.

No, może nie całkiem tak, ale podobnie.

Felix przyszedł z kuchni i stanął za nią, miał na sobie idiotyczny kucharski fartuch z nagą kobietą, który mu kiedyś podarowałem. Od razu zauważyłem, że między nimi coś jest.

– Nie chcesz serdeczniej przywitać swojej wiolonczelistki, która pomogła ci zdobyć pieniądze i sławę? – zapytał mnie i lekko szturchnął w ramię.

Więc objąłem ją i stwierdziłem, że dobrze pachnie. Gdybym nie wiedział, że to ona, nie rozpoznałbym jej. Na pewno nie. Felix mi o niej opowiadał. Nie dlatego, że tak się postarzała, przeciwnie, wyglądała lepiej, bardziej interesująco niż w wieku dwudziestu lat. Tak, są takie kobiety. Wiele musi dopiero odkryć, co im pasuje, a co nie. Dojrzałe kobiety są często świadome własnych walorów i opanowane, czego brakuje tym młodszym. U niej to się wyjątkowo rzucało w oczy.

Chodź do atelier, wracamy do pracy. Chcesz przedtem szklanek wody? Tak?

Miała subtelny makijaż i była bardzo swobodnie i ze smakiem ubrana, finansowo musiało jej się dobrze powodzić. Jej i jej mężowi. Od Feliksa wiedziałem, że była żoną dość majątnego adwokata. Zeszczuplała, a jej twarz nie była już taka krągła, dziecięce rysy znikły. Spojrzenie nie było zagubione ani nieśmiałe jak wtedy, lecz otwarte i bezpośrednie, roztaczała specyficzną aurę. W jej oczach było coś, co mnie fascynowało. Coś bezczelnego, kokieteryjnego. Głód życia i miłości, szczęścia, wyjątkowych i zwariowanych chwil.



Możliwe jednak, że źle to zinterpretowałem, tak też może być.

Ale wyraz jej twarzy mi się podobał, w ogóle mi się podobała. Najchętniej bym ją zapytał, czy zechce mi kiedyś pozować do aktu. Ona, bogata małżonka adwokata.

Nie, oczywiście, że jej nie zapytałem.

Zadawałam się młodymi studentkami sztuki, które biją się o to, by zostać moimi modelkami. Bo sobie coś po tym obiecują. Ty nic sobie nie obiecujesz? Nie oczekujesz lepszej oceny na seminarium? Żadnej protekcji? Seksu ze mną, żebyś mogła się przechwalać: „Spałam ze słynnym malarzem”. Teraz przed przyjaciółkami, później w biografii. Nie? Nie czerwień się. Tak jest dobrze.

Żartuję tylko.

Ale to wyobrażenie mnie kusilo. A najchętniej namalowałbym oboje, ją i Feliksa, nagich, splecionych ze sobą, leżących na wielkim łóżku. Śpiących.

Przez cały wieczór próbowali ukrywać to, co było ewidentne. Wibracje. Z jakim zachwytem na niego patrzyła, mój Boże. A jak on unikał patrzenia na nią albo odzywania się do niej, idiota. Felix mi opowiadał, że pojawiła się w styczniu w galerii na wystawie i od tego czasu są w kontakcie. *W kontakcie*. Podczas kolacji musiałem się uśmiechnąć przy tym słowie, gdy patrzyłem na nich oboje. Felix siedział po mojej lewej stronie, ona – naprzeciwko mnie. Jedliśmy makrelę z grilla z sosem z kurkumy, smażone ziemniaki i mieszaną sałatkę. Smakowały znakomicie, nie umiałbym tego zrobić lepiej. Felix był pilnym uczniem, gdy mieszkaliśmy razem.

„Pozostaliśmy w kontakcie”, nerwowe chrząknięcie, i jeszcze jedno. Tak, tak. W kontakcie cielesnym, z nadmierną wymianą płynów. Byłem ubawiony. Dopiero kilka tygodni później przyznał, że mieli romans. I gdy to powiedział, przez chwilę byłem o niego zazdrosny.

Poza tym ten wieczór był miły i wesoły, zrobiło się bardzo późno. A właściwie wcześniej. Alkohol też płynął szerokim strumieniem. Przenocowałem u Feliksa na kanapie, a ona wezwała taksówkę. O czym rozmawialiśmy? Przede wszystkim o mnie. Niestety. Mylisz się, przeciwnie, nie lubię być w centrum uwagi. Ale Juliane była żywo zainteresowana moim życiem i karierą. Z początku nie chciałem

mówić o sobie, ale Felix skłaniał mnie do opowiadania.

– Daj spokój, już się tak nie certol – zachęcał mnie. – To przecież oczywiste, że Juliane się tobą interesuje. Poznała cię jako osiemnastoletniego chłopaka uczącego się na kucharza, z długimi włosami i w niechlujnym ubraniu, milczącego i śmierdzącego papierosami, a teraz, dwadzieścia lat później, jesteś sławnym artystą, który wciąż jeszcze nosi niechlujne ubrania, zresztą papierosami też nadal śmierdzisz. Żarty na bok, opowiedz jej trochę o swoim życiu. Przynajmniej wersję skróconą.

Słowa *wersja skrócona* podsunęły mi pomysł, by naprawdę opowiedzieć skróconą wersję w szybkim tempie. I to tę, którą ułożyłem na początku swojej kariery, bo wciąż mnie o to pytano. Prasa aż paliła się do mojej historii. Były wychowanek domu dziecka. To przyciągało uwagę. Niezmiernie pomogło mi w karierze. Umiałem ją na pamięć. Zaczynała się zdaniem: „Omiał nie przyszedłem na świat na ławce w parku”.

Kiedyś pewien redaktor jakiegoś czasopisma o sztuce zapytał mnie, czy potrafię teraz pogodzić się ze swoim trudnym, smutnym dzieciństwem dzięki malowaniu, sukcesowi. Nie umiałem na to uczciwie odpowiedzieć. Prawdopodobnie chciał tylko usłyszeć, że tak właśnie jest. Zastanawiałem się nad tym i doszedłem do wniosku, że nie musiałem się godzić ze swoją przeszłością, bo się z nią nigdy nie kłóciłem. Już kiedy byłem kucharzem, działali mi na nerwy ludzie, którzy jęczeli: „Ach, gdybym miał takie albo inne warunki, jak wspaniale mógłbym się rozwinąć!”.

Myślisz, że teraz łatwo mi tak mówić. Uwierz mi, byłem szczęśliwy również jako kucharz. Gdybym nie został znanym malarzem, otworzyłbym w Wiedniu małą restaurację.

Zacząłem więc klepać w przyspieszonym tempie swoją krótką wersję życiorysu, ale Felix przystopował mnie po trzecim zdaniu, zgniatając serwetkę i rzucając nią we mnie.

– Opowiadaj normalnie – zażądał. – Juliane ma do tego prawo. Bez niej nigdy nie byłoby obrazów, które chciał wystawić właściciel tej berlińskiej galerii.

Zacząłem więc jeszcze raz od początku, w zwykłym tempie

i z właściwą intonacją – Felix zaczął przewracać oczami – opowiadać o swoim życiu, które omal nie zaczęło się na parkowej ławce.

Tobie też mam ją teraz opowiedzieć? Tę skróconą wersję? A po co? Bo cię to interesuje? Ty też masz do tego prawo, bo się dla mnie rozebrałaś? Tak myślisz? Bardzo dowcipne.

No dobrze, to ci ją opowiem. Bo cię lubię. Ale tylko jeśli mniej kurczowo będziesz trzymać rękę na kości łonowej i szerzej rozłożysz nogi, lekko otworzysz usta, ale bez zadawania pytań, i jeśli będziesz patrzeć na wiolonczelistkę! Dokładnie tak!

Mam nadzieję, że pamiętam jeszcze ten tekst. Trochę wyszedłem z wprawy, bo już nie udzielam wywiadów ani nie występuję w telewizji. Dlaczego? Dlatego że mogę sobie pozwolić na to, żeby odmawiać. W każdym razie półtora roku temu Felix musiał mi od czasu do czasu pomagać, ale byłem już trochę pijany.

Moi rodzice, oboje o wiele za młodzi, żeby nimi zostać, i nieradzący sobie z tą sytuacją, jeszcze zanim się urodziłem, mieszkali razem w maleńkim dwupokojowym mieszkaniu socjalnym. Ich rodzice cieszyli się, że młodzi się wyprowadzili, i niespecjalnie się o nich troszczyli.

Wyobraź sobie dwoje młodych ludzi w beznadziei, zaduchu i monotonii tego rodzaju budownictwa! Od początku działali sobie na nerwy. Brak perspektyw w takim życiu przeniknął i otepił ich ciała aż po ostatnią komórkę.

Nie, tego nie nauczyłem się na pamięć, ten wtęt jest dla ciebie. Żebyś zrozumiała, że nigdy – albo przynajmniej bardzo rzadko – nie skarżyłem się na swoje dzieciństwo w domu dziecka. Owszem, mogło być gorzej. I tak też było przez cztery i pół roku mojego życia. Dzięki Bogu, już niewiele z tego pamiętam.

Ojciec był murarzem, matka pracowała jako pomoc kuchenna w hotelu. Poznali się w jakimś barze. Dziecko, ja, nie było oczywiście planowane. W Urzędzie do spraw Młodzieży akta matki mają numer 76-324/313. Zatem już podczas narodzin zostałem włączony do akt. Pewna młoda dziennikarka w Zurychu uznała to zdanie za bardzo zabawne.

Miesiąc przed wyliczonym terminem porodu – poczekaj, właśnie

teraz będzie ta parkowa ławka – pojawiła się kolejna sprawa: przyszedł ojciec, miał na imię Werner, zdenerwował się nieprzyjemną uwagą szefa, po fajrancie upił się z kolegą i nawalony, zataczając się, wrócił do domu, gdzie z kolei zdenerwował się jakąś dziecinną uwagą swojej brzuchatej konkubiny, ona miała na imię Erna, nie, poważnie, i zaczął ją bić paskiem. Po kilku godzinach, to było w środku nocy, udało jej się w końcu uciec z mieszkania. Powłokła się z bólami do przyjaciółki, ale ta jej nie otworzyła, a gdy nagle na środku chodnika odeszły jej wody, zdążyła dojść tylko do położonego w pobliżu małego parku.

Innej młodej dziennikarce w Berlinie powiedziałem, że matka zdążyła jeszcze dojść do cmentarza Centralnego w Wiedniu, gdzie położyła się na ławce. Kobiectnie powilgotniały oczy! A potem była ciężko obrażona, gdy przyznałem się, że ją nabrałem.

To był zwykły, mały, obskurny park w pobliżu budynków socjalnych, jeden z tych, w których młodzi ludzie siedzą całymi dniami. Z huśtawką i zjeżdżalnią, z których nikt nie korzysta, i mnóstwem petów rozdeptanych na ziemi. Matka czasem chodziła ze mną do tego parku. Później jeszcze raz mu się przyjrzałem i go namalowałem. Beznadziejnie pusty.

Starsza kobieta, która spacerowała z psem, usłyszała wołanie matki o pomoc i wezwała karetkę. Ta zdążyła przyjechać na czas. Dlatego właśnie omal nie urodziłem się na ławce w parku.

Taaa, co było dalej?

Również gdy rodzice osiągnęli pełnoletniość, wszyscy troje nadal byliśmy pod kuratelą Urzędu do spraw Młodzieży. Od dyrekcji domu dziecka wiem, że matka musiała trzy razy uciekać do schroniska dla kobiet, jednak zawsze wracała do swojego porywczego Wenera.

Gdy miałem dwa lata, znów zaszła w ciążę, tym razem bliźniaczą. Zajmującej się nami urzędnicze podczas ciąży udało się ją przekonać, by oddała dzieci do adopcji. Więc dwie dziewczynki zostały przekazane zamożnej parze już trzy dni po narodzinach. Ona była wiedenką, on pochodził z Berlina, dokąd później się przeprowadzili. O tym, że miałem siostry, dowiedziałem się dopiero w wieku dwudziestu siedmiu lat. Dobrze słyszałaś. Miałem dwadzieścia siedem lat. Tego dyrektorka domu dziecka mi nie powiedziała. Chyba nie

wiedziała, a jeśli nawet, to nie mogła mi o tym powiedzieć. To była anonimowa adopcja.

Z początku byłem z matką, dopiero dwa lata później odstawiła mnie z płaczem do Urzędu do spraw Młodzieży. Po tym, jak mój ojciec znów stłukł mnie na kwaśne jabłko. Ją zresztą też. Wkrótce potem poznała innego mężczyznę i udało jej się w końcu rozstać z Wernerem. Skończyła szkołę kucharską i prowadziła normalne życie. Mimo to nie zabrała mnie z domu dziecka. Nigdy też mnie nie odwiedziła.

Zgadza się, w wieku piętnastu lat zacząłem naukę zawodu kucharza w pewnym dużym hotelu i przeniosłem się do internatu dla praktykantów. W wolnym czasie malowałem, tak często, jak się dało. Wypożyczałem z biblioteki książki o sztuce, artystach, epokach i stylach, chodziłem na kurs na uniwersytecie ludowym, jednak niewiele się na nim nauczyłem. Większość wiedzy o farbach, materiałach i technikach zdobyłem sam.

O tym, jak poznałem swoje siostry, podczas tej pierwszej kolacji z Juliane opowiedział Felix. Potem nie miałem już absolutnie żadnych wątpliwości, że łączy ich romans. Bo po wyrazie twarzy poznałem, że gdy on opowiadał, ona musiała walczyć z zazdrością. Aż za wiele jest takich kobiet, które są zazdrosne o minione związki i miłości. To zupełnie niezrozumiałe. *Tempi passati to tempi passati*. Zapamiętaj to sobie, moja droga.

Pewnego wieczoru szefowa zawołała mnie z kuchni do restauracji i zaprowadziła do pewnego stolika. Przedtem oznajmiła mi z tajemniczym mrugnięciem oka, że mam wolne na resztę wieczoru. Przy stoliku siedziały dwie młode kobiety. Bardzo szykowne, bardzo eleganckie. A poza tym nie do odróżnienia. Przedstawiły się jako moje siostry: Sibille i Claudia. Z początku myślałem, że ze mnie żartują. Miały dokładnie taki sam głos! Jedna powiedziała:

– Ja jestem Sibille.

Druga dodała:

– A ja Claudia.

I oznajmiły razem z chichotem:

– I jesteśmy twoimi siostrami!

Rozglądałem się cały czas dookoła, czy nie ma gdzieś ukrytej kamery. Uwierzyłem im dopiero, gdy następnego dnia w hotelu pokazały mi swoje dokumenty adopcyjne. I potajemnie sfotografowane akta z Urzędu do spraw Młodzieży, które mogły obejrzeć dzięki znajomościom swojej matki. Właściwie chciały tylko dowiedzieć się czegoś o swoich biologicznych rodzicach. To, że mają brata, było dla nich takim samym zaskoczeniem jak dla mnie fakt, że mam dwie siostry.

Chciały zjeść ze mną kolację, by to uczcić, i zapytały mnie, czy chcę jeszcze kogoś zaprosić. Prawdopodobnie myślały o jakiejś kobiecie, ale ponieważ byłem singlem, do głowy przyszedł mi tylko najlepszy przyjaciel. Zadzwoniłem więc do Feliksa, wyjaśniłem mu, o co chodzi, i poprosiłem, żeby przyszedł. Był już po dwudziestu minutach, ze świeżą koszulą dla mnie. A potem świętowaliśmy tak długo, że następnego dnia obudziliśmy się we czwórkę w moim mieszkaniu, zupełnie skacowani. Ja leżałem na kanapie, Felix z obydwoma damami w łóżku, ale nie mógł sobie przypomnieć, czy i z którą z sióstr uprawiał seks. Przy tej ilości alkoholu najprawdopodobniej z żadną. Gdy robiłem śniadanie, a Felix poszedł po świeże bułki, obie kobiety półnago przeprowadzały inspekcję mojego pełnego chaosu mieszkania i oglądały obrazy, które stały albo wisiały dosłownie wszędzie. Wydawały jeden okrzyk zachwyty za drugim.

– Max, one są naprawdę dobre! – powiedziała Sibille albo Claudia, nie umiałem ich odróżnić.

– Są fantastyczne! – chwaliła ta druga. – Zwłaszcza ten z wiolonczelistką na peronie. To peron? Była twoją dziewczyną? Jak ma na imię?

– Poznałem ją tylko przelotnie w pociągu, a jej imienia już nie pamiętam – odparłem i zapytałem Feliksa: – Może ty pamiętasz?

Ale on też sobie nie przypominał.

Juliane była trochę zła, gdy usłyszała, że obaj zapomnieliśmy jej imię. Dopóki Felix się nie uśmiechnął i nie powiedział:

– To był żart. Oczywiście, że pamiętałem twoje imię.

Ale to nie była prawda.

Potem Claubille powiedziały do mnie:

– Musisz koniecznie przyjechać do Berlina i pokazać swoje obrazy Leo! On może ci pomóc! Zna właścicieli najważniejszych galerii.

Tak też zrobiłem kilka tygodni później. Leo i Maria, rodzice adopcyjni moich sióstr, przyjęli mnie serdecznie. Leo przedstawił mnie pewnemu właścicielowi galerii, a jemu najbardziej spodobał się obraz z wiolonczelistką. Chciał dać mi szansę.

– Ten wyraz twarzy, zamyślony, zaspany i jeszcze dziecinny! Ta postawa! Te rozczochrane włosy! – wygłaszał zachwyty swoim nosowym głosem. – Tak skupiona, jakby chciała dać z siebie wszystko! Chciała na kimś zrobić wrażenie swoją grą? Grupa ludzi dookoła niej, w tle pociąg z otwartymi drzwiami. Jest w tym coś! Zrób z tego serię, różne kąty widzenia, wielkości, techniki, materiały. To najlepiej idzie.

Dzięki Bogu, Felix znalazł stare zdjęcia tej wiolonczelistki, które zrobił na peronie, i mi je dał. Złożyłem wypowiedzenie w restauracji, Leo był gotowy przez rok pokrywać koszty mojego utrzymania.

– Chcę ci pomóc w rozpoczęciu kariery – powiedział w Berlinie. – I nie mówię tego teraz dlatego, że jesteś bratem moich córek, tylko dlatego, że naprawdę masz talent. Przez rok będę ci wypłacał stypendium, żebyś mógł malować. Nie dłużej. Twoja sprawa, co z tym zrobisz.

Malowałem jak opętany, nie, nie tylko wiolonczelistkę, również inne rzeczy. Tak, to w tym czasie powstali *Ludzie pięknie podani na talerzach*. Rok później miałem wystawę w Berlinie. Obrazy szły jak ciepłe bułeczki. Wtedy zaczął się rozgłos. Mieszkałem potem pięć lat w Berlinie, ale ze względu na swoją żonę przenieśliśmy się z powrotem do Wiednia.

Owszem, jestem rozwiedziony i mam siedmioletniego syna. Jesteś dobrze poinformowana. Nie, naprawdę ma na imię Moritz. To był mój pomysł.

Tak, to koniec skróconej wersji mojego życiorysu. Podobnie opowiedziałem go też Juliane tego wieczoru. Tej drugiej wiolonczelistce w moim życiu.

Co, myślisz, że zapomniałem?

Czy mój przyjaciel jechał wtedy do Rzymu razem ze mną? Nie. Poznaliśmy się dopiero podczas tej podróży. On chciał odwiedzić jakiegoś starego rzymianina, który pisał listy do jego zmarłej matki. Ja właśnie skończyłem naukę na kucharza i chciałem wyjechać na jedno lato z Wiednia. Sprawdzić się jako portrecista w Paryżu albo w Rzymie. Podpowiedziała mi to moja pierwsza dziewczyna. Wtedy zdecydowałem się na Rzym i nie żałowałem.

Dobrze nam się rozmawiało w pociągu, Feliksowi i mnie. Zapisałem mu swój adres i numer telefonu w Wiedniu, tak, w internacie dla uczniów. Ale kiedy żegnaliśmy się na tym peronie, myślałem, że i tak nigdy więcej go nie spotkam. Tak przecież zwykle bywa ze znajomościami z podróży. W przedziale wziął ode mnie kartkę i włożył ją do kieszeni spodni.

W grudniu stanął przed drzwiami mojego pokoju i poszliśmy na piwo. Naprawdę przeprowadził się do Wiednia, żeby studiować, tak jak planował. Potem często chadzaliśmy na piwo. A rok później zamieszkałem z nim i jego kolegą, bo w ich mieszkaniu zwolnił się pokój. Mieszkaliśmy we trzech, dwóch studentów i jeden kucharz, i dobrze się rozumieliśmy. Tak było przez trzy lata, a potem Felix i ja razem z synem tego rzymianina wyruszyliśmy w rejs po świecie. Nie, nie całym, tylko przez pół świata. Potem pracowałem dwa lata na „Queen Mary 2”, później znów w Wiedniu.

Czy ją spotykałem, tę wiolonczelistkę? Juliane?

Niestety, bardzo często.

Mówię: niestety, bo powód bynajmniej nie był miły.



## Czerwiec 2015

### Paul

Chcesz wiedzieć, jakie teraz jest moje życie z Juliane?

Czy jest tak uporządkowane, jak tego pragnąłem?

Na to pytanie bez zastrzeżeń odpowiem, że tak.

Nasze codzienne życie od kilku lat biegnie bardzo spokojnie, zwłaszcza odkąd odszedłem z polityki. Już nie musimy się rozdawać, ja nie przyjmuję zbyt wielu społecznych zobowiązań, bo mnie nie interesują. Jeśli o to chodzi, czuję się trochę zmęczony i wyczerpany.

Nie, nie ma u nas pompacyjnych mikołajek jak u mojej matki. Ale wcześniej bardzo często nas zapraszano i my też często przyjmowaliśmy gości. Służbowe kolacje wieczorem, późne śniadania z przyjaciółmi i wycieczki ze współpracownikami i krewnymi. Sam wiesz, jak to jest. Głośne, burzliwe życie. Kilka lat temu mieliśmy już tego dosyć. Tak, te spotkania musiały w większości organizować Juliane, dlatego z początku uczyła tylko dwa albo trzy popołudnia w tygodniu. Czego? Jest nauczycielką gry na wiolonczeli w szkole muzycznej.

Ja spędzam bardzo dużo czasu w kancelarii, ale nadal lubię swoją pracę, jednak wolny czas wolę spędzać w spokoju i sam. Juliane jest za tym, dzięki Bogu. Pod tym względem jest do mnie bardzo podobna.

W roli gospodyni i tak nie czuła się do końca dobrze, nie lubiła tych rozmów o wszystkim i niczym przy stole, zawsze była trochę sztywna i przestraszona, kiedy musiała przebywać w towarzystwie wielu osób. To ma związek z jej traumatycznym przeżyciem w młodości. Miała szesnaście lat, gdy jej młodszy brat zginął w wypadku na basenie. Przez lata korzystała z terapii psychiatrycznej, bo obwiniała o to siebie.

Trudno ci wyobrazić sobie życie z człowiekiem, który przeżył tak ciężką traumę?

Nie wyobrażaj jej sobie jako psychicznego wraka! Już od dawna nie

korzysta z terapii, to było, zanim przyjechała do Wiednia. Udało jej się przezwyciężyć traumę, mimo wszystko jest silną osobowością. Myślę, że nasz związek bardzo jej w tym pomógł.

Tylko w ogóle nie lubi pływać, a kiedy dzieci są w wodzie, siedzi na brzegu basenu i nie spuszcza ich z oka. Ale poza tym nie ma to wpływu na nasze życie. Odkąd się znamy, tylko dwa razy załamała się z tego powodu. Pierwszy raz, gdy mi to opowiedziała, znaleźliśmy się wtedy dopiero kilka tygodni. Drugi raz, kiedy Emilia miała sześć lat.

Juliane poszła z nią kupić torbę do szkoły, a potem zadzwoniła do mnie z płaczem, że mam natychmiast przyjechać, i podała mi adres. Gdy tam dotarłem, stała zupełnie zdruzgotana przed sklepem, a obok niej roztrzęsiona Emilia. Juliane szlochała tak, że ledwie łapała oddech. Nie mogła się uspokoić i musiałem ją zawieźć do domu, gdzie przez resztę dnia leżała w łóżku, płakała albo z krzykiem tłukła rękami o kołdrę. Nie czułem się dobrze, kiedy widziałem ją w takim stanie. Musiałem wezwać lekarza domowego, który podał jej środek uspokajający. Emilia wybrała sobie ciemnoczerwoną torbę, dokładnie taką jak ta, którą Juliane kupiła ze swoim braciszkiem dwa dni przed jego śmiercią. Za miesiąc miał pójść do szkoły. Tydzień później kupiłem z Emilią niebieską torbę.

Co to był za wypadek?

Nie bądź na mnie zły, ale nie mogę ci powiedzieć nic więcej na ten temat, bo Juliane by tego nie chciała. Musiałem jej w pierwszych tygodniach naszego związku obiecać, wręcz przysiąc, że nigdy tego nikomu nie powiem, nawet swojej rodzinie. Tobie wspominał o tym tylko dlatego, że od dwudziestu pięciu lat mieszkasz w Sydney i jutro tam wracasz. Jeśli chodzi o twoje wiedeńskie kontakty, prosiłbym cię o dyskrecję.

Mój ojciec się o tym oczywiście dowiedział, kazał ją sprawdzić pewnemu znajomemu adwokatowi w Innsbrucku. Zareagowałem skrajnym gniewem, ale muszę przyznać, że rodzice nigdy nie wykorzystali tego przeciwko niej, od początku traktowali ją serdecznie. Czuli, że to właściwa osoba dla mnie. Dlaczego? To było widać na pierwszy rzut oka. Trudno to teraz opisać. Umiała się powstrzymywać, lubiła trzymać się w cieniu.

Jest zupełnie odmienna od Isabelli, nie tylko zewnątrz, pod każdym względem. Szczerze mówiąc, to był powód, dla którego się nią w ogóle zainteresowałem. Po rozwodzie byłem przekonany, że temat kobiet skończył się dla mnie na zawsze.

I zakochałem się w Juliane też nie natychmiast, tak jak w wypadku mojej pierwszej żony. Z Isabellą na początku było wszystkiego w nadmiarze, a potem coraz mniej, aż w końcu nic nie zostało. Z Juliane było zupełnie odwrotnie, wszystko powoli rosło. Z perspektywy uważam, że to o wiele piękniej.

Wiesz, jestem przekonany, że my, mężczyźni, wciąż lubimy się zachowywać jak myśliwi, podnieca nas, gdy możemy zdobywać kobietę i kiedy ona nam tego nie ułatwia, prawda? Dopiero po czterech miesiącach przespaliśmy się ze sobą, a ja byłem dla niej tym pierwszym. Nie, to nie żart. Z Isabellą nie trzeba było nawet dwudziestu czterech godzin, żebyśmy się na siebie rzucili, bo to ona mnie uwiodła.

Co robiliśmy przez cztery miesiące?

Rozmawialiśmy i rozmawialiśmy. Chodziliśmy na kolacje. Na koncerty. Graliśmy w tenisa. Wyjeżdżaliśmy na krótkie wycieczki. Chodziliśmy do kina, na spacer. Śmiejesz się? Wydaje ci się to nudne? Uwierz mi, ludzie powinni dużo więcej spacerować, wówczas nie będą się czuli tak zestresowani. Podczas spaceru schodzi się piętro niżej – tak określiłaby to Emilia. W niedzielę chodziliśmy na mszę. Tak, to też.

I dziś nadal robimy to wszystko. Jesteśmy dobrym małżeństwem. Dobrze się rozumiemy, bo o ważnych sprawach myślimy tak samo. Tylko jeśli chodzi o wychowanie dzieci, zdarzają się między nami różnice zdań. Juliane oferuje dzieciom czułą opiekę, nic więcej. Przynajmniej ja to tak określam. Ona się z tym zgadza. Chciałaby, żeby swobodnie się rozwijały i mogły same odkryć, jakie życie chciałyby kiedyś prowadzić. I uważa, że nie należy na to wpływać inaczej, niż tylko dając im swoim zachowaniem konkretny przykład. To powinno wystarczyć, tak mówi.

W jakim są teraz wieku? Emilia ma siedemnaście lat, w przyszłym roku szkolnym zdaje maturę. Leon ma dziesięć lat i jesienią pójdzie

do gimnazjum. Tak, tego samego, do którego chodziliśmy.

Ja jednak chciałbym jakoś ich ukierunkować, chciałbym mieć wpływ na ich poglądy, wybór zawodu, ich zasady i postawy. Kształtowanie dzieci to jest dla mnie wychowanie. Przy odnajdowaniu siebie trzeba im pomagać i nimi kierować. W przeciwnym razie człowiek zatacza się, idąc przez życie chwiejnym krokiem, bez żadnej orientacji.

Popełniam ten sam błąd co moi rodzice?

To, że to nie był błąd, zauważyłem dopiero jako dorosły człowiek.

Chciałbyś wiedzieć, czy moje małżeństwo nadal jest dobre, mimo romansu Juliane z moim klientem?

On nie jest żadnym ciężarem albo prawie żadnym, nie zniszczy naszego małżeństwa.

Nie o to chodzi.

Zamówię sobie jeszcze jedną whiskey, nie była wcale taka zła. Ty też?

Nie, czuję się dobrze, nie martw się.

## Grudzień 2015

### Juliane

Wiesz, nie sędzę, żeby romans miał coś wspólnego ze zdradzonym partnerem. Przynajmniej w większości przypadków nie ma. Odpowiedzialność jest tylko po jednej stronie. Romanse się zdarzają, bo jesteśmy ludźmi! Bo pociąga nas inny człowiek. Bo jesteśmy napaleni na tę drugą osobę i chcemy się z nią realizować. Nie mam żadnego zdania na temat tego śmiesznego przypisywania komuś winy, bo przecież zachowanie partnera na co dzień albo w życiu seksualnym jest tak niezadowolające, bo ona lub on był dla mnie tak zły i odrażający, że nie można było inaczej, no niemalże wepchnął mnie w ramiona tego drugiego. To przecież służy tylko usprawiedliwieniu, tylko uspokojeniu sumienia, to wszystko. Ukryciu tego, że się było pożądlwym, pożałowało się tego dreszczyku emocji, tej ekscytacji, tych motyli w brzuchu, i tego, że człowiek nie chciał zaakceptować ograniczeń, nie dawał się zadowolić. Czym? Zaufaniem i oparciem, prawdziwą sympatią, tak, również cichą, nudną rutyną, to też chyba jest część wspólnego życia.

Myślisz o tym inaczej? Prawdopodobnie wielu myśli o tym inaczej. Ja w każdym razie wiele się nad tym zastanawiałam.

Paul również dużo zajmował się tą kwestią. Czy w samej naturze człowieka leży potrzeba znalezienia winnego i niezdolność do zaakceptowania tego, że coś się po prostu zdarza? Czy może to wyraźne szukanie winnego pojawiło się dopiero z rozwojem cywilizacji? Napisał o tym swoją drugą rozprawę doktorską.

Wtedy, przed dwoma laty, przypisywałam swojemu mężowi winę i czułam, że mam prawo zacząć ten romans. Dzisiaj wiem, że to nie było takie proste, że powodowało mną też coś innego. Mogłam przecież porozmawiać z Paulem! Powiedzieć mu, że widziałam go w kawiarni z Isabellą. Przez to, że przemilczałam to, co widziałam, sama nie byłam uczciwa.

Co jeszcze mną powodowało? A co innego? Pragnienie ponownego

spotkania z Feliksem i ochota na przygodę!

Ale to uświadomiłam sobie dopiero wiele tygodni później, i to przez pewien sen.

Przedtem jednak chcę ci opowiedzieć, co się dalej działo w ten weekend.

Odebrałam Leona od jego przyjaciela i pojechałam z nim do domu. Puściłam mu film na DVD, bo byłam rozkojarzona i nie chciałam z nim grać w monopol.

To przekroczyło granice mojej tolerancji, czułam to, gotowałam się z gniewu. Siedziałam co sobota sama z dziećmi w domu, bo mój mąż miał dużo pracy, a przynajmniej tak przede mną udawał, ale czas na intymne rozmowy ze swoją byłą żoną to miał! Byłam pewna, że ze sobą nie sypiali, całkowicie ufałam Paulowi w tej kwestii, ale przecież seks to nie wszystko. Gdybym ich nakryła na jakimś ostrym, pozbawionym uczuć, szybkim numerku, byłoby mi chyba nawet łatwiej.

Tak, wiem, to prawdopodobnie nieprawda, ale tak myślałam tego popołudnia. Fakt, że się spotykali, potajemnie, i tak życzliwie ze sobą rozmawiali, on z taką czułością gładził ją po twarzy, ona przy nim płakała, tego dnia wydawał mi się większą zdradą niż jakiś szybki numer. Rozumiesz to, prawda?

Moje myśli wirowały. Z jednej strony zastanawiałam się, czy nie odwołać spotkania z Feliksem i nie zapytać Paula wprost o jego randkę – to prawdopodobnie byłaby właściwa droga – z drugiej strony już myślałam o tym, co mam na siebie włożyć następnego wieczoru.

Gdy Paul wrócił do domu, byłam ciekawa, czy powie mi o spotkaniu z Isabellą. Był zmęczony jak pies i zasnął na kanapie. Nie wspomniał mi o tym ani tego dnia, ani następnego, a mnie wewnątrz prawie rozrywało z gniewu i upokorzenia. To przemilczenie oznaczało dla mnie, że mąż coś przede mną ukrywał. Czy spotykali się od czasu do czasu, żeby być blisko siebie, żeby się wygadać? O czym rozmawiali? O mnie? Na tę myśl prawie dostawałam świra.

Przemknęło mi też przez głowę pytanie: skąd ta moja pewność, że

ze sobą nie sypiali? Może jednak to robili, i w dodatku przez cały czas? Czy Paul prowadził ze mną jakąś zakłamaną grę? To zupełnie do niego nie pasowało! Naprawdę aż tak się co do niego myliłam? Zapytał mnie tuż przed pójściem spać, czy obejrzałam ten obraz w galerii, poza tym nie rozmawialiśmy tego dnia, jak to mieliśmy w zwyczaju. Zastanowiłam się i odpowiedziałam:

– Jest tylko do mnie podobna.

Tak zaczęły się kłamstwa między nami. Możesz mi wierzyć, to był straszny weekend.

A potem pierwszy raz pojechałam do Feliksa. Pamiętam wszystko, jakby to było wczoraj. Paul w ciągu dnia poszedł z Leonem na narty, Emilia uczyła się do jakiejś klasówki w szkole, ja próbowałam przećwiczyć nowy utwór Bacha, ale nie mogłam się skupić.

Powiedziałam Paulowi wieczorem, że idę na drinka z przyjaciółką, a on zapytał, czy chcę przedtem zjeść spaghetti z sosem carbonara, bo miał właśnie gotować, tak, pamiętam nawet taki szczegół. Podziękowałam i się przebrałam.

Gdy wychodziłam, wszyscy troje siedzieli przy stole, jedli i rozmawiali. Stałam w drzwiach na korytarz, spojrzałam na nich i poczułam się nędznie. To była moja rodzina, a ja właśnie szłam ją zdradzić. Wiedziałam, że wciąż jeszcze mogę zostać.

Cicho się pożegnałam, Leon wesoło mi pomachał i zamknęłam za sobą drzwi. Co oznaczała moja decyzja, że jadę? Zadawałam sobie to pytanie, gdy szłam do samochodu. Że zyskałam jakąś nową wolność czy że porzuciłam ideały? Po drodze zadawałam sobie pytanie, czy jadę teraz do Feliksa z pożądania, czy z wściekłości.

Punkt ósma nacisnęłam dzwonek przy nazwisku Hofmann. Jak się czułam? Byłam tak zdenerwowana, że sobie nie wyobrażasz, serce waliło mi jak wściekłe, a twarz płonęła. Na powitanie Felix pocałował mnie w oba policzki, a prawą dłoń przytrzymał trochę za długo na moim ramieniu, ten dotyk był elektryzujący. Dostrzegłam, że był u fryzjera, i zauważyłam, że mnie to poruszyło.

Moje zdenerwowanie nagle zniknęło jak sen, po prostu czułam się już tylko dobrze. Wiesz, on to umiał zrobić, sprawić, że człowiek czuł się dobrze w jego towarzystwie. Niewielu ma taki talent. Ja często

czuję się spięta wśród ludzi.

To podobne do outsiderki? Tak mówisz?

Był w dobrym humorze, sprawiał wrażenie wyluzowanego. Czy przychodzą mi do głowy jakieś inne cechy? Oczywiście, mogłabym wymienić wiele, ale te dwie wyjątkowo rzuciły mi się w oczy tego pierwszego wieczoru. Było mi z nim wesoło, często mnie rozbawiał, i owszem, to mi się podobało. Przy nim czułam się lekko, wszystko przychodziło mi z łatwością, co na ogół zdarzało się rzadko.

Wcześniej często czułam ten ciężar, przed którym nie umiałam się bronić. Znasz to? Gdy rozum podpowiada, że jest się szczęśliwym, ale serce albo nie umie tego poczuć, albo czuje to rzadko?

Musiałam sobie powtarzać: „Wszystko jest w porządku. Masz kochającego męża, dwoje wspaniałych dzieci, kochasz ich. Jesteś dobrą nauczycielką gry na wiolonczeli, masz piękny dom, niczego ci nie brakuje. Będiesz spokojna, jesteś silna”.

Ale ja chciałam nie musieć sobie tego powtarzać! Chciałam, żeby wszystkie pory mojego ciała przenikało to beztrudne uczucie szczęścia. I z Feliksem tak było. Zarażał szczęściem.

Wciąż żonglował w kuchni dwoma jajkami, zanim je wbił na już obłożoną pizzę – to była jego specjalność, jak mówił: jajka sadzone na pizzy. Opowiadał mi anegdoty ze swego dzieciństwa. Wychował się w położonym na uboczu gospodarstwie w wąskiej dolinie Tyrolu Południowego wraz ze swoim bratem Mathiasem i często płatali figle włoskim gościom. Podawał jedzenie i nalewał wino tak, jakby był szefem sali. Nie, nie, to nie było nienaturalne czy przesadzone, pasowało do niego. Był autentyczny.

Jego mieszkanie w starym budynku również się do tego przyczyniało, stanowiło jeden z czynników dobrego samopoczucia, tak myślę. Było urządzone jednocześnie stylowo i przytulnie. Na ścianach wisiało mnóstwo oprawionych fotografii z podróży, wśród nich kilka zdjęć ładnej blondynki. Opowiadał mi, że ona, Antonia, była kobietą jego marzeń, ale niestety sześć lat temu się z nią rozstał, po pięciu latach związku, bo miał problem typowy dla mężczyzn.

– To znaczy? – zapytałam.

– Chciała zamieszkać ze mną i założyć rodzinę, wyjść za mąż



i zbudować własny dom, a ja się bałam o swoją wolność – odpowiedział. – Byłam idiotką. Dziś tego żałuję.

Podobała mi się jego szczerość.

Na ścianach wisiało też kilka obrazów Maksa Bauera.

– Skąd właściwie znasz Bauera? – dopytywałam się. – Od kilku lat jest chyba całkiem dobrze ustawiony w tym interesie.

Wtedy spojrzał na mnie poirytowany:

– Ty też go znasz! Siedział wtedy z nami w pociągu.

Byłam zupełnie zaskoczona, gdy to usłyszałam!

Maximilian, ten młody człowiek z pryszczatą twarzą i długimi, tłustymi włosami, który prawie się nie odzywał i na każdym dworcu, gdy tylko pociąg się zatrzymał, wyskakiwał, żeby szybko zapalić papierosa – to miał być ten słynny malarz Max Bauer?

– Ten młody kucharz? – zapytałam z niedowierzaniem.

– Właśnie ten – odpowiedział ze śmiechem Felix. – Powinnaś teraz zobaczyć swoją minę!

– Kontaktowaliście się? – chciałam wiedzieć.

– Tak, kilka miesięcy później wpadł do mnie i poszliśmy na piwo. Mieszkaliśmy nawet trzy lata razem, tu, w tym mieszkaniu, z jeszcze jednym studentem, to był dobry układ – powiedział Felix. – A ty? Masz jeszcze kontakt z tym adwokatem?

Teraz ja musiałam się roześmiać, a Felix ledwie mógł uwierzyć, gdy mu powiedziałam:

– Wysłałam za męża za tego adwokata.

Opowiedziałam mu, jak znów spotkałam Paula w Asyżu i że to on pomógł mi przenieść się do Wiednia po tym lecie. Potrzebowaliśmy chwili, żeby się uspokoić.

– Powinniśmy się spotkać we czwórkę – zaproponował rozentuzjasmowany Felix. – Naprawdę, powinniśmy to zrobić, byłoby miło! Na początku lipca, dobrze? Pójdziemy na elegancką kolację i będziemy świętować dwudziestą rocznicę. Mój Boże, Max nie uwierzy, jak mu to opowiem!

Paul też mi nie uwierzy, pomyślałam.

Czy spotkaliśmy się w lipcu? Pytasz o to spotkanie we czworo? Nie, oczywiście, że nie. Przecież jeszcze tej samej nocy zaczęłam romans

z Feliksem, nie wyobrażałam sobie, że mogłabym usiąść przy jednym stole z mężem i kochankiem i prowadzić niezobowiązującą rozmowę. Uważasz, że to mogło być zabawne? Felix też tak stwierdził, miał do tego luźniejszy stosunek niż ja. Ja w każdym razie bym sobie z tym nie poradziła, aż tak bezczelna i pozbawiona skrupułów nie jestem.

Ale kiedyś siedzieliśmy jednak razem we czwórkę, Felix, Max, Paul i ja, to było w szpitalu, dużo później. Cierpliwości, jeszcze ci o tym opowiem.

Wiesz, co było najpiękniejsze w tej nocy? Abstrahując od tego, że seks był dobry.

Na ścianach salonu wisiały dwie gitary, po kolacji wskazałam na nie i zapytałam, czy mi coś zagra.

– Tylko jeśli zagrasz ze mną – odpowiedział i zdjął obie gitary.

Położył przede mną teczkę z tekstami piosenek, a ja ją przekartkowałam. To były piosenki, które znałam i lubiłam. *Bobby Brown Goes Down* Franka Zappy, *If You Can't Give Me Love* Suzi Quatro, *Streets of London* Ralphi McTella, *Take Good Care of My Baby* Smokie, *No Women No Cry* Boba Marleya i jeszcze wiele innych.

Felix zagrał mi *Shame and Scandal in the Family* Shawna Elliotta, piosenkę, której dotychczas nigdy nie słyszałam. Miał dobry głos i patrzył mi cały czas w oczy, gdy śpiewał, a we mnie wszystko topniało. Tak, to brzmi kiczowato, wiem!

I to było kiczowate – kiedy tak siedział przede mną, śpiewał i patrzył mi głęboko w oczy.

Potem zaśpiewał jeszcze jedną piosenkę Freddy'ego Quinna, mianowicie *Die Gitarre und das Meer*, uśmiełam się przy tym, bo tak śmiesznie wymawiał „r” i naśladował patetyczny wyraz twarzy piosenkarza. A potem zagraliśmy i zaśpiewaliśmy razem dwie piosenki, *A Whiter Shade of Pale* Procol Harum i *Wonderful Tonight* Erica Claptona.

To nie tylko dobrze brzmiało, świetnie się też przy tym czuliśmy. Cudownie było razem muzykować! Tak, tak, tak cudownie, nie potrafię opisać tego uczucia! Zawsze żałowałam, że Paul nie gra na żadnym instrumencie i że dzieci nie chciały uczyć się muzyki.

Felix odwiesił gitary i usiedliśmy na kanapie z kieliszkami wina.

A potem, to już przecież wiesz, odwróciłam się do niego, dotknęłam jego ramienia i zaczęliśmy się całować. Dwie godziny później pojechałam do domu i o wpół do trzeciej padłam do łóżka, śmiertelnie zmęczona i jednocześnie szczęśliwa. Paul odwrócił się do mnie w półśnie i zapytał, mamrocząc, czy było miło z przyjaciółką.

Następnego dnia obudziłam się, czułam się skacowana, rozbita i po prostu nędzna. W domu było zupełnie spokojnie, Paul zostawił mnie śpiącą, zrobił śniadanie i po drodze zabrał dzieci do szkoły. Zawsze tak robił, kiedy poprzedniego dnia wychodziłam, a czasem też bez okazji. Dopiero około pierwszej lub drugiej po południu miałam zajęcia w szkole muzycznej.

Próbowałam jeszcze troszkę się przespać, zwykle uwielbiałam ten stan pomiędzy snem a przebudzeniem. Nagle przypomniałam sobie wszystko, co stało się podczas weekendu, to były obce, nierzeczywiste obrazy, i miałam nadzieję, że to tylko resztki snu, które stopniowo się rozwieją. Ale nie, cholera, to się naprawdę stało! Widziałam Paula i Isabelle w kawiarni, on głaskał ją po policzku, a ostatniej nocy go zdradziłam. Pierwszy raz, odkąd byliśmy parą. On coś przede mną przemilczał, ja go o to uczciwie nie zapytałam, a potem okłamałam. A przede wszystkim poszłam do łóżka z pierwszym mężczyzną, który stanął na mojej drodze – żeby się poczuć lepiej i żeby się zemścić.

Byłam wstrząśnięta i jednocześnie pusta, miałam wrażenie, że ta niewinność, która nas łączyła, się ulotniła. Nigdy nie myślałam, że Paul i ja moglibyśmy funkcjonować w związku pełnym kłamstw i sekretów, zawsze uważałam nasz związek za wyjątkowy.

Ty też? Dla ciebie byliśmy wręcz idealną parą? Cieszy mnie to po tym wszystkim. Ja też uważałam nas za idealną parę.

Bałam się, jak od teraz będą wyglądać nasze wspólne, dobrze znane nawyki. Jak zakłamana farsa? Szłam spać z poczuciem siły i wolności, a obudziłam się pokonana.

Gdy potem czyściłam w łazience zęby, patrzyłam w lustrze na swoją twarz, czułam się stara i wyczerpana. Nie mam talentu do takiej roli, myślałam. Życzyłam sobie tylko, żeby wszystko znowu było jak przedtem, zanim poszłam do galerii i zobaczyłam Paula z jego byłą żoną. Potem znów ogarnął mnie gniew i czułam, że

miałam do tego prawo, a potem znów się wstydziłam.

Przez dwadzieścia lat wszystko było tak oczywiste, moje życie, moje małżeństwo, teraz wszystko powlekał jakiś brud. Miałam poczucie, że straciłam coś bardzo cennego.

To uczucie utrzymywało się przez dwa dni, potem przyszedł SMS od Feliksa, a moje serce zabiło szybciej, gdy go czytałam. Znów zapraszał mnie na kolację. Jak zakochana nastolatka przycisnęłam komórkę do piersi, gdy już dziesięć razy przeczytałam ten SMS. Co? Oczywiście, że go skasowałam! Ale przedtem potwierdziłam spotkanie.

Pojawiło się jeszcze coś innego: myśli o Feliksie i jego nagim ciele były silniejsze niż wściekłość na męża.

Oszalałam na jego punkcie. Zupełnie zwariowałam. To było jak gorączkowe odurzenie, jak uzależnienie, sama siebie już nie poznawałam. Uważasz mnie za chłodną i opanowaną? Tej wiosny nie byłam taka w najmniejszym stopniu, możesz mi wierzyć.

Moje myśli kręciły się tylko wokół niego, na co dzień byłam dość nieobecna duchem. Koleżanka ze szkoły muzycznej zapytała mnie kiedyś ze współczuciem, czy to nie przedwczesna menopauza, na co wzięłam się w garść i bardziej uważałam.

Widywałam się z nim z początku trzy razy w tygodniu, po jakimś czasie rzadziej – dwa razy w tygodniu. Przyjeżdżałam do niego albo późnym przedpołudniem, albo wieczorem. Przed południem było mi znacznie łatwiej, bo nikogo nie było w domu i nie musiałam usprawiedliwiać swojej nieobecności. Felix wolał, gdy przychodziłam wieczorem i zostawałam do pierwszej lub drugiej w nocy, był nocnym markiem.

Ja wolałam przedpołudnie, gdy razem zjadaliśmy nago śniadanie w jego łóżku, a słońce świeciło, i gdy nie czułam się następnego dnia jak przepuszczona przez wyżymaczkę.

## Maj 2015

### Felix

Boli cię? Mam zadzwonić po pielęgniarkę? Nie?

Nie możesz spać? Ja też.

Tak bardzo chciałbym być teraz w swoim mieszkaniu. Gotowałbym, grał na gitarze, obejrzał sobie dobry film. Tak, jak o mnie chodzi, to również sam. Nie mam nic przeciwko byciu samemu, nigdy się ze sobą nie nudziłem. A może jednak kogoś bym zaprosił? Tę kobietę, która wciąż przynosi papaje? Tak, może ją.

Ma na imię Juliane.

Uważam, że wieczory są najgorsze, ciągną się w nieskończoność. Tak jakbym miał do dyspozycji cały czas tego świata, chociaż to oczywiste, jaki mam problem z czasem.

Najchętniej bym wstał, ubrał się i po prostu wyszedł z tej zapomnianej przez Boga sali, zjechał windą na dół i poszedł pospacerować na świeżym powietrzu. Duszę się tutaj! Zapach w tym pokoju jest dla mnie prawie nie do wytrzymania. Jestem tu już o wiele za długo. Prawdopodobnie już stąd nie wyjdę.

Nie wierzysz? To miło, że tak mówisz. Nie powinienem tyle myśleć, tylko opowiadać dalej?

Podobają ci się zatem opowieści z Tyrolu Południowego? Cieszę się, że odwracają twoją uwagę.

We wszystkim, co dotyczy Tyrolu Południowego, pobrzmiewa zawsze jakaś mityczna nuta, prawda? Albo spróbuję to wyrazić inaczej – pewna ckliwość. Coś, co wyciska łązy.

W którym miejscu wczoraj przerwałem? A tak, na tym włoskim policjancie finansowym. O nim dowiedziałem się dopiero po śmierci matki. Dzięki jego listom.

Ona umarła w 1990 roku, miałem wtedy szesnaście lat, a mój brat dziewiętnaście.

Dobrze nam szło w tym czasie. Ja chodziłem do szkoły średniej, Mathias zakończył naukę zawodu ślusarza i usamodzielniał się

w małym warsztacie przy gospodarstwie. Ale przyjmował niewiele zleceń, bo ojciec już nie dawał sobie rady sam z całą pracą w obejściu. Brat miał potem przejąć gospodarstwo, ja miałem zamiar gdzieś studiować, albo w Austrii, albo we Włoszech.

Tymczasem mieliśmy sześćdziesiąt sztuk bydła i hale do ich wypasania, roboty zawsze było więcej niż dosyć. Musiałem dużo pomagać, zwłaszcza latem, nie tylko przy sianie, lecz także przy gościach. Od końca lat siedemdziesiątych matka w większym z naszych pokoi prowadziła małą gospodę, latem karmiła wędrowców, zimą – narciarzy biegowych. Nie, to byli zwykle zagraniczni goście, z Austrii, Niemiec, Włoch, miejscowi przychodzili raczej w niedziele na obiad. Lubiła tę pracę, chętnie gotowała i rozmawiała z ludźmi.

W czerwcu i wrześniu przychodzili Austriacy i Niemcy, którzy za wiele jedli, pili i lamentowali: „To po prostu niepojęte, że ten piękny Tyrol Południowy należy do Włoch!”.

W międzyczasie, w gorących miesiącach, Włosi uciekali ze swoich miast w nasze chłodne góry, jedli, pili za dużo i wzdychali z zadowoleniem: „Cóż to za błogosławieństwo, że piękna Górna Adyga należy do Włoch!”.

Potem urządziła w domu gościnny pokój i wynajmowała go, żeby zarobić dodatkowe pieniądze. Chciała z tego sfinansować nam studia. Z początku przyjeżdżali tylko Austriacy i Niemcy, Włosi dopiero później, ponieważ ojciec długo się przed tym bronił, w ogóle nie chciał, żeby mu się po podwórku kręcili obcy ludzie, a już na pewno nie Włosi. Matka przeforsowała jednak swoją wolę, a on później przyznał, że to był dobry pomysł, bo przynosił łatwo zarobione pieniądze. I poza tym dostatecznie dużo tyrali. Ale przede wszystkim dlatego, że bliżej poznał Włochów, zwykłych ludzi, którzy nie mieli nic wspólnego z uciskiem, jaki spotykał niemiecką mniejszość. Większość z nich nic nie wiedziała o naszej historii. Myślę, że wtedy mógł się trochę ze wszystkim pogodzić.

Ojcu nie podobało się, że chciałem studiować. Matka popierała moje plany, on się przed nimi bronił. Życzył sobie, żeby obydwaj synowie pozostali we wsi, jeden miał nadal prowadzić gospodarstwo,

drugi zbudować coś sobie na kawałku ziemi obok – mały hotel albo pensjonat. Mieliśmy się wzajemnie wspierać i patrzeć, jak rosną nasze dzieci. Być wielopokoleniową rodziną. Z punktu widzenia ojca praca bez żadnego planu nie miała sensu.

– Mam tylko dwoje dzieci – mówił. – Gdybym miał pięcioro albo sześcioro, byłoby mi obojętne, że jedno chce się wyprowadzić.

Wciąż próbował przedstawiać mi ideę posiadania ziemi i samodzielności jako coś godnego pożądania.

– Po co studiować, jeśli możesz tutaj do czegoś dojść, na swojej własnej ziemi? Chcesz skończyć jako najemnik gdzieś za granicą? – Tak się ze mną kłócił i to działało mi na nerwy.

Przepraszam, znów odbiegłem od tematu. Właściwie chciałem opowiedzieć o tym włoskim policjancie finansowym.

Matka zmarła nagle w maju 1990 roku na udar mózgu. To było straszne dla nas wszystkich, byliśmy zszokowani i sparaliżowani żalem. Jeszcze nigdy nie widziałem tak płaczącego człowieka jak ojciec nad jej grobem. Zatrudniał na godziny pomoc domową, bo jego stara ciotka nie dawała sobie rady z gospodarstwem i pracą przy gościach. Ale to niewiele zmieniło, po prostu brakowało zaangażowania mojej matki, która była sercem i duszą tego gospodarstwa. Musieliśmy w końcu zamknąć gospodę, a i pokój gościnny też przestaliśmy wynajmować. Tak czy owak już nikt go nie rezerwował. Bo kto chciałby spędzać urlop w męskim gospodarstwie?

– Gdybym przynajmniej miał córkę – poskarżył się ojciec księdzu po mszy.

Czułem się urażony.

Kilka miesięcy po śmierci matki przyszedł do niej list. Adres napisany był regularnym, pięknym odręcznym pismem, brakowało nadawcy. Ojciec wziął ten list do ręki, dokładnie go obejrzał i w końcu nieotwarty wrzucił do ognia w piecu.

Pół roku później listonosz znów przyniósł list do matki. Przechwyciłem go i ukryłem pod swoim materacem. W nocy go przeczytałem. Był napisany po włosku i podpisany imieniem Davide, w nagłówku listu podane było pełne nazwisko, Davide Bianchi, i adres w Rzymie. W liście były też dwa zdjęcia, jedno przedstawiało

starszego mężczyznę, oceniałem go na mniej więcej sześćdziesiąt lat, z dzieckiem na ręku. Drugie pokazywało tego samego mężczyznę z jakimś bardzo młodym chłopakiem. Byli do siebie podobni. Starszy mężczyzna wydawał mi się znajomy. Czyżby był kiedyś naszym gościem? – zastanawiałem się. Na odwrocie fotografii było napisane „Alessandro i ja”. Gdy przeczytałem imię Alessandro, od razu sobie przypomniałem, skąd znam tego mężczyznę: to byli ten rzymianin i jego syn, których poznałem wtedy nad Gardą. On miał na imię Davide, przypomniało mi się. Czyżby moja matka i ten mężczyzna korespondowali ze sobą?

List nie był długi, a ja mogłem go bez trudu przeczytać. Davide opisywał swoją codzienność, najwyraźniej był wdowcem i niedawno przeszedł na emeryturę. Pisał o mnóstwie turystów, którzy w tym czasie oblegali Rzym, o rejsie żaglówką ze swoim najmłodszym synem Alessandrem, o córce Francesce, która urodziła trzecie dziecko. I pisał też o swojej samotności, i że wciąż pamięta o niej, Annie, i ma nadzieję na jakiś list i ponowne spotkanie, choćby krótkie. Niczego więcej nie chciał.

Przeczytałem ten list kilka razy, a potem go spaliłem. Nie wiedziałem, co mam o tym myśleć. Czyżby tych dwoje aż tak się zbliżyło nad Gardą?

Dalej chodziłem do szkoły, a w wolnym czasie pracowałem w domu. Ojciec rozebrał starą, walącą się oborę i budował nową. Poza tym rozbudował górne piętro i oprócz tego jednego pokoju do wynajęcia urządził jeszcze trzy kolejne. Wydawało się, że nie mógł przestać.

– Chcę przekazać synom coś więcej niż podupadające gospodarstwo – mówił.

Przeliczył się przy tym z pieniędzmi. Już wkrótce nie mogliśmy sobie pozwolić na rzemieślników, na pomoc domową i tak od dawna nie starczało, większość pracy wykonywaliśmy sami. Nie wyobrażasz sobie, jakie to wszystko było beznadziejne. Budowa trwała bez końca, wciąż wszystko było brudne, w kuchni nikt na nas nie czekał z ciepłym posiłkiem ani uśmiechem.

Tak mijał czas. Przyszedł jeszcze jeden list i miałem szczęście, bo



znów udało mi się go przechwycić. Davide opisywał codzienność na swój pogodny sposób i prosił matkę, żeby mu odpisała. Zapraszał ją, by przyjechała do Rzymu: „Tak chciałbym pokazać ci swoje miasto!”.

Pokoje gościnne były gotowe, a ojciec powierzył nam zadanie stworzenia prospektu reklamowego i wysłania go do wszystkich gości. Gdy świętowałem z kilkoma kolegami osiemnaste urodziny, zaaranżował to tak, że zrobił zdjęcie, na którym Mathias, ja i dwie ładne dziewczyny staliśmy przed domem. Tego zdjęcia użyliśmy w prospekcie jako zdjęcia rodzinnego.

Tak, tak, wiem, dlaczego się śmiejesz i co chcesz powiedzieć. Trochę chłopskiego sprytu czasem się przydaje, uwierz mi.

Powoli zaczęły pojawiać się rezerwacje, a my znów zatrudniliśmy na godziny młodą dziewczynę, Sabine, która pomagała nam przy gościach. Ja całe lato zajmowałem się sprzątaniami pokoi, przygotowywaniem śniadania, dbaniem o dobry nastrój gości. Wiem, że nieźle mi szło. Kiedy grałem im na gitarze, wszyscy rozpływali się z zachwytem.

– Jesteś naszą tajną bronią – mówił do mnie Mathias. – Robisz dobre wrażenie.

Zaczelśmy wynajmować pokoje również zimą, a ponieważ obok naszego domu biegła trasa narciarska i wyciąg był niedaleko, od początku dobrze nam szło. Interes kwitł.

Potem znów przyszedł list od Davide. Tym razem, gdy go otworzyłem, wypadła z niego stara fotografia. Widać było na niej młodych kobietę i mężczyznę, siedzieli na ławce przed domem. I to był ewidentnie mój rodzinny dom. Mężczyzna obejmował kobietę ramieniem i patrzył na nią. To była moja matka, tajemniczo uśmiechała się do aparatu. Pisał o dawnych czasach i o tym, że nie potrafi o niej zapomnieć: „Tak dużo myślę o tobie i często ogarnia mnie przy tym nostalgia. Byłaś moją wielką miłością. Chciałbym się z tobą spotkać, przynajmniej raz, kto wie, ile jeszcze czasu nam zostało. Dlaczego już do mnie nie piszesz?”.

Romantyczne, mówisz? Tak, zgadza się. Ale gdyby dotyczyło to twojej matki, która dostaje listy od jakiegoś obcego faceta,

prawdopodobnie uważałabyś to nie tylko za romantyczne, lecz przede wszystkim za zadziwiające.

Zapytałem brata:

– Matka opowiadała ci coś o jakimś Davide?

Mathias nic oczywiście nie wiedział i wcale nie spodziewałem się, że będzie inaczej. Nawet gdyby chciała o tym komuś opowiedzieć, to powiedziałaaby raczej mnie, to ja byłem jej ulubieńcem. Miałem nawet odwagę zapytać ojca, ale nie udzielił mi żadnej konkretnej odpowiedzi, odparł tylko:

– Nie draż w przeszłości.

Napisałem do Davide list, w którym poinformowałem go, że matka umarła trzy lata temu. Nie mogłem powstrzymać się od ciekawskich pytań, kiedy i gdzie ją poznał i w jakich byli relacjach.

W wieku dziewiętnastu lat skończyłem szkołę i zdałem maturę. Od czasu do czasu przemyślałem, co zrobić: zostać na gospodarstwie czy jednak studiować? Wiedziałem, że jestem tam niezbędny, nie chciałem zostawiać brata w potrzebie, czułem się zobowiązany, by zostać. To ja najlepiej komunikowałem się z gośćmi, beze mnie pewnie musieliby znów zamknąć pensjonat, czułem się odpowiedzialny. Wmawiałem sobie, że wszystko jest w porządku, dziewczyny w dolinie mnie ubóstwiają, byłem członkiem zgranej muzycznej kapeli, często wychodziłem z domu.

Ale wiedziałem, że we wsi jest mi za ciasno, i zawsze marzyłem, by się stamtąd wyrwać. Chociaż to marzenie, muszę przyznać, od śmierci matki trochę przybladło. Dlaczego? Było po prostu zbyt wiele innych priorytetów. A matka była jedyną osobą, która moje marzenie traktowała poważnie i mnie wspierała. Ojciec zaproponował, że mnie zatrudni i będzie mi wypłacał odpowiednie, nawet spore wynagrodzenie, a ja tę propozycję przyjąłem.

Myślałem sobie: czas pokaże, teraz zostaję na rok, a potem zobaczą, jeszcze zdążę skończyć studia. Ale już jesienią żałowałem tej decyzji. Noce stały się dłuższe, dni krótsze, w domu nie było gości, następni mieli przyjechać dopiero około Bożego Narodzenia, a życie w gospodarstwie, we wsi, mnie nudziło.

Wiosną dostałem list od Davide. Zapraszał mnie do Rzymu: „Mój

syn Alessandro i ja ucieszymy się, jeśli zechcesz nam towarzyszyć w naszym corocznym lipcowym rejsie. Wtedy chętnie ci opowiem, kiedy i gdzie poznałem twoją matkę”.

Tak napisał.

Czy pojechałem? Tak, pojechałem.

Ale o tym opowiem ci jutro.

Teraz już naprawdę powinniśmy spać.

Dokładnie za pięć godzin przyjdzie siostra, głośno powie nam „dzień dobry”, wręczy termometry i wesoło zażąda: „Moi panowie, proszę zmierzyć temperaturę!”. Jak co dzień.

Ten rytuał jest chyba ważny. Prawdopodobnie chcą w ten sposób od razu po przebudzeniu przypomnieć pacjentom o ich chorych ciałach. Gdyby pewnego ranka ten ceremoniał się nie odbył, wszyscy by wiedzieli, że na oddziale musiało się stać coś strasznego.

Albo jakiś szaleniec zagroził pistoletem personelowi pielęgniarstwu i zażądał termometrów, które potem zabrał ze sobą do domu, gdzie wszystkie z rozkoszą rozdeptał. A jego awersja do termometrów była tak wielka, bo matka zawsze dręczyła go mierzeniem temperatury w odbycie, ponieważ była zdania, że to sposób znacznie dokładniejszy niż inne. Albo jakiś lekarz otruł siostrę dyżurną, bo go porzuciła.

Wiem, głupoty gadam.

Obiecuję, że przestanę jęczeć, wzdychać i przewalać się z boku na bok. Zamiast tego będą mi się w głowie przewalać myśli. Zwłaszcza w nocy nie dają mi spokoju, tłuką się po czaszce, gdzieś grzęzną. Nigdy nie uciekają.

Leżę tu, pozwalam im się błąkać i czekam.

Dopóki nie zasnę.

Dobranoc!

# Wrzesień 2015

## Max

Dlaczego zdecydowałem się na zawód kucharza?

Były trzy powody. Tego dnia, kiedy matka zaprowadziła mnie do domu dziecka, upiekła dla mnie przedtem strudel jabłkowy. Z prawdziwego strudlowego ciasta, które rozciągała na stole drobnymi ruchami. Wydawało mi się cudem, że ciasto było coraz większe i cieńsze! To właściwie jedyne jej wspomnienie, jakie mam. Byliśmy sami w domu, ojciec był w pracy. Wyglądała bardzo ładnie, dobra, wiem ze zdjęć, że nie była piękną kobietą, ale mnie, czterolatki, wydawała się wówczas przepiękna. Jej twarz była wyjątkowo promienna i trochę smutna, wydawała mi się smutną, cichą księżniczką. Obrała dużo jabłek, kroїła je na kawałki i od czasu do czasu dawała mi jeden.

W pierwszych dniach w domu dziecka byłem oczywiście bardzo nieszczęśliwy i tęskniłem za matką. Przestałem rozumieć świat. W kuchni czułem się najlepiej, tam przestawałem płakać. Siedziałem na pomocniku obok zlewu, bawiłem się garnkami, wałkiem, sztućcami do sałaty i przypatrywałem gotowaniu. Tak mi później opowiadała kucharka. Nazywała się Berta i wyglądała dokładnie tak, jak człowiek wyobraża sobie typową kucharkę. Taką z książki z obrazkami. Albo babcię. Krągła, z przetykanymi siwizną włosami, miękkimi rysami twarzy. Była aniołem! Nosila mnie na rękach, opowiadała mi historyjki, głaskała i czasem wyściskała. Opiekunowie rzadko nas przytulali.

Masz rację, zawsze miałem szczęście w nieszczęściu. Spędzałem wiele czasu u niej w kuchni, również wtedy, kiedy chodziłem już do szkoły głównej. Pomagałem jej w gotowaniu, najbardziej lubiłem ładnie układać potrawy na talerzach, ona nie miała na to czasu. I była jedyną osobą, której pokazywałem swoje obrazki.

– Masz czarodziejskie ręce – powiedziała do mnie kiedyś.

Pewien opiekun koniecznie chciał, żebym został stolarzem. Bo

uważał, że jestem zręczny, no i dlatego, że jego brat szukał ucznia do warsztatu. Wszyscy opiekunowie mi perswadowali: „Zgódź się, tak trudno znaleźć dobre miejsce do nauki!”. Ale ja koniecznie chciałem zostać kucharzem. Jeśli już nie matura, nie studia, nie kariera artystyczna, to właśnie kuchnia. Berta mnie popierała.

Sam sobie znalazłem praktyki. Nie chciałem się uczyć w zwykłej knajpie, gdzie turystom wrzuca się na talerz tłuste pieczone kiełbaski z frytkami. Chciałem dostać się na praktyki w pierwszorzędnej restauracji, takiej odznaczonej w kulinarnych przewodnikach gwiazdkami lub czapkami, w której będę mógł się uczyć od najlepszych kucharzy. Wiedziałem już przecież, jak zrobić sznycel. Później przyjęto mnie w drugim z kolei hotelu na mojej liście życzeń – tak, zrobiłem sobie taką listę. Znow szczęście w nieszczęściu? Tym razem rozstrzygający był dryl wprowadzony w kuchni przez Bertę, jestem o tym przekonany. Po trzech próbnym dniach w hotelowej kuchni szef powiedział:

– Jeszcze nigdy nie widziałem piętnastolatka, który tak szybko i dokładnie obiera ziemniaki i kroci warzywa. Masz tę posadę. Nie rozczaruj mnie.

Nie, nie rozczarowałem go. Wiem, bo powiedział mi to kiedyś, i nigdy nie żałowałem, że zostałem kucharzem. Chociaż pierwsze lata nauki były dość trudne.

Pierwsze lata w malarstwie były równie trudne, o ile nie trudniejsze. Co było najtrudniejsze? Publiczne występy, konieczność mówienia dużo, tłumaczenia swoich dzieł. Trzeba się było dobrze sprzedawać.

Tak mi powiedział w 2004 roku pewien specjalista PR w Berlinie, z którym umówił mnie Leo, bo uważał, że potrzebuję osobistego trenera i menedżera w jednym. Powiedziałem mu, że chcę sprzedawać swoje obrazy, nie siebie, na co on zrobił mi wykład:

– Nie chcę tego więcej słyszeć! Dzisiaj już się tak nie da! Sztuka jest biznesem! Musi się pan nauczyć sprzedawać siebie! O to właśnie chodzi! Ludzie zazwyczaj nie chcą jakiegoś obrazu jakiegokolwiek malarza, bo im się spodobał. Chodzi o to, żeby nabywcy pańskich obrazów chcieli powiedzieć swoim znajomym: „Powiesiłem w domu

Bauera! Prawdziwego Maksa Bauera!”. I każdy ma przy tym nazwisku kojarzyć pańską twarz, pańskie życie, tak, również pańskie dzieciństwo w domu dziecka, pańską pracę kucharza! Pańskie nazwisko musi stać się pańską marką! Musi pan być rozpoznawalny, wszędzie!

Potem jeszcze dorzucił, że jestem, dzięki Bogu, młody i mam dobry wygląd, co bywa pomocne przy wchodzeniu na rynek. To było do wyrzygania.

Jako kucharz mogłem się ukryć w kuchni i nie musiałem być elokwentny, moje dzieła zanoszono do stołów, podziwiano i zjadano. Nie miałem obowiązku stać obok i bredzić o swoim dzieciństwie. Albo o tym, co dla mnie oznacza gotowanie. Pochwały przekazywali mi kelnerzy i to mi wystarczało.

Czy potem jednak zacząłem to lubić? Ten raban dookoła siebie i sławę? Nie, szczerze mówiąc, nigdy. Ale powoli stało się to rutyną. Wrosłem w tę rolę, przygotowałem sobie jakieś wypowiedzi i już się tak nie denerwowałem. A teraz mam odwagę odmawiać wielu spotkań. Mogę sobie na to pozwolić.

Większość pytała mnie, co sprawia, że jest się artystą. Co stanowi o tym, że ja jestem artystą? Albo czym jest dla mnie sztuka. Redaktorzy, prezenterzy telewizyjni, ludzie, którzy kupowali moje obrazy. Na początku kariery było to dla mnie kłopotliwe, bo myślałem, że oczekują ode mnie jakiejś wysoce intelektualnej odpowiedzi.

Ty też chcesz się teraz tego ode mnie dowiedzieć?

Ależ jesteś ciekawską modelką!

Maluję, bo taki mam talent. Tak jak inni mają talent do robienia z drewna przepięknych mebli. Lub talent do traktowania ze zrozumieniem dzieci albo starszych ludzi. Oczywiście, że to też jest talent! Mówisz, że nie można na tym za wiele zarobić? Pewnie masz rację. Ale z takim też można być szczęśliwym. Nie uważam, że jeden talent jest więcej wart od drugiego.

Maluję, bo aż się palę do tego. Ogarnia mnie depresja, jeśli nie maluję dłuższy czas. Wchłaniam wrażenia i muszę je przenieść na płótno, bo aż mnie rozdziera. Te wrażenia przygniatają mnie

kolorowymi obrazami i mocno wczepiają się we mnie pazurami. Bardzo intensywnie odbieram to, co widzę wokół siebie, i bardzo intensywnie to również przeżywam. Moje życie wewnętrzne często aż kipi od nośnych kolorów, obrazów i scenek.

Dlaczego jeszcze maluję?

Bo z wysiłkiem nauczyłem się tego rzemiosła i teraz mam poczucie, że umiem to robić. Przynajmniej w pewnym stopniu. Kolorymetria, techniki mieszane, perspektywa, proporcjonalność.

Bo jestem w swojej pracy zdyscyplinowany. No cóż, z tą dyscypliną to tylko po części prawda. Jeśli chodzi o czas, nie o perfekcję. Są takie tygodnie, kiedy nic mi nie wychodzi. Te muszę po prostu przeczekać. Moje obrazy muszą być w końcu idealne. To subiektywne odczucie, wiem. *Ja* muszę postrzegać je jako doskonałe, przedtem nie odłożę pędzla czy ołówka. I nikt ich wcześniej nie zobaczy. Pokazuję je dopiero wtedy, gdy jestem przekonany: teraz to jest to!

Talent, namiętność, rzemiosło i dyscyplina. To są według mnie składniki mojej sztuki. Nie szybuję w jakichś przestworzach, które są dla innych niedostępne. Jestem zwykłym śmiertelnikiem.

Czasem rozmawiałem o tym z Juliane. Bardzo ją to interesowało. Bo jest muzykiem. Chciała zrobić karierę jako wiolonczelistka, nie chciała koncertować, nie, w młodości marzyła, by występować z własnym zespołem, we dwoje albo we troje, z różnymi instrumentami. Opowiadała nam o tym w pociągu do Rzymu, ale dopiero gdy napiła się czerwonego wina Feliksa. Wtedy trochę się rozkręciła. Chciała zmieniać utwory dawnych kompozytorów, na nowo je aranżować, po części jazzowo. To marzenie porzuciła już podczas studiów, bo zdecydowała się na męża i rodzinę. Jedno z drugim było dla niej nie do pogodzenia.

Dlaczego? Bo chciała grać perfekcyjnie! Bo chciała się do tego palić! Przeciętność jej nie interesowała. Przy rodzinie i obowiązkowych spotkaniach, na których musiała bywać z mężem – ten facet angażuje się w dziesiątki stowarzyszeń i objął mnóstwo honorowych patronatów – występowanie na scenie z własnym zespołem nie miało szansy stać się powołaniem, to byłoby raczej hobby. A wówczas lęk, że nie jest dość dobra, wciąż by jej

towarzyszył. Tego nie chciała.

Ja dobrze ją rozumiałem. Felix nie do końca. Chciał ją namówić, żeby jednak zaczęła karierę. „Nigdy nie jest za późno” – tak jej mówił. A ona tylko się śmiała. To był rozumny śmiech. Skończyła z tym i nie czuje się z tego powodu nieszczęśliwa. Praca nauczycielki gry na wiolonczeli przez kilka godzin w tygodniu zupełnie jej wystarcza. Nie jest naiwna. To była dla niej decyzja albo-albo i wybrała.

Czy często ich widywałem? W zeszłym roku wiosną tylko raz albo dwa razy w miesiącu. Czasem Felix zapraszał mnie na kolację i ona była u niego. Od czasu do czasu chodziliśmy do Kosmosu na drinka. Nie znasz tego baru? Wiele nie straciłaś. To w pobliżu mieszkania Feliksa. Dawnego mieszkania. Kiedyś był lubiany wśród studentów. Tam Juliane się nie obawiała, że zobaczy ją ktoś ze znajomych.

No tak, i raz spotkaliśmy się nawet w Monachium. Nie, nie przypadkiem. Miałem tam wernisaż, a oni przyjechali we dwoje i świętowali ze mną. Spędzili dwie noce w hotelu i znakomicie się bawili. Tak przynajmniej twierdził Felix. Juliane nie wyglądała, jakby się znakomicie bawiła, sprawiała wrażenie spiętej. Mężowi powiedziała, że jedzie z koleżanką do Monachium na koncert. Żeby pojechać z Feliksem, stworzyła łańcuszek kłamstw i nie czuła się z tym dobrze, wyznała nam to szczerze po wernisażu, przy wyjściu.

Tak, Juliane była świadoma, że wiem o ich romansie, i uważała, że to w porządku. Wierzyła, że tego nie roztrąbię.

Nie, moja droga, jesteś pierwszą, która się tego ode mnie dowiaduje. A i dyskrecja nie ma już teraz specjalnego znaczenia. Choć mimo to jednak cię o nią poproszę.

Dlaczego? Bo już nie ma romansu.

I dlatego, że jej mąż i tak się później dowiedział, no i dlatego, że kilku przyjaciół Feliksa też to wyczuło, chyba również jego rodzina. Nikt o to nie pytał. Nie było durnego szeptania po kątach: „Och, mój Boże, czyżby coś między nimi było?”

To wszystko działo się dopiero tej wiosny, nie w zeszłym roku. Każdy po prostu czuł, że to jest w porządku, że ona jest tam ze względu na niego. Myślę, że jego rodzina była jej nawet trochę



wdzięczna. I ja też byłem, nawet bardzo. Jej obecność to i owo ułatwiała.

Co się działo?

Felix był ciężko chory. Rak.

Cieszyłem się, że podczas choroby tak się o niego troszczyła, przyjmowałem to prawie z ulgą. On też się jej kurczowo trzymał.

Wiesz, są kobiety, które mają nadzwyczajnie rozwinięty instynkt macierzyński i to daje im siłę. Zawsze działają na innych jak kompensujący biegun spokoju. Ona jest takim typem. Ale ma w sobie jednocześnie coś miłego, elastycznego, miękkiego i łatwego do urażenia. Prawdziwa samiczka, powiadasz? Mówisz to tak pogardliwie – czyżbym miał przed sobą demona feminizmu?

Nie, nie samiczka, nie to chciałem powiedzieć. Nigdy wcześniej nie spotkałem człowieka aż tak pełnego sprzeczności. Jak gdyby sama nie wiedziała, kim jest.

Dlaczego tak dużo o niej mówię? A nie o swoim przyjacielu? Nie zwróciłem uwagi. Czyżby ktoś tu był zazdrosny? Nie?

To jestem spokojny.

W każdym razie Feliksowi dobrze robiło, że spędzała z nim tak dużo czasu. Co nią powodowało i dlaczego, w jego sytuacji i tak było najmniej ważne.

Uważam, że gdyby był wtedy sam, byłoby w tym coś nędznego, marnego. Gdyby był z nim tylko brat z rodziną i dwóch, może trzech przyjaciół. Tak, to byłoby smutne. Cała reszta i tak była smutna. I po prostu już tylko straszna.

Uważam za wspaniałe to, że była z nim jeszcze kobieta, która go codziennie odwiedzała, coś przynosiła, troszczyła się, siadała przy jego łóżku i masowała mu plecy.

I dawała mu poczucie, że jest kochany.

## Czerwiec 2015

### Paul

W przyszłym miesiącu minie dwadzieścia jeden lat od dnia, kiedy poznałem w pociągu swoją żonę. Miałem wtedy dwadzieścia dziewięć lat i od niedawna byłem rozwiedziony, ale rozstaliśmy się już dawno. Z Isabellą kłóciliśmy się za każdym razem, kiedy odbierałem Jade, z ojcem kłóciłem się niemal codziennie w kancelarii. Czułem się samotny, ale o kobietach już nie chciałem myśleć. Kiepsko mi się wiodło.

Poza tym wybrałem się w tę podróż, żeby przemyśleć, czy powinienem przyjąć twoją propozycję. Pamiętasz? Podczas wizyty w Wiedniu zaproponowałeś mi, żebym przyjechał na rok lub dwa do Sydney. Załatwiłeś mi posadę asystenta na uniwersytecie, a na początek mogłem mieszkać u ciebie. Chciałeś mi pomóc, bo w tym czasie marnie mi szło.

– Musisz po prostu wyjechać z Wiednia, żeby odzyskać jasność umysłu – powiedziałeś.

Jeszcze dziś jestem ci wdzięczny za tę propozycję. Tak, wiodło mi się cholernie źle. Ale w tej podróży jasno uświadomiłem sobie, że nie mogę tak po prostu się ulotnić, muszę zostać. Tu była moja córeczka, Jade, miała wówczas dopiero sześć lat i potrzebowała mnie.

I poznałem podczas tej podróży Julianę. To chyba była ostatnia, rozstrzygająca sprawa, która skłoniła mnie do pozostania.

O ile pamiętam, wyjechałem praktycznie bez żadnego planu. Do Włoch. Chciałem spędzić dwa, trzy dni w Rzymie, potem przez kilka dni wędrować dokądkolwiek. Po prostu iść, zastanawiać się nad swoją sytuacją i zyskać jasność co do paru spraw. Z ojcem znów była w kancelarii awantura i już nie mogłem znieść tej atmosfery między nami. Następnego dnia spakowałem plecak i pojechałem na dworzec. Ponieważ nie dostałem biletu na kuzetkę czy do wagonu sypialnego, siedziałem w przedziale dla sześciu osób, ale było mi to zupełnie obojętne. Chciałem tylko uciec z tego upalnego miasta.

W przedziale siedziałem z trójką młodych ludzi, kobietą i dwoma mężczyznami, którzy po chwili zaczęli pić wino i rozmawiać. Mówili między innymi o swoich planach na przyszłość, a ja, rozbawiony, przysłuchiwałem się ich rozmowie. Byli tacy młodzi! Co najmniej dziesięć lat młodszy ode mnie, dziewczyna wydawała się trochę starsza, przynajmniej wyglądała na dojrzałą od tych chłopaków, którzy gadali same głupoty. Czy podróżowali razem? Nie, wcześniej się nie znali.

Ta dziewczyna, Juliane, miała ze sobą wiolonczelę, taboret i mały plecak przypięty do jego pokrowca. Chciała najpierw obejrzeć Rzym, a potem pojechać dalej pociągiem do Spoleto i przez kilka dni iść na piechotę aż do Asyżu. Z wiolonczelą na plecach.

– Jeśli będę miała ochotę, usiądę pod cienistym drzewem – mówiła – a we wsiach będę grać pod kościołami.

– Za pieniądze? – zapytał jeden z chłopaków, a ona zaprzeczyła.

– Nie, tak po prostu.

To zrobiło na mnie spore wrażenie. Młoda kobieta, która wędruje przez Włochy z wiolonczelą i gra pod kościołami. Przez chwilę z nią rozmawiałem, o instrumencie i o muzyce, i zadziwiła mnie jej wiedza. Później rozmawiała z jednym z chłopaków, tym pochodzącym z Tyrolu Południowego, nazywał się Felix Hofmann i siedział naprzeciwko niej.

Zgadza się, właśnie ten. Ten, dla którego sześć miesięcy temu zrobiła banana split.

Widać było, że się sobą zainteresowali. On z nią flirtował, ona była raczej nieśmiała. Umówili się na kolację następnego wieczoru w Rzymie, podała mu nazwę swojego hotelu, a on podał jej godzinę, o której ją stamtąd odbierze. O czwartej nad ranem rozłożyliśmy siedzenia, żeby się jeszcze trochę przespać. Ona leżała przy oknie, ten Tyrolczyk obok niej, potem ten drugi młody człowiek i ja. Jego stopy, które miałem przed twarzą, akurat przyjemnie nie pachniały, więc z początku nie mogłem zasnąć. Dostrzegłem, że tych dwoje zaczęło się całować. Hofmann i ta dziewczyna.

Trzy dni później znów ją spotkałem, tuż za miasteczkiem Spoleto, na trasie pielgrzymek do Asyżu. Nie, samą, bez tego chłopaka. On

miał w Rzymie zupełnie inne plany. O ile dobrze pamiętam, chciał odwiedzić starego przyjaciela swojej rodziny czy matki. Wczesnym rankiem wyruszyłem ze Spoleto i byłem w drodze już od czterech godzin, gdy nagle usłyszałem dźwięki wiolonczeli. Od razu wiedziałem, że to musi być ona. Siedziała w cieniu pod wielkim drzewem, kawałek od drogi, i grała. Podeszedłem do niej, usiadłem obok i słuchałem.

Czy spotkałem ją tam przez przypadek?

Nie całkiem.

Zapamiętałem, jaką drogą pielgrzymkową zamierzała pójść, i spontanicznie zdecydowałem się na tę samą, bo jednak nie chciałem iść piechotą z samego Rzymu. Jak dla mnie w tej okolicy było zbyt wielu turystów. A poza tym i tak nie miałem żadnych konkretnych planów. Tak, przyznaję, z jednej strony miałem nadzieję, że ją spotkam, z drugiej myślałem, że i tak nie ma na to żadnej szansy, bo z pewnością zatrzymała się w Rzymie. Z tym chłopakiem z Tyrolu Południowego.

Ucieszyła się, gdy mnie zobaczyła, nawet bardzo, tak czułem. Ja też się ucieszyłem. Odtąd szliśmy razem aż do Asyżu, przez trzy dni, a potem dalej, do Gubbio. Przez większość czasu niosłem jej wiolonczelę, a ona mój plecak. Szliśmy rankiem, we wczesnych godzinach, kiedy nie było zbyt gorąco, potem kładliśmy się pod drzewem i spaliśmy albo czytaliśmy, ona czytała *Proces* Kafki i to zrobiło na mnie duże wrażenie. Czasem wyjmowała wiolonczelę i grała. Nosila krótkie wystrzępione džinsy, obcięte tuż nad kolanami, ale zawsze zanim zaczęła grać, wkładała długą, kolorową spódnicę.

– Wiolonczelistka w szortach? To nie wypada – wyjaśniła.

Szliśmy obok siebie, często milcząc przez długi czas i to nigdy nie wydawało się dziwne, panował między nami pewien rodzaj harmonii. Potrafiła słuchać. I ta harmonia miała na mnie kojący wpływ. Dziwiło mnie to.

Dlaczego? Bo była taka młoda! Miała dopiero dwadzieścia lat! Była o dziewięć lat młodsza ode mnie.

Opowiedziała mi, że od roku studiuje medycynę, bo namówiła ją na to matka, ale wolałaby studiować w wyższej szkole muzycznej grę

na wiolonczeli. Marzyła o karierze artystycznej. Wyprowadziłaby się ze swojej rodzinnej miejscowości do dużego miasta, ale nie chciała zostawić matki samej.

Gdy dotarliśmy do Asyżu, grała przez godzinę pod bazyliką św. Franciszka, podczas gdy ja siedziałem w środku w ostatnim rzędzie ławek i słuchałem jej przez otwarte drzwi. Później jedliśmy razem pizzę i ona nagle zaczęła mówić o winie, już nie pamiętam dokładnie, co powiedziała. „Jak można się uwolnić od winy, która jest tak wielka, że kogoś przytłacza?” albo jakoś tak, a ja czułem, że coś musi jej ciążyć. Od tej chwili jeszcze bardziej chciałem poznać ją bliżej.

Problem winy zawsze mnie interesował, to wiesz, często o tym rozmawialiśmy. Jestem pod tym względem fenomenem, mówisz? Już to, że się urodziłem, kim się urodziłem, dla mnie byłoby powodem do wyrzutów sumienia? Być może masz rację. Głównie w młodości jako ciężar odczuwałem to, że nie musiałem sam zbudować siebie, swojego życia, nigdy nie musiałem walczyć jak inni. W pewnym sensie to też jest wina.

Dlaczego ją interesował ten temat, dowiedziałem się dopiero trzy miesiące później. W Wiedniu. Gdy mi powiedziała, co stało się tamtego lata, była taka zrozpaczona i sprawiała wrażenie tak kruchej, tak łatwej do zranienia. Chyba w tym momencie dotarło do mnie, że zaczynam się w niej zakochiwać.

W Gubbio wsiedliśmy do pociągu i pojechaliśmy nad morze, do Grado, gdzie moi rodzice mieli mieszkanie. Ale nie czuła się tam dobrze, nagle stała się inna niż przedtem i powiedziała, że to była zła decyzja, by tu ze mną przyjechać. Po jednej nocy zdecydowała się wrócić, a ja pojechałem z nią.

W pociągu przekonywałem ją, że powinna jednak nabrać odwagi i przeprowadzić się do Wiednia, że jej pomogę w szukaniu mieszkania, we wszystkim. Miałem wrażenie, że chciała dać się przekonać. Wymieniliśmy się numerami telefonów i ona wysiadła w Innsbrucku. Po czterech dniach zadzwoniłem do niej i trochę pogadaliśmy, po dwóch dniach ona zadzwoniła do mnie i powiedziała, że się zdecydowała. Chce się przeprowadzić do Wiednia i studiować grę na wiolonczeli. Zapropnowałem, że

przywiozę ją i jej rzeczy, a ona podziękowała.

Pod koniec września pojechałem więc do Tyrolu. Przedtem znalazłem małe mieszkanie w śródmieściu i wynająłem je w jej imieniu. Wychowała się w pobliżu Innsbrucku, w małej miejscowości, w pięknym domu na skraju lasu. Zwróciłem na to uwagę, przyznając, bo byłem ciekaw jej pochodzenia. Bo rodzina, z której się wywodzi, jest ważna. Pamiętam, że porównywałem ją z rodziną Isabelli.

Nie, nie chodziło mi o dobrobyt, matka Juliane też nie jest bogata, nie zrozum mnie źle! Chodziło mi o stosunki między ludźmi, o sposób bycia, szacunek, może też o wykształcenie, o pewną atmosferę. Dom był zadbane, jasny i przyjaźnie urządzone, to zauważyłem na pierwszy rzut oka, ale jednocześnie wydawał się cichy i pusty. To samo dotyczyło jej matki. Była przyjacielska, zadbane, w dodatku bardzo dobrze wykształcona i ambitna zawodowo, co moi rodzice od początku bardzo doceniali, ale też spokojna, i emanowała jakimś smutkiem. Była chirurgiem, specjalistką od transplantologii, jedną z pierwszych kobiet w tej specjalności. Rodzice byli rozwiedzeni, Juliane nie miała rodzeństwa. O jej zmarłym bracie wtedy jeszcze nie wiedziałem. Miała dobre relacje z matką, która była jednak przesadnie opiekuńcza, Juliane natomiast raczej zdystansowana.

W Wiedniu z entuzjazmem rzuciła się w wir studiów. Jesienią regularnie się widywaliśmy i coraz bardziej mi się podobała, czułem, że chcę z nią zamieszkać, i bardzo się o nią starałem. Lecił mi trzydziesty rok życia i już za długo byłem sam. Przed Bożym Narodzeniem przedstawiłem ją swojej rodzinie jako przyjaciółkę i poczułem ulgę, bo ją zaakceptowali i polubili. Po roku przeprowadziła się do mojego mieszkania, a dwa lata później zaczęliśmy planować budowę domu, wtedy była już w ciąży z Emilią. W wieku dwudziestu czterech lat była już zameźną matką i zdejmowała ze mnie wiele obowiązków. Od początku bardzo dobrze robiła to, co miała do zrobienia, i wydawała się zadowolona, ale czasem patrzyłem na nią i miałem wyrzuty sumienia.

„Miłość nie szuka swego”, tak jest napisane w trzynastym rozdziale *Pierwszego Listu do Koryntian*. Tak, w *Hymnie o miłości*. Powinna więc być bezinteresowna. Ja nie byłem.

Czuję, że jesteś mną zniecierpliwiony.

Mówisz, że jestem zbyt surowy dla siebie. Nie powinienem się tak zadrećzać. W tym, że zabiegałem o względy młodej kobiety, która mi się podobała, nie ma nic złego, to coś najbardziej oczywistego na świecie. Gdyby nie była zainteresowana, dałaby mi przecież kosza.

Ona też miała wybór, nie tylko ja. Tak to wygląda z zewnątrz.

Ale ja wiem lepiej.

Była młoda i przeżyła traumę. Górowałem nad nią pod każdym względem. Nie, nie dawałem jej tego odczuć, przeciwnie, przecież to w niej lubiłem. Wykorzystywałem to, subtelnie, ale w pełni świadomie. Wiedziałem o jej traumie i okresie tuż po niej, czułem, czego potrzebowała, i świadomie z tego korzystałem. Tygodniami poddawała się terapii psychiatrycznej, jej rodzice się rozwiedli, bo nie poradzili sobie z tym wypadkiem. Juliane była w ciężkiej depresji, nigdzie nie wychodziła, nie spotykała się z chłopakami, nie wyjeżdżała z koleżankami. Nie prowadziła życia normalnej dziewczyny, dorastała w domu, w którym nagle skończyło się życie rodzinne, i grała na wiolonczeli. W pustym domu, bo matka jeszcze bardziej skupiła się na pracy. Jedynym pocieszeniem stały się dla niej wiolonczela, gitara i pianino, w ogóle muzyka.

Ja miałem więcej doświadczenia i dużo lepiej znałem się na ludziach niż ona, również ze względu na swój zawód, i od początku byłem przyjacielem, który wspierał ją we wszystkim, żeby jej start w wielkim mieście nie był tak trudny. Tak, mamiałem ją swoją ojcowską przyjaźnią i przyjemnym życiem, które jej umożliwiałem, wiem, *mamić* to głupie słowo, ale trafia w sedno – to właśnie z nią robiłem. Nie miała szansy się bronić, bo i przed czym? Nie było konkretnie niczego, przed czym miałyby się bronić. Kto broni się przed uwagą z czyjejs strony, przed zainteresowaniem, przed prezentami, przed zaproszeniami na koncerty, przed relaksującymi wyjazdami, a przede wszystkim przed rodziną, która cię przyjmuje z otwartymi ramionami? Kto broni się przed miłością?

Juliane była jak gąbka, chłoneła wszystko z wdzięcznością. Nigdy nie przyszło jej do głowy, by chcieć czegoś innego. Przykłady? Odbierałem ją w piątkowy wieczór i spędzałem z nią weekend.

Również w tygodniu widywaliśmy się prawie co wieczór. Nie miała żadnej możliwości, by wyjść gdzieś z innymi ludźmi, z kolegami ze studiów.

Gdyby to była bezinteresowna miłość, też bym ją tak wspierał, ale bez ukrytego zamiaru, by mieć ją tylko dla siebie. Musiałbym ją skłaniać, żeby się rozejrzała i odrobiła to, co przegapiła. Nawet zachęcać ją do tego. Żeby wychodziła z domu, poznawała mężczyzn, założyła zespół, tak jak kiedyś chciała, żeby się wyszalała. Znalazła swoją drogę. Być może ta droga na koniec prowadziłaby do mnie, ale może nie, i tego wolałem nie ryzykować.

Koniecznym chciałem ją mieć. Nie dlatego, że tak bardzo byłem w niej zakochany albo nie mogłem bez niej żyć, tak jak było w wypadku mojej pierwszej żony. Nie, mój rozsądek podpowiadał mi, że z nią będzie mi się lepiej wiodło. W czym? W małżeństwie. Takim, które dopiero śmierć rozłączy, a nie rozwód.

O ile przy Isabelli przestawał mną kierować rozum, a zaczynał ptaszek – tak, masz rację, jestem trochę pijany – o tyle przy Juliane było dokładnie odwrotnie. Byłem bardzo ostrożny, jeśli chodzi o kobiety, jak każdy, kto się sparzył. Wskutek swojej traumy Juliane była inna. Nie poznałeś jej wtedy, prawda?

Naprawdę myślała, że jest winna śmiertelnego wypadku swojego brata, często używała słowa *zabiłam*. To ją hamowało we wszystkim, hamowało jej osobowość, jej sposób bycia, jej podejście do życia. Była w niej ciekawość życia, a także pragnienie, żeby się w nie rzucić, w końcu mnóstwo przeżywać, ale jednocześnie się tego bała. Zawsze robiła krok w przód i dwa kroki do tyłu. Była powściągliwa, niezbyt pewna siebie, często podchodziła do pewnych rzeczy bojaźliwie, również do ludzi. Jak gdyby czuła się niewiele warta, jakby przyłgnał do niej jakiś defekt, błąd, od którego nie mogła się uwolnić. Nie miała przez to – jak to powiedzieć? – silnej woli.

Łagodna kobieta, która nigdy nie była krnąbrna, mówisz. To brzmi uszczypliwie.

Chciałeś mnie tylko sprowokować?

Dobrze, dam się sprowokować i powiem ci prawdę. Bo tak powinna wyglądać spowiedź. Naprawdę czasem miałem takie myśli w tym



pierwszym, drugim roku – nie, nie ciągle – i chęć spędzania z nią czasu nie była moją jedyną motywacją, na miłość boską, to byłaby przesada. Pojawiały się od czasu do czasu. Kochałem ją i nie chciałem jej stracić. Ale miło było wiedzieć, że kobieta u mego boku pozwoli sobą sterować, nie będzie dominować, nigdy nie stanie przede mną, jazgocząc, owinięta w jakieś niemożliwe szmaty, nie będzie wygłaszać zjadliwych wykładów na temat mojej zależności od rodziny.

Później wstydzilem się niekiedy tych myśli, zwłaszcza w okresie, kiedy dużo czasu spędzała sama z niemowlakiem i Jade w tym wielkim domu, bo ja miałem ambicję sprawdzać się w polityce. Kochała muzykę sercem i duszą i miała talent – mogła zajść daleko jako wiolonczelistka, a ja jej w tym nie pomogłem. Chciałem się z nią ożenić i mieć dzieci, a ponieważ ja tego chciałem, ona też tego chciała. A kiedy pojawiły się dzieci, nie mogliśmy się oboje realizować zawodowo, to było jasne i dla mnie, i dla niej.

Później już się nie wstydzilem. Gdy lata mijają, wiele się zapomina. Potem to nagle przestało być ważne.

## Grudzień 2015

### Juliane

Dwa tygodnie później dowiedziałam się, dlaczego Paul spotkał się z byłą żoną.

Jej rodzice podczas urlopu w Bułgarii zginęli w wypadku samochodowym. Samochód spłonął. Prosiła Paula, żeby tymczasem nikogo nie informował, dopóki ich tożsamość i przyczyny śmierci nie zostaną do końca wyjaśnione.

Isabella była z nimi bardzo związana i poprosiła Paula przez telefon, żeby przed jej wyjazdem spotkał się z nią w kawiarni w pobliżu kancelarii. Tam siedziała naprzeciwko niego, płacząc, a on pogłaskał ją po policzku. Nic więcej.

Nie wiedziałam, gdzie podziąć oczy ze wstydu.

Przez cztery dni nie dzwoniłam do Feliksa, nie odpowiadałam na SMS-y. Postanowiłam już się z nim nie spotykać, czułam się strasznie winna wobec Paula. Ale po prostu nie miałam siły z tym skończyć. Nie udało mi się. W tygodniu byłam prawie chora z tęsknoty. Aż w końcu odpowiedziałam na SMS.

Tak, to dobre określenie, spróbowałam zakazanego owocu i nie potrafiłam z niego zrezygnować. Felix zapanował nad moimi myślami. Zaczęłam sobie wmawiać, że nie potrzebuję żadnego usprawiedliwienia, że każdy mężczyzna, każda kobieta wcześniej czy później dopuszcza się zdrady. Że to tylko niewinny romans, który zawsze mogę zakończyć. Że mam coś do nadrobienia. Że moja rodzina niczego przez to nie traci.

Potem znów dopadało mnie poczucie winy, nie tylko względem Paula, lecz także dzieci, a nawet teściów! Byłam świadoma, że powinnam być lojalna wobec swojej rodziny, to ona jest sensem mojego życia. Ale z drugiej strony istniał Felix i moje w nim zakochanie. Bo tymczasem zorientowałam się, że jestem w nim zakochana. I to nie troszkę. Czułam się rozdarta. To była potężna huśtawka uczuć, możesz mi wierzyć.

Kilka dni po tym, jak Paul zdradził mi powód spotkania z Isabellą, śniło mi się coś dziwnego. Rano uświadomiłam sobie to i owo.

Śnił mi się ten dzień, kiedy spotkałam Feliksa w galerii. Szłam podekscytowana do kancelarii Paula, cieszyłam się, że opowiem mu o obrazie i ponownym spotkaniu z tym Tyrolczykiem, który też był wtedy w pociągu. Na parkingu przed kancelarią stały dwa samochody: samochód Paula i auto, o którym wiedziałam, że należało do Tanji Amat, współpracownicy Paula – była mediatorką i pracowała razem z nim, jeśli zachodziła taka konieczność przy jakimś rozwodzie. Wiedziałam też, że mu się podobała, zauważyłam, że była jedyną kobietą, o którą zabiegał, gdy się pojawiała. Obydwa auta stały zatem obok siebie i wywołały we mnie niepokój. Co Tanja robiła w sobotę w kancelarii? W soboty nie przychodzą klienci, którymi trzeba się zająć. Tak, poczułam we śnie lęk, że mąż mógłby mnie zdradzać z tą wyłuszczoną psycholog. Mogłabym zadzwonić do drzwi, ale wygrzebałam z torebki klucz – Paul obstawał, żebym go miała.

– Żebyś czasem mogła zrobić mi niespodziankę – powiedział i pocałował mnie – jeśli będę za długo pracował.

Po cichu otworzyłam drzwi i weszłam do poczekalni, a ściślej mówiąc: wśliznęłam się. Dlaczego to robiłam? Na czym chciałam ich przyłapać?

Metr za drzwiami leżała jedna z jej szpilek, dwa metry dalej druga – to były klasyczne czarne buty na bardzo wysokich ołówkowych obcasach, na jakich ja nie potrafiłabym zrobić kroku. Na ladzie w recepcji leżał zamszowy płaszcz Tanji, na małej sofie, na której zwykle czekali klienci, leżały spódnica i rajstopy, a na podłodze, tuż przed salą konferencyjną – marynarka i bluzka. Drobną, rudowłosa Tanja uwielbiała obcisłe kostiumy. Z sali konferencyjnej dobiegały niedwuznaczne odgłosy, a ja stanęłam jak wryta, dłonie miałam zimne i mokre od potu. Pomyślałam jeszcze: to nie Paul, on właśnie poszedł coś zjeść, a współpracownica z kochankiem bezwstydnie wykorzystują kancelarię, bo w domu czeka jej stały przyjaciel. Ale potem dostrzegłam na wieszaku płaszcz Paula, który kupiliśmy razem przed dwoma laty, i nie mogłam się powstrzymać. Cicho otworzyłam drzwi do sali konferencyjnej, tylko uchyliłam, i zajrzałam do środka.

Tanja siedziała naga na dużym owalnym stole, zaparta nogami o dwa krzesła, a Paul w koszuli i skarpetkach, poza tym rozebrany, obejmował jej uda i poruszał się w niej w przód i w tył.

I teraz najważniejsze.

Ten widok wcale mnie nie przeraził! Czy sprawił mi przykrość? Byłam wściekła albo zazdrosna, zdruzgotana? Nie, w żadnym razie! Czułam bezgraniczną ulgę, która utrzymała się jeszcze do chwili, gdy się obudziłam. Przed kancelarią gwałtownie wyściskałam jakąś starszą kobietę i pobiegłam dalej, z powrotem do galerii. Tak, dobrze słyszałaś, ulgę i poczucie wyzwolenia.

Myślisz, że to dziwne? A ja nie!

W galerii Felix stał w przedostatniej sali, obok obrazu z wiolonczelistką. Podbiegłam i wskoczyłam na niego, objęłam jego tułów nogami, on się roześmiał i rzucił mnie na wielkie łóżko, które nagle pojawiło się w sali. Na tym łóżku zdzieraliśmy z siebie nawzajem ubrania i dziko się kochaliśmy, a wokół łóżka stali ludzie i się nam przypatrywali, wśród nich również Max, on nas zagrzewał, później przyszli też Paul i Tanja. Nie przeszkadzało mi to, wręcz przeciwnie, cieszyłam się z tego. Wiolonczelistka na obrazie ożyła, uśmiechnęła się do nas z góry i zaczęła grać, *Suitę nr 1* na wiolonczelę solo Bacha. Potem wstałam, najspokojniej w świecie się ubrałam i wyszłam z galerii z Paulem; wyciągnęłam do niego rękę, a on mnie za nią wziął.

Dziwaczny sen, mówisz? Tak, dziwaczny. Ewidentnie dziwaczny. Ale coś mi wyjaśnił. Co?

Cieszyłam się, że miałam motyw! Motyw i usprawiedliwienie, by zdradzić. I to z Feliksem. Tak, to musiał być Felix i nikt inny! Już wtedy w pociągu, przed dwudziestu laty, chciałam, żeby się ze mną przespał. Paul zdradził mnie ze swoją współpracownicą, więc ja teraz miałam prawo przywrócić równowagę w tym małżeństwie przez swoją zdradę. Już nie musiałam wciąż odpłacać Paulowi za jego miłość i troskę aż do jego albo swojej śmierci. A on był troskliwy, zawsze!

Co zatem podpowiedział mi ten sen? Mój mąż pozwolił sobie na romans, a tym samym pozwolił też mnie, tylko to, nic więcej. Dał mi

swobodę, której ostatnio czasem mi brakowało. To nigdy nie było poważne pragnienie, tylko od czasu do czasu coś zaiskrzyło, gdy spodobał mi się jakiś mężczyzna, ale po ponownym spotkaniu z Feliksem nie potrafiłam już tego pragnienia zdusić, wiedziałam to. Cieszyłam się, że Paul dostarczył mi powodu, by się z nim spotkać, sam na sam. Dlaczego kochałam się z Feliksem publicznie, przed tymi wszystkimi ludźmi? Nie wiem, może jeszcze na to wpadnę. Ale dokładnie wiem, dlaczego wyszłam z galerii u boku Paula. Bo jest najważniejszym człowiekiem w moim życiu, bo tylko z nim potrafię żyć.

Oszalałam na punkcie Feliksa i jednocześnie przez cały czas miałam jasność, że kocham i potrzebuję Paula, że nigdy się z nim nie rozstanę. Że jest w moim życiu niezbędny, jak amen w pacierzu.

Feliks nie zastępował mi Paula.

Pytasz, czy był dopełnieniem? To słowo mi się podoba, owszem, być może Felix był dopełnieniem, którego w tamtym czasie potrzebowałam.

## Maj 2015

### Felix

W lipcu 1994 roku napisałem do Davide list i zapowiedziałem swój przyjazd. Mathias odwiózł mnie do Bolzano na dworzec. Wiedział, z kim mam się spotkać, ojcu nie powiedziałem.

Jechałem nocnym pociągiem do Rzymu.

Davide rankiem odebrał mnie na dworcu Roma Termini. Stał tuż przy końcu peronu i trzymał wysoko tabliczkę z moim nazwiskiem. Objął mnie, zupełnie nie nawykłem do tego, by obejmował mnie obcy człowiek. Dobra, rzeczywiście nie był obcy, ale ledwie go znałem.

Pojechaliśmy samochodem do jego mieszkania, gdzie Alessandro, jego syn, przygotował śniadanie. On też mnie objął i ze śmiechem poklepał po plecach. Bardzo wysoki, miał prawie dwa metry, był o rok starszy ode mnie i studiował ekonomię. W wolnym czasie często żeglował, Davide i on mieli do spółki żaglówkę, która stała zacumowana w porcie we Fiumicino. Z zaraźliwym entuzjazmem mówił tylko o żeglowaniu. Przypomniałem sobie ten urlop nad Gardą, kiedy dziesięcioletni Alessandro pokazywał mi z dumą, jak się trzyma koło sterowe. I to, jak bardzo podobało mi się tego dnia żeglowanie. Jak wiele się od tego czasu zdarzyło.

W ciągu dnia Davide pokazywał mi Rzym. Wieczorem wróciliśmy do mieszkania i była tam już cała rodzina: córki, ich mężowie, wnuki. Upiekli pizzę i pięknie nakryli stół. Znów głośno mnie witali i obejmowali, sporo piliśmy i siedzieliśmy aż do nocy, nagle ktoś wcisnął mi do ręki gitarę i musiałem dla nich grać. Wszyscy śpiewali.

Czułem się tam obłędnie dobrze.

Następnego dnia pojechaliśmy we trzech do Fiumicino. Mały jacht „Sofia” był wyposażony w kuchnię z kącikiem jadalnym, dwie kajuty sypialne, toaletę z prysznicem i żagielkoję z małym stołem warsztatowym. Nie wierzyłem własnym oczom, był przepiękny, wszystko na nim błyszczało. Ponieważ wiatr nie był korzystny, Alessandro zdecydował, że wyruszymy dopiero następnego lub

jeszcze kolejnego dnia. Siedzieliśmy na pokładzie, piliśmy wino, jedliśmy makaron, który przyrządził Davide, i cały czas gadaliśmy o żeglowaniu. Gdy Davide zasnął, Alessandro rozstawił nad nim mały parasol przeciwsłoneczny.

Potem w nocy śniła mi się matka. Zapamiętałem to, bo Davide zapytał mnie rano, czy coś mi się śniło pierwszej nocy na pokładzie. Opowiedziałem mu ten sen, chociaż nic specjalnego się w nim nie działo.

Moja matka leżała na skoszonej łące przed drewnianym domem, kilka metrów dalej stała kosa oparta o drewniany płot. Matka wyglądała młodo i pięknie. Ja miałem mniej więcej trzy, cztery lata i bawiłem się obok niej. Wbiegałem po zboczu na górę i staczałem się w dół, cały czas przy tym chichotałem. Sturlałem się do niej, położyłem się na jej brzuchu i mocno się do niej przytuliłem. Czułem się przy niej tak bezpiecznie.

Po południu następnego dnia wiatr był idealny i „Sofia” wypłynęła w morze. Wieczorem zapytałem Davide, jak poznał moją matkę.

– To było w maju 1962 roku. Szedłem obok gospodarstwa Anny na górę do chaty, gdzie był posterunek Guardia di Finanza, bo zaczynała się moja zmiana. Usłyszałem dochodzące z obory głośnie muczenie, które brzmiało przerażająco, i kobiecy głos, krzyki, chyba przekleństwa. Zajrzałem więc do obory i pierwszy raz zobaczyłem twoją matkę. Miała na sobie spodnie, podwinięte aż do łydek, i o wiele za dużą na nią koszulę. Jej prawe ramię całe tkwiło od tyłu w krowie. Wyglądała na zupełnie wykończoną. Gdy mnie zauważyła, spojrzała pogardliwie i krzyknęła coś po niemiecku. Próbowała po włosku, ale brzmiało to dość zabawnie. Jednak potem pozwoliła mi sobie pomóc i razem wyciągnęliśmy cielaka.

– Byłeś więc celnikiem, to znaczy urzędnikiem Guardia di Finanza u nas w dolinie – stwierdziłem.

Kiwnął głową.

Zaraz po Nocy Ognia w czerwcu ten mały kraj został zalany przez żołnierzy, policjantów i urzędników policji finansowej. Nasza dolina znana była z tego, że kwitł w niej przemyt. Wystarczyło przejść przez

przełęcz Kalkstein i już było się w Austrii, na piechotę nie zajmowało to nawet pięciu godzin. Właściwym zadaniem policji finansowej było ściąganie cła, ale w naszej dolinie jej funkcjonariusze mieli jeszcze inne obowiązki: na halach, wysoko w górach, musieli mieć oko na przemytników, zwłaszcza na tych, którzy szmuglowali materiały wybuchowe z Austrii do Tyrolu Południowego. Włosi nie znali tych gór i się ich bali. Na ponad dwóch tysiącach metrów musieli strzec granicy, o której wiedzieli tylko tyle, że istnieje, a już z całą pewnością nie znali jej dokładnego przebiegu. Jeśli mieli jakieś podejrzenia, przeszukiwali we wsiach domy i obory, bo schwytanie przemytników w górach było prawie niemożliwe.

Davide zaczął opowiadać.

Był jednym z urzędników, których przeniesiono do naszej wsi latem 1961 roku. Miał dwadzieścia pięć lat, wychował się w Rzymie i pochodził z nauczycielskiej rodziny. Na ochotnika zgłosił się do dwuletniej służby w Tyrolu Południowym i przeszedł krótkie szkolenie, które ukończył z wyróżnieniem. Był ciekawy tej Górnej Adygi, o której tak często czytał w gazetach. Może też żądny przygód. Jeszcze zdążył posiedzieć w zatechłym biurze, myślał.

Praca była ciężka, ale nie doskwierała mu tak jak innym, lubił góry, przyrodę i długie wędrówki. Nauczył się języka i interesował się ludźmi, których prostolinijność i pracowitość robiły na nim duże wrażenie. A w szczególności interesowała go Anna.

– Twoja matka była wyjątkowym człowiekiem – mówił Davide. – Ale to przecież wiesz. Była nie tylko piękną, miała też poczucie humoru. Ale najbardziej podobały mi się jej siła i energia. Nie do wiary, co udało jej się zrobić z gospodarstwem w tych pierwszych latach! Nikt we wsi jej nie pomógł, gdy jej ojciec był chory i zmarł. Wielu otwarcie jej unikało. W gruncie rzeczy była tak samo obca jak ja.

– Miała mojego ojca – wtrąciłem. – On często do niej przychodził i jej pomagał.

– Po aresztowaniu brata Vinzenz przychodził rzadziej. Zajął się czym innym i zaczął szmuglować donarit przez góry – opowiadał dalej Davide. – Skąd to wiem? – powiedział ze śmiechem. – Bo go raz



na tym złapałem i puściłem wolno. Wiedziałem, jak wiele znaczył dla Anny i że nigdy by mi nie wybaczyła, gdybym go aresztował.

W 1964 roku złapano Vinzenza na przemyśle i aresztowano. Ponieważ podczas aresztowania zranił policjanta, wlepili mu kilka lat.

– Miałeś z tym coś wspólnego? – zapytałem Davide.

– Nie, w ten weekend miałem wolne – odpowiedział. – Gdybym miał służbę, znów bym go puścił, możesz mi wierzyć.

Kiedy Vinzenz siedział w więzieniu, Anna nie miała już nikogo.

Davide często ją odwiedzał, nie tylko po służbie, również w wolnym czasie wpadał i pomagał jej w ciężkich pracach, i nie tylko w tym. On uczył ją włoskiego, ona poprawiała jego niemiecki. Podarował jej adapter, słuchali muzyki i tańczyli. Pokazał jej, jak się robi pizzę, ona mu pokazała, jak się robi tyrolskie knedle z boczkiem. Nauczyła go doić krowy, a on ją całować.

Podczas swoich wizyt uważał, żeby nikt go nie widział, bo przez to sytuacja Anny we wsi byłaby jeszcze trudniejsza, ludzie nazywaliby ją włoską kochanicą. Ale jego koledzy, którzy oczywiście o wszystkim się dowiedzieli, nabijali się z niego, i to niewąsko.

Po dwóch latach mógł wrócić do Rzymu, jednak wciąż przedłużał swoją służbę w Górnej Adydze. Davide niczego bardziej nie pragnął jak tego, żeby Anna przeniosła się z nim do Rzymu. Była jego wielką miłością, nie potrafił wyobrazić sobie życia bez niej. Z drugiej strony nie mógł ani nie chciał mieszkać w gospodarstwie, wiedział, że nie będzie z niego rolnika, i powoli zaczął tęsknić za miejskim życiem, a przede wszystkim za morzem. Chciał wracać do Rzymu, z Anną u boku.

– Twoje życie byłoby znacznie prostsze niż tu, na gospodarstwie – powiedział jej kiedyś.

– Tam byłabym tylko jakąś obcą kobietą – odparła.

– Tu też przecież jesteś.

– Owszem, i akurat tutaj trwa to nawet trochę dłużej niż w mieście – dodała z goryczą.

Wziął w dłonie jej ręce i powiedział:

– Anno, proszę, sprzedaj to gospodarstwo i jedź ze mną do Rzymu.

Będę cię nosił na rękach. Co chcesz tu robić sama?

– Jak to sobie wyobrażasz?! – krzyknęła rozzłoszczona. – Nie mogę tak po prostu wyjechać! Zbudowałam tu sobie dom, i to z jakim cholernym trudem! To moja ziemia! I jest jeszcze Vinzenz, on jedyny we wsi był po mojej stronie. Nie ulotnię się po cichu, kiedy on siedzi w więzieniu.

Anna była rozdarta między dwoma mężczyznami. Pisała do Vinzenza listy, na które on nie zawsze odpowiadał, odwiedzała go w mediolańskim więzieniu. Kochała go i czuła się względem niego zobowiązana. Ale była też zakochana w Davide i uszczęśliwiała ją jego obecność i pomoc. A on czuł, że to rozdarcie bardzo Annę męczy i że kobieta jest w rozpacz.

Gdy tuż przed Bożym Narodzeniem 1965 roku znów próbował ją namówić, odpowiedziała:

– Wiesz, Davide, czasem trzeba mieć odwagę zostać.

Minął kolejny rok. Tuż przed Bożym Narodzeniem 1966 roku załamała się i z płaczem powiedziała:

– Już nie mogę. Wiosną sprzedaję gospodarstwo i jadę z tobą do Rzymu.

Dwa tygodnie później zmieniła zdanie, chciała natychmiast wyjść za mąż za Vinzenza, jeśli po wyjściu na wolność będzie ją jeszcze chciał. Nigdy nie porzuci gospodarstwa. Włożyła w nie wszystkie pieniądze, swoje i ojca, nie mówiąc o całych latach tęsknoty za ojczyzną.

W lutym 1967 roku Vinzenz został przedterminowo zwolniony z więzienia i pierwsze, co zrobił, to rzeczywiście przyszedł do Anny i się jej oświadczył. W czerwcu się pobrali.

Miesiąc przedtem Davide wrócił do Rzymu, był strasznie nieszczęśliwy. Po czterech latach w Guardia di Finanza zwolnił się ze służby i wraz z kuzynem otworzył pizzerię w centrum miasta, w pobliżu Fontanny di Trevi. Dzięki kuzynowi odkrył też swoją miłość do żeglowania. Ożenił się z Sofią, a potem szybko, jedno po drugim, przyszły na świat dzieci: dwie córki i syn.

Po kilku latach Davide i moja matka zaczęli raz lub dwa razy w roku pisywać do siebie listy. I raz spotkali się nad jeziorem Garda.

– To z mojej inicjatywy – wyjaśnił Davide. – Koniecznie chciałem się z nią spotkać.

Pokazał mi stare zdjęcia matki, na których ledwie ją rozpoznałem. To z powodu wyrazu jej twarzy, który był zupełnie inny, niż zapamiętałem. Jedno zdjęcie przedstawiało ją leżącą na brzuchu w wysokiej trawie, gryzła źdźbło i uśmiechała się szczęśliwa. Na innym podrzucała ciasto na pizzę i śmiała się rozbawiona. Na kolejnym stała oparta o drzewo i przesyłała fotografowi ręką całusa. Wydawało mi się, że na tych zdjęciach jest nie moja matka, tylko jakaś inna kobieta.

W nocy przewracałem się w łóżku w kajucie i cały czas myślałem o matce. Strasznie za nią tęskniłem. Dlaczego musiała tak wcześnie umrzeć? – myślałem. Dlaczego nie mogłem jej lepiej poznać? Tak chciałbym z nią porozmawiać, o swoim życiu, o planach przeniesienia się do Wiednia, żeby tam studiować, o marzeniach. Czuję się jak liść na wietrze, niesiony i obracany, bez żadnego oparcia.

Nie pierwszy raz miałem to uczucie, wciąż wracało.

W pierwszych tygodniach po usłyszeniu diagnozy dużo myślałem o matce i o tym, czy żałowała swojej decyzji. Mam na myśli decyzję, że zostaje, nie wyjeżdża do Rzymu. Miałem ją przed oczami, jak stoi w kuchni przy piecyku, na drabinie przy drzewach owocowych, nosi talerze w gospodzie, zawsze w pośpiechu, zawsze przy pracy.

Jakie byłoby jej życie w Rzymie? Wyobrażałem ją sobie w eleganckiej sukience i szpilkach, z natapirowanymi włosami i pomadką na ustach, spacerującą pod rękę z Davide po Via del Corso. To wyobrażenie wcale nie było złe. Ale wówczas nie byłoby cię na świecie, myślałem rozbawiony. Podjęła taką decyzję i dlatego jesteś.

Zadawałem sobie pytanie, jak żyła. Ze świadomością, że zdecydowała dobrze czy źle? Czy była szczęśliwa? Chciałbym to wiedzieć. Dlaczego nigdy o takich rzeczach nie rozmawialiśmy?

A przede wszystkim chciałbym, żeby wtedy była przy mnie, w tym czasie po diagnozie i teraz też. Czasem sobie wyobrażam, że siedzi obok mojego łóżka i trzyma mnie za rękę. Zanim sobie pójdzie, kreśli krzyżyk na moim czole i to jest wspaniałe uczucie.

Jak długo żeglowałem z Davide i Alessandrem?

Prawie dwa tygodnie. Pomagałem Alessandrowi, jak umiałem, i byłem zainteresowanym uczniem, chciałem wiedzieć wszystko o żeglarstwie. Wieczorami przybijaliśmy do portów w małych miasteczkach na wyspach i jedliśmy w restauracjach albo gotował nam Davide. W dzień pływaliśmy, nurkowaliśmy z maską i fajką lub bez albo po prostu wylegiwaliśmy się na słońcu, drzemaliśmy i gadaliśmy. Opowiedziałem Davide, że chciałbym studiować w Wiedniu, ale dotychczas nie mogłem się zdecydować, bo nie chciałem zostawić ojca i brata samych na gospodarstwie. Alessandro opowiedział mi o swoim marzeniu, żeby za kilka lat, kiedy skończy studia, wybrać się w długi rejs pod żaglami.

– Dlaczego po prostu nie spróbujesz wyjechać na rok albo pół roku? – zapytał mnie Davide. – Wtedy zobaczysz, jak ci idzie i jak idzie twojej rodzinie. Możesz przecież w każdej chwili przerwać studia. Możesz jeździć do domu na ferie i pomagać, to w końcu nie aż tak daleko od Wiednia. Powinieneś na to spojrzeć bardziej na luzie, często wszystko samo się układa.

Podczas pożegnania w Rzymie Alessandro zaprosił mnie za rok na kolejny rejs. Davide odwiózł mnie na dworzec i mocno uściskał.

– Jesteś u nas zawsze mile widziany – powiedział.

A poza tym miał rację. Z czym? Wszystko samo się ułożyło. Mathias i Sabine jeszcze tego lata zostali parą, a ojciec się z tego ucieszył. Lubił tę dziewczynę. Pod koniec września brat zawiózł mnie samochodem do Wiednia, gdzie wprowadziłem się do pokoju w dużym mieszkaniu w starym budownictwie wraz z dwoma innymi studentami. Pokój wynająłem przez mężczyznę, którego poznałem w nocnym pociągu do Rzymu. Zapisał mi numer telefonu do człowieka, który wynajmował pokoje.

Tydzień później zacząłem studiować geografii i matematykę. Poznałem swoją pierwszą prawdziwą dziewczynę, Verenę. Następnego lata na jeziorze Garda uzyskałem patent żeglarski, a potem towarzyszyłem Alessandrowi w jego dwutygodniowym rejsie wokół Sardynii, Elby i Korsyki. Po moim powrocie odbył się ślub Mathiasa i Sabine.

Cztery lata później żeglowałem z Alessandrem i Maksem z Australii do Afryki Południowej. Na „Marilyn”. Ale to ci już opowiadałem.  
Zgadza się, to wtedy walczyłem z tym rekinem.  
Teraz codziennie walczę z czym innym.

## Wrzesień 2015

### Max

Felix spędził w szpitalu dwa miesiące i tydzień, potem go wypuścili. Patrzenie na niego, gdy leżał w tamtym miejscu, nie było przyjemne. Był taki bezradny i ubezwłasnowolniony.

Nie mógł spokojnie uleżeć, był niespokojny, coś go gnało. Było mu gorąco, potem znów zimno. Zdejmował T-shirt i z powrotem go wkładał. Z trudem siadał na łóżku, kiedy chciał pójść do toalety, a po chwili mówił, że jednak jeszcze nie musi.

Musisz do toalety? Bo tak się kręcisz. Wytrzymasz jeszcze chwilę?

Później chciał godzinami pracować przy swoim laptopie, bo twierdził, że musi dokończyć jeszcze kilka stron internetowych. Jakby to było jeszcze ważne. Miał na szafce mnóstwo rzeczy: scyzoryk, komórkę, książki, lekarstwa, rolkę papieru toaletowego, szklanki, termos, talerze, nożyczki, cążki do paznokci, rozmaite karteczki. I wciąż te rzeczy przesuwiał i od nowa porządkował. Patrzenie na to mnie denerwowało.

Gdy go odwiedzałem, najczęściej przynosiłem jakąś sałatkę albo inny drobiazg, bo nie najadał się szpitalnym jedzeniem. Często oglądaliśmy razem serial *Breaking Bad*, każdego wieczoru jeden albo dwa odcinki. Znasz ten serial, w którym grzeczny nauczyciel chemii staje się dilerem narkotyków, żeby móc pozwolić sobie na leczenie raka? W temacie, mówisz? Tak, Kurt, jego sąsiad z łóżka obok, też tak uważał. Dzięki Bogu, Felix dobrze się z nim rozumiał. Starszy pan, tak około sześćdziesiątki, miał raka nerki. Lubił słuchać opowieści Feliksa, naprawdę go interesowały. Była między nimi nic porozumienia. Bardzo się z tego cieszyłem.

Felix dużo opowiadał o swoim dzieciństwie, o Tyrolu Południowym, rodzicach. Zupełnie się w tym zatracił! Nigdy tak do końca nie rozstał się ze swoją ojczyzną, nigdy nie powiedział: „Mieszkam teraz w Wiedniu, to jest mój dom, tu sobie coś zbuduję”. Wydawało się, że nie jest mu z tym źle, ale czasem uważałem, że to

dziwne. Tak jakby wciąż planował, że wróci do Tyrolu Południowego. Jakby był rozdarty i nie mógł się zdecydować. Jeździł raz lub dwa razy w miesiącu do brata i zostawał na parę dni.

Gdy miał urodziny, Juliane i ja zabraliśmy go na parę godzin ze szpitala. Chcieliśmy z nim posiedzieć w innej atmosferze i poświętować. Tutaj, u mnie. Ona odebrała go samochodem, a ja przyrządziłem steki z cielęciny z maślanym ryżem, brokułami i mieszaną sałatką, a na deser knedle z twarogiem na gęstym sosie z czarnego bzu z gruszkowym moszczem, bo wiedziałem, że Felix je lubi. Pojawili się potem we troje, bo Juliane szybko zdecydowała się zabrać też Kurta. Ale cały ten wieczór był raczej przygnębiający.

Felix zadawał sobie wiele trudu, żeby nas nie rozczarować i być wesołym. Ale my tego nie kupiliśmy. Niewiele mógł przełknąć i dość wcześnie chciał wracać do szpitala. Za to Kurt tym bardziej się opychał i naprawdę rozkwitał. Tak w ogóle zmarł trzy tygodnie później. Nie, nie w szpitalu, w domu, żona zabrała go do domu. Ale Feliksowi tego nie powiedzieliśmy. Dowiedzieliśmy się od pielęgniarki.

Niepojęte, jak bardzo ta choroba, terapie i silne leki go odmieniły, myślałem tego wieczoru. Przy moim stole siedział lub leżał na kanapie zupełnie inny człowiek. Felix był zawsze aktywny, pełen radości życia. Swoim entuzjazmem, pozytywnym nastawieniem porywał innych ludzi. Widać było po nim, że kocha życie, emanował tym. Żył chwilą. Inni z trudem przebijali się przez życie.

Powiedział mi kiedyś:

– Wszyscy chcą znaleźć sens życia. Mój Boże. Sens życia. Biegają z wysiłkiem dookoła, nie rozglądając się na lewo ani na prawo. Nie widzą, jak piękny jest świat i życie. Sens życia polega na tym, że widzi się, jakie jest piękne. Ale na to nikt nie wpada.

## Czerwiec 2015

### Paul

W jakiej sprawie reprezentowałem Hofmanna?

Osiem miesięcy temu niezapowiedziany przyszedł do mnie do kancelarii i naprawdę miał szczęście, że miałem dla niego czas. Zazwyczaj nie przyjmuję nieumówionych osób, bo mogłoby się to w końcu wymknąć spod kontroli.

Ale tego popołudnia Ines, moja sekretarka, zapukała do drzwi, otworzyła i powiedziała:

– Przyszedł ktoś, kto koniecznie chce z panem rozmawiać.

Przewróciła przy tym szybko oczami – to był nasz kod, jeśli ktoś zupełnie nie dawał się spławić. Obok niej stał mężczyzna – wysoki, szczupły, opalony na brąz, miał na sobie dżinsy i brązowy sweter, który wyglądał, jakby strasznie drapał. Przedstawił się i powiedział, że przed dwudziestu laty siedzieliśmy w jednym przedziale, w nocnym pociągu do Rzymu. Moja pamięć, jeśli chodzi o przelotne znajomości, nie jest akurat najlepsza. Potrzebowałem chwili, zanim mglście sobie go przypomniałem – młodego człowieka z Tyrolu Południowego, który dosiadł się w Bolzano i po chwili wyciągnął ze swego olbrzymiego plecaka dwie butelki czerwonego wina, otworzył je i puścił dookoła. Podałem mu rękę i przywitałem się.

– Potrzebuję twojej pomocy w pewnej sprawie – kontynuował i dodał: – To ważne.

Wyglądał na zdenerwowanego i jednocześnie wyczerpanego. Skinąłem głową i poprosiłem, by usiadł. Ines zamknęła za sobą drzwi, siedzieliśmy naprzeciw siebie, a ja go zapytałem, jak mogę mu pomóc.

Większość ludzi zaczyna wówczas drobiazgowo opowiadać jakąś wstępną historię, zanim w końcu przejdą do sedna sprawy, ale Hofmann siedział lekko pochylony do przodu, spojrzał na mnie z dołu i powiedział:

– Za długo nie pożyję. Rak płuc w czwartym stadium.



Nieoperacyjny.

Byłem zaskoczony i nie potrafiłem zrobić nic innego, jak tylko wpatrywać się w niego szeroko otwartymi oczami. W mojej karierze zdarzyło się już wprawdzie wiele zaskakujących rzeczy, ale jeszcze nigdy klient mi nie powiedział, że długo nie pożyje. Zadawałem sobie pytanie, czy nie potrzebuje bardziej psychologa niż adwokata.

– Wiem o tym od dwóch miesięcy. Przed dwoma tygodniami zacząłem brać chemię – dodał Hofmann.

Przy słowie *chemia* nie potrafiłem się powstrzymać od szybkiego, ukradkowego spojrzenia na jego gęste włosy, tak, wiedziałem, że to bardziej niż głupie, ale jednocześnie myślałem sobie: mój Boże, dlaczego ludzie, gdy słyszą słowo „chemia”, automatycznie myślą o łysinie, jakby w takiej sytuacji było ważne, czy człowiek traci włosy, czy nie, jak gdyby nie chodziło o przeżycie.

Odpowiedziałem w końcu:

– To straszne, przykro mi.

Nic innego nie przyszło mi do głowy, nie wiedziałem, co mam powiedzieć. Było mi bardzo przykro z powodu tego mężczyzny, wszystko to było straszne, ale szczerze mówiąc, nie czułem, żebym był tym tak naprawdę przejęty. Czy to mój zawód mnie tak znieczulił? Oczywiście byłem do pewnego stopnia nieczuły, człowiek musi się nauczyć dystansu, inaczej zginie. Gdyby mi to powiedział dobry przyjaciel, na przykład ty, albo mój ojciec, matka, siostra, o Boże, no, byłoby inaczej. Ale ja ledwie znałem tego człowieka, byliśmy mniej niż przelotnymi znajomymi, tylko przez jedną noc w pociągu razem piliśmy i gadaliśmy, wieki temu.

Dlaczego tu przyszedł i powiedział to właśnie mnie?

Zapytałem go więc, jak mogę mu pomóc, a jego odpowiedź wprawiała mnie w osłupienie. Powiedział, że nigdy nie palił i że w jego rodzinie, bliższej i dalszej, nikt nie miał raka, a on sam jeszcze kilka dni temu myślał, że po prostu miał pecha.

– Ale mojemu przyjacielowi nie dawało to spokoju. Od początku sądził, że powodem mojego zachorowania może być jakaś kancerogenna substancja, która jest w mieszkaniu – kontynuował Hofmann. – I miał rację. Znał pewnego fachowca, który zajmował się

pomiarami parametrów powietrza. Ten człowiek zbadał ściany i pod tynkiem znalazł grubą warstwę materiału izolacyjnego zawierającego wielopierścieniowe węglowodory aromatyczne.

Siedziałem tam sztywno i czułem się jak sparaliżowany, jakbym był w szoku. Hofmann mówił dalej, podał jeszcze kilka technicznych danych i zakończył słowami:

– I jak wynika z badań, to powoduje raka.

Milczeliśmy przez chwilę.

– Nie wiem, co mam powiedzieć – wydusiłem wreszcie z siebie.

Na co on roześmiał się gorzko i powiedział:

– Ty też nie? Wszyscy siedzą i gapią się na mnie, moja rodzina, moi przyjaciele, i nie wiedzą, co mają powiedzieć. Ja też nie wiem, co mam powiedzieć.

Oddychał głośno, na chwilę ukrył twarz w dłoniach, potarł czoło i znów spojrzał w górę.

– Przepraszam, że byłem taki cyniczny – powiedział spokojniejszym tonem. – Naprawdę przepraszam, jestem zupełnie wykończony. Wczoraj uczciwie mi powiedzieli, że mam przed sobą mniej więcej pół roku życia.

Zrobiło mi się zimno i gorąco jednocześnie.

– Potrzebuję pomocy prawnej, a ponieważ nie znam żadnego innego adwokata, przychodzę do ciebie – powiedział Hofmann. – Właściciel nie sprawdził stanu mieszkania, zanim je wynajął. Wcześniej ponoć zajmował je przez dziesiątki lat handlarz winem, prawdopodobnie stąd ta izolacja, od wilgoci.

A w międzyczasie ja w nim mieszkałem przez parę lat, pomyślałem i przełknąłem ślinę.

– Max, to znaczy mój przyjaciel, jest zdania, że koniecznie powinienem żądać odszkodowania od właściciela – dodał Hofmann. – Te pieniądze wprawdzie nie przedłużą mi życia, ale przynajmniej będę miał co zostawić rodzinie.

Próbowałem nad sobą zapanować i odpowiedziałem:

– Też tak uważam. Właściciel ma obowiązek sprawdzić stan mieszkania, zanim je wynajmie. To ewidentne zaniedbanie.

– Już uprzedziłem właścicielkę przez telefon, że żądam

odszkodowania. Jednak chciałbym szybkiej pozasądowej ugody i dlatego cię potrzebuję. Zapewne rozumiesz, że nie mam ochoty na trwający miesiącami proces. Proszę, doradź mi co do wysokości sumy i napisz dla mnie to roszczenie – zakończył Hofmann.

– Chętnie to zrobię – powiedziałem.

Omówiliśmy krótko sposób postępowania, potem Hofmann wstał i pożegnaliśmy się. Powiedział:

– I jeszcze coś. Naprawdę jesteś jedynym adwokatem w Wiedniu, którego znam, to prawda i jedyny powód, dla którego przyszedłem do ciebie. Dlatego nie bierz do siebie mojego poprzedniego cynizmu.

W otwartych drzwiach odwrócił się jeszcze raz i poprosił mnie, bym przekazał Juliane serdeczne pozdrowienia, potem poszedł.

Te serdeczne pozdrowienia trochę mnie zirytowały, ale nie umiałem jasno określić, co mnie konkretnie drażniło, a przede wszystkim jeszcze nie całkiem oswoiłem się z tym, czego się właśnie dowiedziałem. Dlatego dłużej o tym nie myślałem.

Wieczorem opowiedziałem o tym Juliane, bo musiałem z kimś o tej sprawie pomówić, i poprosiłem ją o dyskrecję – tajemnica zawodowa i tak dalej. Dość mocno ją to przytłoczyło i to mnie zdziwiło, bo przecież też ledwie знаła tego człowieka. Ale dwa tygodnie później zrozumiałem jej reakcję. A także te „serdeczne pozdrowienia dla Juliane” i swoją irytację, bo wciąż pamiętał jej imię, a poza tym wiedział, że jest moją żoną.

Tak, zgadza się, to wtedy przyszedłem z papierami do mieszkania Hofmanna i zobaczyłem na stole talerze po deserze. Dodałem dwa do dwóch.

Poza tym w lutym Juliane powiedziała mi, że miała z nim romans. Wróciła do domu późno w nocy, ja jeszcze nie spałem, bo nie mogłem zasnąć.

Nie, nie pytałem jej o to, to ona nagle zaczęła płakać i opowiedziała mi wszystko. Dość regularnie spotykała się z Hofmannem w jego mieszkaniu, najpierw w tym starym, teraz w nowym, od połowy grudnia. Znowu. Drugi rzut, można by rzec. Albo kolejna odsłona romansu. Już wiosną czasem się z nim spotykała, ale nie chciała mówić o szczegółach: ani jak długo, ani jak

często, ani jak intensywnie. Nie drażyłem, nie interesowały mnie detale.

Dlaczego? Bo miałem inne problemy.

Jakie? Powiem ci.

Ale przedtem zamówię sobie whiskey.

Też chcesz jeszcze jedną?

## Grudzień 2015

### Juliane

Przez sześć miesięcy, od połowy stycznia do połowy lipca, regularnie spotykałam się z Feliksem.

Byłam uzależniona od tej ekscytacji, kiedy czekałam na SMS, gdy wsiadałam do auta i odjeżdżałam, gdy w końcu stałam naprzeciw niego w otwartych drzwiach. Dzieci patrzyły na mnie krytycznie od czasu do czasu, kiedy bez powodu nuciłam pod nosem albo podśpiewywałam.

– Co z tobą, mamó? – pytała mnie kilka razy Emilia, patrząc sceptycznie.

– Przedtem nigdy tak szybko nie sprawdzałaś komórki, kiedy przyszedł SMS – stwierdził kiedyś Leon. – Zawsze mówiłaś, że nie ma potrzeby, to przecież tylko twoi uczniowie, którzy odwołują lekcję.

Czy Paul coś zauważył?

Nie, chyba nie. Było jak zwykle.

Oczywiście, że miałam wyrzuty sumienia! Zwłaszcza gdy jechałam wieczorem do Feliksa i musiałam się pożegnać z Paulem. Chociaż nigdy o to nie pytał – to nie w jego stylu – mamrotałam jakieś mało przekonujące wyjaśnienie, że idę z przyjaciółką na drinka albo na koncert. To było straszne! Ale wieczorne wyjazdy nie były najgorsze. Najgorsze były powroty do domu po nocy.

Wiesz, zazwyczaj lubię powroty do domu, zwłaszcza od października do kwietnia. Dlaczego? Przez przeszklony front po południowo-zachodniej stronie można, gdy jest ciemno, zajrzeć do kuchni, do salonu. Jadę przez ciemność, chłód, wiatr, deszcz albo zawieję, słucham głośno muzyki i już widzę, jeszcze zanim zaparkuję, jasno oświetlone życie wewnątrz domu. Widzę dzieci, które siedzą przy kuchennym stole i szybko odrabiają prace domowe albo leżą na kanapie, widzę Paula, jak stoi w kuchni i gotuje. Gdy widzi moje nadjeżdżające auto, odwraca głowę i podnosi rękę na powitanie, również dzieci mi machają. To jest ten moment w ciągu dnia, na

który najbardziej się cieszę. Duży prostokąt światła, w którym mogę oglądać jak w teatrze lalek najważniejszych w moim życiu ludzi, działa na mnie jak kwintesencja poczucia bezpieczeństwa. Wtedy wiem: to jest mój dom, to moja rodzina, jestem częścią tego świata.

Ale gdy wracałam od Feliksa, zupełnie inaczej odbierałam powrót do domu. Wydawałam się sobie nikczemna i zła, gdy w środku nocy wjeżdżałam ulicą, z zapachem Feliksa na swoim ciele, we włosach. Widziałam przed sobą ten przeszklony front, światła było niewiele, bo Paul zostawiał mi w kuchni włączoną tylko jedną małą lampkę. Wszyscy już spali, a ja wślizgiwałam się ukradkiem do własnego domu.

W połowie lipca Felix poleciał do Indonezji.

W pierwszych dniach prawie czułam ulgę. Na co dzień znów było więcej spokoju i równowagi. Odsypiałam i z energią rzucałam się w życie rodzinne. Gdy robiłam coś razem z Paulem i dziećmi, nie czułam się ciągle, jakbym siedziała na szpilkach, bo przecież mogłabym być gdzie indziej. Tam, gdzie było bardziej ekscytująco. W mieszkaniu innego mężczyzny.

Potem przyszło otrzeźwienie. Co ja sobie myślałam? To nie do pomyślenia, co by się stało, gdyby Paul to odkrył! Jak by zareagował? Byłby zraniony, upokorzony, może by mną pogardzał. To byłoby dla mnie najgorsze. Tego bym nie zniosła.

Pamiętasz, jak kiedyś podczas wizyty u nas żartowałaś sobie ze zdrady: seks z innym mężczyzną między wrzaskami dzieci, brudną bielizną, dużymi zakupami? Pomiedzy gotowaniem, zabawą Lego i Barbie, wizytami u lekarza – ach tak, nie zapominajmy o pracy zawodowej! – obowiązkami małżeńskimi, na które śmiertelnie zmęczona kobieta się godzi, bo nie chce zupełnie zrazić do siebie męża?

Powiedziałaś:

– Nie miałabym na to czasu, a już na pewno energii. Cieszę się, jeśli czasem mam dla siebie jeden dzień w tygodniu, kiedy mąż zabiera dzieci do swoich rodziców. Tak przecież mają wszystkie kobiety! Wówczas rozkoszuję się ciszą, siedzę jak nieżywa na balkonie

w słońcu, wieczorem oglądam sentymentalny film, płacę przy tym jak bóbr i kładę się nocą do, dzięki Bogu, pustego łóżka – hurra, dziś nikt nie będzie chrapał! – z poduszką między nogami, ale zasypiam, zanim cokolwiek zacznę.

Nie mogłam się wtedy nie roześmiać, tak lakonicznie i wprost to wyraziłaś. Ale wiedziałam, że mnie to nie dotyczy. Powód, dla którego nigdy nie zdradzałam, był bardzo prosty: wierzyłam w małżeństwo, w nasze małżeństwo, nigdy nie kwestionowałam jego wartości. Zaufanie między mężem a mną było dla mnie jak codzienny chleb, nie mogłam ani nie chciałam wyobrazić sobie życia bez niego.

Wiem, to brzmi sentymentalnie, ale tak właśnie jest: Paul się mną zaopiekował, przed dwudziestu laty. Dzisiaj wiem, że wtedy podświadomie szukałam dojrzałego mężczyzny, na którego ramieniu mogłabym się oprzeć. Opiekuna. Był pierwszym człowiekiem, któremu opowiedziałam o swoim braciszku. Nie licząc tych wszystkich policjantów, lekarzy i psychologów. To znaczy: *dobrowolnie* opowiedziałam. A on mimo to mnie chciał! Paul chciał mnie mieć jako swoją przyjaciółkę, żonę i matkę swoich dzieci. Mógłby mieć mnóstwo innych kobiet. Byłam mu oczywiście wdzięczna. I nadal jestem. Nie, nie mylę wdzięczności z miłością. Kocham Paula i jestem mu wdzięczna. Jedno nie wyklucza drugiego.

Ale wracając do zdrady: są wśród naszych znajomych pary, które utrudniały życie swoje i swoich najbliższych romansami, a ja w duchu ich krytykowałam. Jak można tak stracić nad sobą kontrolę? Wydawało mi się to głupotą i słabością, brakiem samodyscypliny. A teraz sama przez sześć miesięcy byłam kretynką i słabeuszką. Okłamywałam i zdradzałam Paula. Ryzykowałam swoje małżeństwo.

Podczas urlopu z rodziną postanowiłam już nie spotykać się z Feliksem.

Wybraliśmy się w podróż po Stanach Zjednoczonych, dzieci tego chciały. Nowy Jork, Waszyngton, Floryda, Chicago, Las Vegas, Wielki Kanion, San Francisco, Los Angeles. Pełny program. Paul był zmęczony takim sposobem spędzania wakacji.

– W przyszłym roku znów jedziemy w góry – powiedział, a dzieci stroiły fochy.

Na koniec zostaliśmy jeszcze tydzień w Meksyku, tam obchodziliśmy moje czterdzieste urodziny. Leon podarował mi własnoręcznie namalowany obrazek, Emilia – krem do ciała, którego sama lubiła używać, a Paul – roczny abonament do opery. Leżałam na plaży obok niego i czytałam, kiedyś naraz wziął mnie w ramiona i zaniósł do morza jak dawniej, co bardzo rozbawiło Leona, a Emilia uznała za żenujące.

Siedziałam na lotnisku z komórką w ręku i zastanawiałam się, jak mam sformułować SMS do Feliksa. Nie napisałam go.

I szybko przyszła jesień, znów zaczęła się szkoła. Wrzesień zawsze zaliczałam się do moich ulubionych miesięcy. Po prostu lubiłam, kiedy po letnich upałach i długich wakacjach w moją codzienność znów wkraczało trochę ciszy i jakiś porządek. Wakacyjne dni wydawały mi się czasem niemal anarchiczne; na początku każdego dnia brakuje oddechu i człowiek spieszy się, by zrobić wszystko, co możliwe, a pod koniec każdy dzień jest już tylko leniwy. Lubiłam czuć, jak ludzie znów stają się spokojniejsi. Tak, oczywiście, także to, że dzieci przed południem były w szkole! Lubiłam być sama o poranku. I lubiłam pracować. Co roku we wrześniu cieszę się na to, że znów będę mogła uczyć. Tak, wciąż lubię pracować! Nie wyobrażam sobie żadnego innego zawodu. Lubię być nauczycielką gry na wiolonczeli i lubię swoich uczniów, nieważne, czy są ambitni, czy słabo zainteresowani i przychodzą na lekcje tylko dlatego, że rodzice ich zapisali, bo nauka gry na jakimś instrumencie jest częścią dobrego wychowania.

Im bliższy był dzień, kiedy Felix miał wrócić z podróży, tym bardziej byłam niespokojna. Wciąż śniłam o nim na jawie, wyobrażałam sobie jego twarz, jego ciepłe ręce na moim ciele. Biegałam częściej niż dotychczas, kupiłam sobie nowe ubrania, bo wydawało mi się, że w szafie nie ma niczego odpowiedniego, podczas zakupów lądowałam w drogim sklepie z bielizną, w którym zostawiałam setki euro za biustonosze podnoszące piersi i podniecającą bieliznę.

Czy napisałam do niego e-mail albo SMS i skończyłam z tym? Nie. Czekałam na niego.

Myślałam, że powiem mu to osobiście. Myślałam, że jeszcze tylko



kilka razy, jeszcze tylko tej jesieni, że przed Bożym Narodzeniem to skończę. No tak, właściwie za wiele nie myślałam, po prostu koniecznie chciałam się z nim spotkać.

Tego dnia, kiedy wrócił, Felix nie zadzwonił, następnego również nie, i kolejnego też. Moje nerwy były napięte do granic wytrzymałości. Może przedłużył urlop? Wracając do domu, dostrzegłam światło w jego mieszkaniu. Moje poczucie własnej wartości spadło do poziomu piwnicy, czułam się nędzna i zrozpaczona. Ciągle sprawdzałam w komórce, czy nie przegapiłam telefonu albo SMS-a. Ale nie było żadnej wiadomości.

Dlaczego do niego nie zadzwoniłam?

Bo w wieczór przed swoim wylotem powiedział:

– Zadzwonię do ciebie, jak wrócę.

I dlatego, że w tej sprawie byłam staroświecka i miałam swoją dumę. Chciałam, żeby to on zaproponował spotkanie. Czasem czułam, że słabnę. Siedziałam z wywołanym na wyświetlaczu numerem, a mój kciuk niebezpiecznie się do niego zbliżał, brakowało milimetra. Ale za każdym razem brałam głęboki oddech i wychodziłam z kontaktów w telefonie.

Minął jeden tydzień, drugi. Czekanie na SMS było męką. Dni mijały jak we mgle, po nich nie mogłam spać i przewracałam się z boku na bok z bólem żołądka. Pragnienie, by się z nim spotkać, było nie do wytrzymania.

Potem doszła do tego wściekłość. Jak ten facet śmiał mnie w taki sposób posłać w odstawkę? Był tak tchórzliwy, że nawet do mnie nie zadzwonił i nie powiedział, co się stało: „Przykro mi, czas spędzony z tobą był wspaniały, ale już nie jestem tobą zainteresowany”. Albo: „Przepraszam, poznałem kogoś innego”.

Tak, najbardziej bałam się tego, że zastąpił mnie kimś innym. Wiedziałam przecież, że był singlem i wcześniej czy później musiał poznać kobietę, która nie jest zameżna, i wejść z nią w związek. Ale mimo wszystko. Racjonalnie można sobie wiele tłumaczyć, ale gdy uczucia szaleją, rozum jest bezsilny. W mojej głowie pojawiały się obrazki z Feliksem i jakąś obcą kobietą, w ogóle nie potrafiłam się przed tym bronić. Wyobrażałam sobie, jak otwiera jej drzwi

i promiennie się do niej uśmiecha, jak robi dla niej jajka sadzone na pizzie, jak razem leżą w łóżku, słuchają muzyki. Te obrazy sprawiały mi ból.

Niepewność była straszna, potrzebowałam jakiegoś wyjaśnienia. Jakiegoś zakończenia. Takiego, którym bym się zadowolila, które zwróciłoby mi spokój ducha. Są oczywiście takie słowa, które kobieta usłyszałaby chętniej niż inne, gdy romans się kończy! Na przykład gdyby Felix mi wyjaśnił: „Jest mi trudno już się z tobą nie spotykać, wciąż o tobie myślę. Nie chcę jednak, żebyś z mojego powodu ryzykowała swoje małżeństwo. To, co robimy, nie jest w porządku. Nigdy cię nie zapomnę!”.

Patetyczne? Oczywiście, że takie by było. Ale łatwiej pogodziłabym się z takim wyjaśnieniem niż z tym, że zastąpiła mnie inna kobieta.

Przeklinałam samą siebie, że w dniu jego powrotu nie napisałam SMS-a, tak jak planowałam w Stanach Zjednoczonych: „Nie mogę się już niestety z tobą spotykać, małżeństwo jest dla mnie ważniejsze”. Wówczas stałoby się to z mojej inicjatywy i nie byłoby teraz takie upokarzające.

Wciąż miałam nadzieję, że gdzieś go przypadkiem spotkam, na ulicy, na zakupach, podczas spaceru po mieście, gdy byłam z Pauliem lub koleżankami. Odwiedzałam jego ulubione restauracje i bary, tylko z jego powodu chodziłam na pokazy przeźroczy organizowane przez zapalonych podróżników. Każdego dnia się szykowałam, żeby wyglądać seksownie i sprawiać wrażenie szczęśliwej, flirtowałam z każdym i śmiałam się ze wszystkiego w nadziei, że nagle wyjdzie zza rogu, stanie naprzeciwko i taką mnie zobaczy.

Zachowywałam się jak na scenie, z Feliksem jako jedynym widzem. Miał zobaczyć, że nie jestem przygnębiona, a przede wszystkim miał zobaczyć, z czego zrezygnował. Ale Feliksa nigdy nie było tam, gdzie ja byłam.

Wieczorami kładłam się do łóżka sfrustrowana. Czułam się zmęczona i pusta. Cała ta energia zmarnowana, i na co? Gdy patrzyłam na swoją rodzinę, było mi wstyd. Zmuszałam się, by zapomnieć Feliksa. Nie udało mi się to ani specjalnie szybko, ani przesadnie dobrze, ale z czasem stałam się spokojniejsza.

I pewnego wieczoru, to był piątek w połowie grudnia, tak, przed rokiem, poznałam powód, dla którego Felix nie zadzwonił po swoim powrocie.

Powiedział mi o tym Paul.

Nie mogłam uwierzyć w to, co usłyszałam.

## Maj 2015

### Felix

Pół roku temu usłyszałem diagnozę. Brzmiała: „Panie Hofmann, nie mam dla pana, niestety, dobrych wieści”.

Po tym zdaniu wiedziałem wszystko: nadzieja, której kurczowo trzymałem się przez trzy tygodnie, była daremna. Najpierw lekarz rodzinny, potem radiolog, tomografia i punkcja. Maraton badań i orzeczeń, przez cały czas z cieniem nadziei. Lekarze wciąż mówią, żeby zachować spokój, że sprawa jest jeszcze otwarta. „Niech pan poczeka na ostateczną diagnozę. Wszystko jest możliwe! Może to tylko zapalenie, nie rak”. Dopóki się nie uzyska *ostatecznej* diagnozy.

U ciebie było podobnie, prawda?

Co za straszliwe słowo: ostateczna.

Tak, zatem koniec jest pewny. Zdecydował o tym jakiś potwór o nazwie rak, który we mnie rośnie. Czasem wyobrażam sobie swoją chorobę jako niezliczone małe raczki, nienasycone, które pełzają w moim ciele i chcą wyjadać moje soczyście czerwone narządy. Wy gadziny! Wciąż nie macie dosyć? Nie chciałybyście wynieść się w końcu gdzie indziej? Ruszać w górę, do przełyku, a potem zbierzcie się ładnie na języku, żebym mógł was wyrzygać! Albo powędrujcie w dół, do jelita, żebym mógł was wysrać! Macie wybór – w górę albo w dół! Ale po prostu won z mojego ciała, ono ma być znów czyste, czyste i zdrowe! Precz z mojego ciała! Chcę z powrotem moje ciało i moje życie!

Wybacz, proszę.

Ostateczny koniec można nawet przepowiedzieć dość precyzyjnie. Podczas pierwszej chemioterapii zapytałem swojego onkologa, doktora Perthensa, ile czasu mi zostało. Najpierw nie chciał mi powiedzieć, ale naciskałem, więc zaczął ostrożnie mówić o statystykach, z których wynika, że w moim przypadku należy się liczyć z sześcioma miesiącami, co najwyżej rokiem życia.

Podczas pierwszej rozmowy nie byłem w stanie o to zapytać.

Pomieszczenie wokół mnie zawirowało, jeszcze to pamiętam. To był najczarniejszy dzień w moim życiu, może porównywalny z tym dniem, kiedy zobaczyłem swoją woskowo bladą matkę leżącą przede mną w szpitalu. Perthens wyjaśnił mi, że mam niedrobnokomórkowego raka płuc, tak zwanego NSCLC: *non-small cell lung cancer*. Był zbyt duży, by go zoperować, za późno poszedłem do lekarza.

– Nadszedł dla pana trudny czas, chemioterapia, napromienianie, musi pan teraz być silny – powiedział jeszcze.

Podczas tej pierwszej rozmowy ja nie mówiłem nic, naprawdę zupełnie nic, słuchałem, co on ma do powiedzenia, na koniec podałem mu rękę i wyszedłem z gabinetu. Prawdopodobnie byłem blady jak ściana i trzęsły mi się ręce. Skupiałem się tylko na tym, żeby nie stracić panowania nad sobą i nie wybuchnąć płaczem w obecności lekarza. Tego w żadnym razie nie chciałem, nie mam pojęcia dlaczego, jak gdyby nie było wszystko jedno, jak się człowiek zachowa w tej sytuacji! Ale mimo to cały czas myślałem sobie: weź się w garść! On siedział naprzeciwko mnie i otwarcie patrzył mi w twarz. Był naprawdę ciekawy mojej reakcji, sprawiał wrażenie zdystansowanego.

Wiem, co chcesz powiedzieć. Oczywiście, że ci onkolodzy lekko nie mają. Muszą trzymać dystans. Trudno jest wciąż mówić ludziom, że już długo nie pożyją, a potem jeszcze przypatrywać się, jak umierają. Ale jednak oczekiwałem trochę więcej uwagi, jakiejś miłszej, przyjaźniejszej rozmowy. Tymczasem to było jedynie rzeczowe.

Spojrzał w papiery i zaczął od pytania:

– Nie jest pan żonaty, prawda? Nie ma pan dzieci?

A później padło to zdanie:

– Panie Hofmann, nie mam dla pana, niestety, dobrych wieści.

Potem insynuowałem, że być może okazałby więcej współczucia, gdyby obok mnie siedziała żona, a na jej i moich kolanach kręciłoby się dwoje, troje dzieci. Oczywiście wysłalibyśmy je przedtem do poczekalni, żeby nie musiały słuchać, jak się tacie mówi, że wkrótce musi umrzeć.

Jestem niesprawiedliwy. Perthens jest dobrym człowiekiem, robi,

co może. Może podejrzewałem go o to też dlatego, że sam się nad tym zastanawiałem.

Kiedyś Juliane, to ta kobieta, która mnie ciągle odwiedza, opowiadała mi, że motto życiowe jej męża – on jest znanym adwokatem, który angażuje się też społecznie – brzmi: „Jeśli społeczeństwo nie ma ze mnie pożytku, moje życie nie ma sensu”. Powiedziała to bez jakiegokolwiek podtekstu, bo rozmawialiśmy o tym, że on bardzo dużo pracuje, a ona bardzo często jest sama. Ale dobrze zapamiętałem to zdanie. Długo nie mogłem przestać o nim myśleć.

Czy jakieś życie jest więcej warte niż inne?

Gdybym był ojcem rodziny, miał kilkoro dzieci, jeśli do tego jeszcze miałbym odpowiedzialną pracę – byłbym nauczycielem albo kierownikiem warsztatów dla osób upośledzonych, albo właścicielem firmy zatrudniającej setki ludzi, którzy beze mnie zostaliby bez pracy, albo lekarzem, albo kimś takim – to czy Perthens zakomunikowałby mi tę diagnozę inaczej?

Czy lekarze to oceniają? I w ogóle ludzie? Mój Boże, jakie to tragiczne, mają małe dzieci, właśnie zbudowali dom i wzięli kredyt, i żyją przeciw ich starzy rodzice, o których ktoś się musi zatroszczyć!

Czy tragizm daje się zmierzyć, gdy jest się śmiertelnie chorym?

A kim ja jestem? Mężczyzną stanu wolnego, który projektuje jakieś strony internetowe, żeby urlopowicze natykali się na nie w Internecie i rezerwowali pokoje. Kimś, kto lubi spędzać dużo czasu w gospodarstwie swojego brata, pomaga tam i uczestniczy w jego życiu rodzinnym. Rodzinny darmozjad. Ktoś, kto lubi podróżować po świecie. Korzystałem z życia, w gruncie rzeczy bez żadnej odpowiedzialności i zobowiązań. Miałem w życiu mnóstwo wolności. Moje życie było zwariowane, uświadomiłem to sobie dopiero, gdy zabrakło mi tej swobody, po diagnozie, wtedy gdy wolność i normalność w jednej chwili się skończyły.

Moja dewiza brzmiała zawsze: „Przydaję się ludziom w moim otoczeniu, gdy dobrze mi się wiedzie, kiedy jestem w zgodzie ze sobą”. To nie tak, że byłem przedtem świadomy tej dewizy, nigdy wcześniej się nad tym nie zastanawiałem, zacząłem dopiero wtedy,

gdy Juliane powiedziała mi o dewizie swojego męża. Zadaję sobie pytanie, czy to była zła dewiza.

Koniecznie chciałem mieć rodzinę i jestem przekonany, że byłbym dobrym mężem i ojcem. Po prostu potrzebowałem do tego jeszcze trochę czasu, w tej sprawie miałem spóźniony zapłon. Teraz już nie mam czasu.

Miałem wiele okazji, jedną przyjaciółkę za drugą, było wśród nich kilka takich, które chętnie obdarowałyby mnie potomstwem. Wspominam zwłaszcza jedną. Byłem z nią długo. To dziewczyna z Tyrolu Południowego. Jeśli miało mi się z którąś udać, to właśnie z nią. Zanim poszedłem do szpitala, odwiedziłem ją, to było przed dwoma miesiącami. Spotkaliśmy się pierwszy raz po pięciu latach. Myślałem, że umieram, gdy stanęła przede mną. Niedawno wyszła za mąż i była w ciąży – przepiękna ciężarna. Bez opuchlizny, wyprysków na skórze. Wyglądała na szczęśliwą, promieniowała szczęściem. To mogło być twoje dziecko, twoja żona, myślałem, jakim byłeś idiotą! Chciało mi się wyć z wściekłości. Ale potem nagle się uspokoiłem, gdy rozmawialiśmy na tarasie jej domu. Po prostu cieszyłem się, że u niej wszystko dobrze. Nawet bardzo. Była jedną z najważniejszych osób w moim życiu.

Nie zostawiam po sobie niczego.

Pytasz, czy to dla mnie ważne. Nie wiem. Chyba tak. Nic nie osiągnąłem, nie mam nawet dzieci! Jak długo będzie się o mnie mówić? Czy jakoś poruszałem ludzi?

Często myślę o swojej matce. Jej śmierć spowodowała ogromną wyrwę w naszej rodzinie. Tak strasznie nam jej brakowało. Wciąż jeszcze o niej rozmawiamy, brat i ja, a brat opowiada o niej swoim dzieciom. Jeszcze wielu ludzi we wsi o niej mówi, o tym, jaka była silna, że w młodości odbudowała zupełnie zapuszczone gospodarstwo i się nie poddała, jaka była piękna, jaka pracowita. Co będą mówić o mnie? Czy ktoś będzie za mną tęsknił?

Delektowałem się każdym dniem swego życia, i to jak.

To nic złego, mówisz.

Masz rację.

Ale chciałbym wiedzieć, dlaczego tak lubiłem się delektować. Czy

teraz to jest coś warte? Czy moje życie miało sens? Dużo się nad tym zastanawiałem i nie znalazłem odpowiedzi. Kłębiły się wtedy we mnie zbyt intensywne emocje, nie umiałem jej znaleźć.

Wiem tylko jedno. Uważam, że życie jest piękne. I świat.  
Chciałbym jeszcze zostać.



## Wrzesień 2015

### Max

Felix miał raka płuc, już w końcowym stadium.

W pierwszych dniach po ostatecznej diagnozie poruszał się i mówił jak lunatyk. Jakby był nieobecny. Dosłownie widać było po nim, że jeszcze nie do końca to wszystko pojmuje.

Lekarze nie byli w stanie niczego dla niego zrobić, mogli jedynie zastosować środki przedłużające życie. Na przykład chemię, którą potem brał przez kilka miesięcy. Wolałby inną terapię, o której opowiadał jego lekarz: leczenie przeciwciałami. To podobno nowa, cudowna broń przeciwko rakowi. Miała przedłużyć życie z kilku miesięcy do kilku lat, jeśli pacjent na nią zareaguje.

Jak to działa? To kompleksowa metoda. W uproszczeniu wygląda to tak: przeciwciała to białka, które rozpoznają i oznakowują obce dla organizmu komórki, czyli komórki nowotworowe. Komórki odpornościowe mogą potem te oznaczone komórki świadomie zwalczać i rozkładać. Wyjątkową cechą tej terapii jest to, że niszczy tylko komórki rakowe, a oszczędza zdrowe, w odróżnieniu od chemioterapii.

Lekarz powiedział to Feliksowi i narobił mu apetytu. Podstawił psu kiełbasę pod nos. Problem polegał na tym, że w Austrii ta terapia nie została jeszcze oficjalnie dopuszczona, prowadzono tylko badania. Felix chciał oczywiście uczestniczyć w tych badaniach, wiele sobie po tym obiecywał! Właściwie wszystko. Cztery, pięć kolejnych lat życia to w jego sytuacji było wszystko. Nie został jednak zakwalifikowany do tych badań, odrzucił go program komputerowy. Zabrano mu więc kiełbasę sprzed nosa.

Przecież nie można śmiertelnie choremu człowiekowi opowiadać o tego typu terapii, a potem nie pozwolić mu z niej skorzystać! Lepiej byłoby w ogóle o tym nie wspominać, a jeśli już, to tylko w przypadku, gdy pacjent faktycznie mógłby zostać poddany temu leczeniu. To wszystko bardziej denerwowało mnie niż Feliksa. On

wręcz mnie uspokajał i tłumaczył, że lekarze mają obowiązek informować o tym pacjentów na samym początku – tak są te badania skonstruowane.

Ale to wszystko było później. A to, że się tym tak denerwowałem, miało, jak myślę, inną przyczynę.

Denerwowałem się, bo byłem zły na siebie. Przez całą zimę i wiosnę. Strasznie zły.

Gdy Felix powiedział mi o diagnozie, nie opuszczała mnie myśl, że to w jego mieszkaniu musiały być jakieś substancje wywołujące raka. Nigdy nie palił, zdrowo się odżywiał, uprawiał sport, biegał i chodził na piesze wędrówki, jeździł na rowerze, co roku tygodniami był nad morzem. W jego bliższej i dalszej rodzinie nikt nigdy nie chorował na raka.

Nie wiem, czym było to, co czułem. Przeczucie? Intuicja? Kiedyś wieszałem u niego obraz, wbiłem gwóźdź w ścianę, odpadł tynk, a ja zdziwiłem się, że widoczne pod nim miejsce jest ciemne. Ale nic sobie przy tym nie pomyślałem. Może to była tylko ciemna tapeta, którą potem zamalowano? Zapomniałem o tym, to było bardzo stare mieszkanie. Przypomniałem sobie teraz.

I ja, idiota, nie miałem nic lepszego do roboty, jak tylko węszyć! Rzadko wynika z tego coś dobrego. Prawda wychodzi na jaw, owszem. Ale czy zawsze lepiej jest ją znać? W przypadku Feliksa tak nie było. Jestem o tym przekonany.

Prawda składała się z grubej warstwy izolacji z korka i smoły, ukrytej pod tynkiem. To izolator, który niegdyś używany był do wygłuszania, jako izolacja termiczna, a także ochrona przed wilgocią. Dziś już nie wolno go stosować, bo zawiera wielopierścieniowe węglowodory aromatyczne, w skrócie nazywane WWA albo po angielsku PAH. Takimi węglowodorami są na przykład benzopiren, naftalina, fluoranten. Oszczędzę sobie chemicznych detali. W każdym razie są one w stanie przeniknąć przez posadzkę, beton i – jak w wypadku mieszkania Feliksa – również przez tynk na ścianach. I nie tylko. Meble, drzwi, parkiet, wszystko nasycy się tym cholerstwem i staje się dodatkowym źródłem szkodliwej substancji.

Tak, to jest trujące. Przy wdychaniu powoduje bóle głowy, mdłości i podrażnienia śluzówek. Jeśli oddziałuje na organizm przez długi czas, uszkadza czerwone krwinki i może wywołać raka.

O tym wszystkim rzeczowym tonem poinformował nas Martin. Poza tym spisał to w wyczerpującej ekspertyzie, którą nam przekazał. To mój znajomy, rzeczoznawca w dziedzinie materiałów budowlanych. Sporządził mi też ekspertyzę tej starej chłopskiej chaty tutaj, zanim trzy lata temu ją kupiłem i wyremontowałem. Zadzwoiłem do niego i umówiłem się z nim w mieszkaniu Feliksa, gdzie pobrał materiał ze ścian jako próbki fazy stałej i przeprowadził pomiary. Powietrze w pomieszczeniu, kurz. Po kilku dniach znów przyszedł. Z ekspertyzą, w której było wszystko czarno na białym. Zawartość WWA w ścianach – 16 400 mg/kg i 1500 mg/kg w kurzu – to było więcej niż za dużo. Już materiały o zawartości 300 mg/kg zalicza się do szkodliwych dla zdrowia i nie można ich składować na zwykłym wysypisku śmieci. Wyobraź to sobie!

Felix cały czas stał obok i tylko słuchał. Nie powiedział ani słowa. To ja rozmawiałem z Martinem. Zalecił Feliksowi, żeby jak najszybciej się wyprowadził, a do tego czasu spał w pracowni, gdzie stężenie WWA było najmniejsze. Nic nie wiedział o diagnozie.

W sypialni, z powodu pęknięć w tynku, skażenie było największe. Pięć lat temu remontowano sąsiedni dom i wtedy powstały te pęknięcia, które mimo wielokrotnego malowania wciąż się odnawiały. Na koniec Martin uściskał nam dłonie i poszedł. Felix siedział przy stole w salonie, z ekspertyzą przed sobą, i był blady jak ściana. Trzeba było go wręcz zmusić, żeby wstał i pomógł mi przenieść łóżko do pracowni.

Potem znów usiadł przy stole i wpatrywał się w to sprawozdanie. A właściwie patrzył w próżnię. To jego spojrzenie – okropne. Jeszcze dziś mnie prześladowuje. Poprosił mnie, żebym sobie poszedł, bo chce zostać sam. Potem całymi dniami nie dzwonił. Trzeciego dnia ja do niego zadzwoniłem i zaproponowałem mu, żeby się przeniósł do mojego mieszkania. Tak byłoby najszybciej. Po powrocie z Berlina kupiłem mieszkanie w dziewiątej dzielnicy. Korzystałem z niego jako z dodatkowego atelier albo żeby przenocować, jeśli już nie chciało mi

się w nocy tak daleko jechać. Poza tym poradziłem mu, żeby wręczył wynajmującemu natychmiastowe wypowiedzenie umowy i zażądał odszkodowania.

I on to później zrobił. O ekspertyzie już nie rozmawialiśmy. Chyba dostał dużą sumę, jak dużą, nie wiem, ale stało się to dość szybko i bezproblemowo. Pomógł mu w tym adwokat, mąż Juliane. Przeprowadził się też do mojego mieszkania. Jeszcze przed Bożym Narodzeniem. To były dwa stresujące tygodnie. Stare mieszkanie było ogromne i jego odgracanie trwało całą wieczność. Dużo pomagali również inny jego przyjaciel i brat Mathias, który też przyjechał na weekend.

Feliksowi z trudem przychodziło oddawanie albo wyrzucanie rzeczy. Kiedyś przesiedział długie godziny na podłodze przed regałem z książkami, który właśnie miał opróżnić, i czytał dziennik pokładowy z naszego rejsu. Kilka razy musiałem go odrywać od pudeł ze zdjęciami. Inaczej nigdy byśmy nie skończyli.

Dobrze jest mieć pewność co do rzeczy, które dzieją się dookoła nas. Automatycznie przyjąłem taki punkt widzenia w przypadku Feliksa. Z różnych powodów. Po pierwsze: rozpoznać i opuścić strefę zagrożenia. Po drugie: uzyskać odszkodowanie.

– Teraz przynajmniej mogę coś zostawić swojej rodzinie – powiedział. – W przeciwnym razie żyłbym na tym świecie zupełnie niepotrzebnie.

Po trzecie: człowiek po prostu nie chce pozostawać w niepewności!

Myślałem w swojej przemądrzałości, że tym mieszanym się, drażnieniem robię dla przyjaciela coś dobrego. Ale potem nie byłem już pewny, czy nie byłoby dla niego lepiej, gdyby pozostał w nieświadomości. Gdyby umarł, nie znając prawdy. Ani razu nie skomentował ekspertyzy Martina. Ale ona wciąż była w pokoju! To przez nią słówko „gdyby” stało się nagle bardzo aktualne. Co było wiadomo przedtem? Tyle, że zdrowa komórka zmutowała w komórkę rakową. Nic więcej. To się zdarza.

– *Shit happens* – powiedział do mnie Felix kilka dni po diagnozie.

Ze swoim typowym uśmiechem, jak gdyby to on musiał mnie pocieszyć.

Miesiąc po tym, jak Martin przyniósł ekspertyzę, Feliks już się przeprowadził i nie mówił *shit happens*, tylko:

– Gdybym wtedy nie był takim tchórzem i przeniósł się z Antonią do Tyrolu Południowego...

Popatrzyłem na niego zdziwiony. Wtedy uświadomiłem sobie, jak bardzo musi mu krążyć po głowie to *gdybym*.

Gdybym po studiach wrócił do domu, jak chciał ojciec. Gdybym wtedy podjął pracę w Salzburgu. Gdybym dziesięć lat temu kupił tamto mieszkanie. Gdybym sześć lat temu miał odwagę powiedzieć pewnej kobiecie „tak”. Gdybym – mój Boże, jeszcze raz! – nie został w tej starej studenckiej budzie!

Oczywiście, że był wściekły na najemcę! Zwłaszcza w pierwszych tygodniach. To była kobieta, wdowa po byłym właścicielu. Od śmierci męża mieszkała w Szwecji. Felix przygotował się na pojedynek na wrzaski ze starszą damą. Kobieta jednak nie miała o niczym pojęcia. Po usłyszeniu zarzutów była zupełnie zdruzgotana, Felix był więc pewny, że naprawdę nie wiedziała. Potem przeniósł tę wściekłość, tak myślę, na siebie. Na siebie i swoje – jak powiadał – zawałone życie. Niewiele o tym mówił. Nie miał zwyczaju biadolić.

To musiało być straszne. Wiedzieć, że wkrótce się umrze i że można było temu zapobiec, inaczej planując życie.

Czułem się podle, możesz mi wierzyć. Co ja sobie myślałem? Po co zadzwoniłem do Martina i wezwałem go do tego mieszkania?

Myślę, że bez tej świadomości Feliksowi byłoby lżej.

## Czerwiec 2015

### Paul

Wiedziałem o tym. O tej izolacji z korka i smoły. W mieszkaniu.

Wprawdzie nie ze stuprocentową pewnością i bez żadnych szczegółów, ale wiedziałem, że w ścianach znajduje się materiał, który najprawdopodobniej jest szkodliwy dla zdrowia.

I nie kazałem go dokładnie sprawdzić.

I nie poinformowałem o tym kupującego to mieszkanie. Świadomie przemilczałem ten drobny, marginalny detal, żeby przy sprzedaży uzyskać jak najwyższą cenę; to stare mieszkanie i tak było niewiele warte.

I owszem, to jest czyn karalny.

Nie wierzysz mi?

Tak, jestem pijany.

Mimo to taka jest prawda.

Gdy Hofmann był u mnie w kancelarii i mówił, że ma raka płuc, przyszło mi do głowy pewne wspomnienie. Wspomnienie najczarniejszego dnia mojego życia, po tysiąc trzystu szesnastu czarnych dniach.

Przyprowadziłem Jade z basenu, była zmęczona i głodna. Isabella klęczała i kiwała się przed tym zasranym ołtarzem, znów niczego nie ugotowała. Nie wytrzymałem i nakrzyczałem na nią. Chwyciłem figurkę z jej ołtarza, Krysznę czy Wisznu, czy inne gówno, i rzuciłem nią w ścianę. Odłupał się tynk, a pod nim pojawiła się jakaś brązowoczarna masa. To jednak zauważyłem dopiero wieczorem, gdy zabierałem rzeczy dla Isabelli i Jade, żeby zawieźć im je do szpitala. Dokładnie obejrzałem tę dziurę w ścianie i doszedłem do wniosku, że to musi być smołowana papa albo coś podobnego.

Byłem przerażony. Latami byliśmy na to narażeni, Isabella, Jade i ja! Nasze dziecko wciąż było chore. Moje ciągłe zmęczenie, bóle

głowy Isabelli. Kupiłem to mieszkanie od starego handlarza winem. Przez prawie trzy dekady przechowywał tutaj i sprzedawał butelki z winem, musiało tu więc być chłodno. Może stąd ten materiał? Nie znałem się przecież na takich rzeczach, byłem prawnikiem. Miałem nadzieję, że tylko w tym jednym pokoju pod tynkiem było to brązowoczarne coś.

Dlaczego musiałem zawieźć rzeczy do szpitala?

Bo Jade wpadła pod samochód. Kiedy my się kłóciliśmy, ona wybiegła z mieszkania na ulicę. Przez otwarte drzwi usłyszeliśmy pisk opon. Miała ciężkie obrażenia, ale na szczęście niezagrażające życiu.

Podczas tych tygodni omal nie oszalałem. Troska o Jade, strach z powodu tego materiału budowlanego w ścianach, marzenie, żeby wreszcie prowadzić normalne życie. Gniew i nienawiść do Isabelli, która chciała mnie zaskarżyć, bo przypisywała mi winę za wypadek Jade. Musiałem działać, zanim sytuacja mnie przerośnie.

Zażądałem od Isabelli rozwodu, a ona zgodziła się tylko dlatego, że złożyłem jej wspaniałomyślną propozycję. Powiedziałem, że kupię szeregowiec na obrzeżu miasta i go jej podaruję, a mimo to będę nadal płacił alimenty i dawał pieniądze na utrzymanie, więcej niż wystarczająco. Chciałem, żeby Jade miała dobrze, a przede wszystkim by nie spędziła już ani jednej nocy w tym mieszkaniu. Jeszcze gdy Jade była w szpitalu, Isabella podpisała papiery, przedtem nie chciała nawet słyszeć o rozwodzie. Tak, gdy w grę wchodzi pieniądze, we wszystkich budzi się chciwość.

Musiałem działać szybko. Wszystko działo się w tym jednym miesiącu, kiedy mała była w szpitalu. To był maj 1994 roku. Kupiłem dom – dobrze znałem przedsiębiorcę budowlanego i jego projekt – i jednocześnie sprzedałem mieszkanie byłemu klientowi, którego znałem tylko przelotnie. Starszemu panu nazwiskiem Dafner, który chciał kupić niedrogie mieszkanie jako inwestycję. Miał je wynajmować studentom, żeby dokładać do emerytury.

Zadłużyłem się przy tym. Ojciec nie chciał mi pomóc, powiedział tylko:

– Mój drogi, sam wypij to piwo, którego nawarzyłeś.

Cóż to był za uparty osioł, mój Boże!

Gdybym uczciwie powiedział o stanie tego mieszkania, byłoby nic niewarte, a ja nigdy nie mógłbym sobie pozwolić na ten dom. Gdybym je przedtem wyremontował, efekt byłby taki sam. Poza tym nie chciałem, żeby Isabella, jej rodzina i przyjaciele się o tym dowiedzieli – kto wie, jak by zareagowali. Może zrobiliby z tego skandal. Tego nie potrzebowałem, już i tak byłem śmiertelnie zmęczony. Dlatego własnoręcznie zakleiliśmy dziurę w ścianie, nie wyszło mi to zbyt dobrze, i dokładnie ją otynkowałem – murarz byłby ze mnie żaden. Wmawiałem sobie, że ta dziwna brązowoczarna substancja jest tylko w jednym pokoju, że to nie musi być nic złego, że studenci i tak wprowadzają się tylko na krótko. A przede wszystkim wbijałem sobie do głowy: Nie bierz wszystkiego tak poważnie! Nie nakręcaj się! Zajmij się choć raz własnymi sprawami! Nie musisz wiecznie być bohaterem! Zbawcą świata!

Zatrudniłem malarza, który pomalował mieszkanie, i przekazałem klucze nowemu właścicielowi. Zapytał mnie, czy znam studentów, którzy mogliby się wprowadzić od września, a ja mu obiecałem, że się rozejrzę.

Rozwód się odbył, pomogłem Isabelli w urządzaniu się i przeprowadzce, szukaniu odpowiedniej szkoły dla Jade. Wykończony pojechałem w lipcu do Rzymu, poznałem Juliane, pomogłem jej w przeprowadzce. Szybko zapomniałem o tej sprawie z mieszkaniem.

Naprawdę zapomniałem. Nie okłamuję cię.

To spowiedź, już zapomniałeś?

Dziś w nocy on umiera.

A moja żona jest przy nim.

Obiecała mi, że napisze SMS, gdy będzie po wszystkim. Mam nadzieję, że to nie będzie trwało długo i że on nie będzie cierpieł. Że po prostu zaśnie.

Czy tylko ona? Nie, nie. Są tam jeszcze jego brat i bratowa, a także najlepszy przyjaciel, ten malarz, Max Bauer.

Kiedy przyjdzie SMS, pojedę do hospicjum i ją odbiorę. Tak, oczywiście, że taksówką.



A potem życie będzie toczyć się dalej. Musi się toczyć.  
Potrzebuję jeszcze jednej whiskey.  
Myślisz, że mam dość? Mylisz się.  
Dzisiaj nie uda mi się wypić tyle, żebym miał dość.

## Grudzień 2015

### Juliane

Co przed rokiem Paul powiedział mi o Feliksie?

Uważaj.

Gdy mój mąż w ten piątkowy wieczór wrócił do domu, od razu zauważyłam, że coś jest nie tak. Był nieobecny duchem i nieprzyjemny dla dzieci, a zazwyczaj taki nie bywa. Kiedy nakrywałam do stołu, powiedział do mnie:

– Nie uwierzysz, kto dziś był u mnie w kancelarii.

Wtedy jeszcze odpowiedziałam na luzie:

– Prawdopodobnie mnóstwo męczących klientów, jak zwykle.

Odpowiedział:

– Pamiętasz tego chłopaka z Tyrolu Południowego, który siedział z nami w przedziale w pociągu do Rzymu?

Poczułam, jak się czerwienię i miękną mi kolana.

Felix! Czego, na miłość boską, szukał w biurze Paula? Powiedział mu o romansie? Ale dlaczego miałby to zrobić?

Paul chciał mówić dalej, ale już nie doszedł do słowa, bo rozległ się dzwonek u drzwi i weszła Jade ze swoim chłopakiem. Raz lub dwa razy w miesiącu jadają u nas kolację w piątek lub sobotę albo obiad w niedzielę. Leon i Emilia uwielbiają, kiedy ci dwoje do nas przychodzą, ubóstwiają swoją przyrodnią siostrę.

Był to zatem długi wieczór. A ja siedziałam jak na szpilkach, tak bardzo chciałam wreszcie usłyszeć, po co Felix przyszedł do kancelarii Paula. Musiałam z tym poczekać do północy. Gdy goście poszli, Paul rozsiadł się na kanapie i omal nie zasnął, bo wypił za dużo. Musiałam mu przypomnieć o tym, że miał zamiar coś mi powiedzieć. Najpierw chciał to przełożyć na następny dzień, ale nie ustąpiłam:

– Powiedz krótko, o co chodzi.

Wtedy opowiedział mi wszystko. Że Felix Hofmann zachorował na raka płuc i zostało mu pół roku życia. Że chorobę najprawdopodobniej spowodowały kancerogenne substancje w jego

mieszkaniu i że ma go reprezentować przed właścicielem z roszczeniem odszkodowania.

Potem od razu zapadł w sen i zaczął cichutko chrapać. Ja nie mogłam zasnąć całą noc, następnego dnia chodziłam jak lunatyczka, nie mogłam się na niczym skupić.

Czyli to nie z powodu kobiety Felix nie zadzwonił, przyczyna była zupełnie inna, a ja nawet nie mogłam się z tego cieszyć. Mówisz, że to egoistyczna myśl? Masz rację, taka była, myślałam tylko o sobie! Miałam jeszcze inne egoistyczne myśli. Koniecznie chciałam się znów z nim spotkać, przytulić go i trzymać w ramionach, ale jednocześnie bałam się stanąć oko w oko ze śmiertelnie chorym człowiekiem, któremu już tylko współczułam.

Co jeszcze? Myślałam, że to wszystko było niesprawiedliwe, bo tak wielką przyjemność sprawiało mi romansowanie z nim i chętnie bym ten romans kontynuowała. Do czasu, aż to *ja* miałabym dość! Chciałam wolności, swobody decyzji, a nie znów jakiegoś cholernego nieszczęśliwego zrzędzenia losu, które zawisło nad moim życiem jak miecz Damoklesa. Wiem, już te myśli są straszne, ale one szły jeszcze dalej. Wieczorem za dużo wypiałam. Wyobrażałam sobie, jak stoję naprzeciwko Feliksa i mówię mu na powitanie: „Hej, przykro mi, że wkrótce umrzesz, ale czy moglibyśmy przedtem jeszcze tak często, jak to możliwe, razem gotować, jeść, słuchać muzyki, grać na gitarze, rozmawiać, a przede wszystkim sypiać ze sobą? Tak bardzo za tym tęskniłam”.

Potem poszłam pod prysznic, żeby zostać sama, i tam zaczęłam płakać, szlochałam jak małe dziecko, nie mogłam się uspokoić. Wstydziałam się swoich myśli. Felix miał wkrótce umrzeć, a mnie co chodziło po głowie? Tylko moje przyjemności.

Dwa dni później obudziłam się i wiedziałam, że muszę do niego pójść. Chciałam jeszcze przynajmniej raz go spotkać, pożegnać się i powiedzieć mu, że czas spędzony z nim był wspaniały i że wiele mi dał. Byłam pewna, że nie chce mnie widzieć, w przeciwnym razie w ostatnich tygodniach by zadzwonił. Ale musiałam zaryzykować, inaczej nie dałoby mi to spokoju. Potrzebowałam jakiegoś zakończenia.

Tak, mogłam zrozumieć, dlaczego nie zadzwonił. Gdyby sytuacja wyglądała odwrotnie, zareagowałabym dokładnie tak samo. To, że Felix miałby mnie zobaczyć naznaczoną ciężką chorobą, być może bez włosów, bladą na twarzy, z wysuszonymi wargami, chudą, zapadniętą – było dla mnie wyobrażeniem jak z horroru, nigdy bym tego nie chciała! Próżność, oczywiście! Do wizyt u Feliksa zawsze przygotowywałam się wyjątkowo starannie, bardzo chciałam, żeby uważał mnie za pociągającą. Nigdy nie pojechałabym do niego niewykąpana, bez makijażu, z tłustymi włosami i źle ubrana.

Mogę sobie wyobrazić, co sobie teraz myślisz. Że ten drugi zestaw jest zawarowany dla męża. Nie? Cyniczna myśl, nieprawdaż? Ale uwierz mi, ja taka nie jestem, nawet jeśli rozłoży mnie choroba. Również mężowi nie pokazuję się w takim stanie, bez makijażu owszem, ale nie zapuszczam się nawet przy nim. Jestem zdania, że jeśli to, jak cię ktoś postrzega, przestaje cię obchodzić, to ten ktoś też nie jest dla ciebie ważny.

Dobra, przyznaję, zanim pojechałam do Feliksa, długo zastanawiałam się przed szafą z ubraniami, co włożyć, i przed lustrem w łazience stałam dłużej niż zwykle. Uważasz, że to normalne? Prawdopodobnie przyczyną romansu nie jest zakochanie, tylko nieświadomione pragnienie bycia przez kogoś pożądaną. I ten Ktoś ma szaleć na twoim punkcie! Cieleśność i romans chodzą ze sobą w parze, choroba i romans z pewnością nie. Gdyby to mi postawiono taką diagnozę, Felix nie chciałby mnie widzieć nawet przez sekundę, to wiedziałam. A ja chciałabym, żeby zachował mnie w pamięci zdrową i atrakcyjną. Dlatego rozumiałam, że nie chciał mnie widzieć, bo najpewniej myślał podobnie. I zakładałam, gdy w niedzielę siedziałam w samochodzie i jechałam do niego, że to będzie ostatnie spotkanie i pożegnanie. Ale bardzo się myliłam.

Jechałam więc drogą, którą przed czterema miesiącami tak często przemierzałam, i zaparkowałam w pobliżu mieszkania Feliksa. Byłam bardzo zdenerwowana. Nie wysiadałam z samochodu, bo nie wiedziałam, jak mam się zachować, i bębniłam nerwowo palcami o kierownicę. Co się mówi śmiertelnie choremu człowiekowi? „Jak się masz?” jako pierwsze pytanie wydawało mi się równie niestosowne,

jak „wszystkiego dobrego!” na pożegnanie.

Gdy zadzwoniłam do drzwi mieszkania, a on otworzył, oboje byliśmy zaskoczeni, staliśmy tam i gapiliśmy się na siebie. Feliksa całkiem sparaliżowało na mój widok, powiedział mi to później, właściwie oczekiwał Maksa. A ja byłam zaskoczona, bo wyglądał jak przedtem, czyli cholernie dobrze. I z jeszcze jednego powodu byłam zaskoczona: sprawiał, że moje serce biło mocniej, gdy tak stał naprzeciw mnie.

Od razu wiedziałam, że wciąż jeszcze jestem zakochana. Wyraz twarzy Feliksa przez krótką chwilę wskazywał na to, że stracił kontrolę nad sobą, potem nagle wyciągnął ręce i mocno mnie objął. Przytulił mnie tak mocno, że zabrakło mi tchu, ukrył twarz w moich włosach i wymamrotał:

– Dobrze cię widzieć, Julie.

Długo mnie nie puszczał. Oddychałam jego zapachem i musiałam powstrzymać łzy. Brzmi to kiczowato, wiem, ale ta scena miała w sobie coś z kina, to trzymanie się siebie nawzajem. Coś się stało, coś dziwnego się z nami działo. Nie, nie potrafię opisać, co to dokładnie było, może tylko oboje czuliśmy, jak bardzo za sobą tęskniliśmy, aż do bólu.

Czy opowiedział mi wszystko w detalach? Tak, opowiadał mi o nabrzmiałych węzłach chłonnych na ramieniu, które wymacał już w Indonezji, o swoim zmęczeniu, o bólach głowy, o tym, że zaraz po powrocie poszedł do lekarza rodzinnego, który wysłał go do radiologa, i tak dalej. To trwało prawie miesiąc, zanim uzyskał ostateczną diagnozę. Przepraszał też, że nie zadzwonił.

– Byłem za bardzo zajęty sobą – powiedział. – I w żadnym razie nie chciałem cię tym obciążać.

Kiedy mi o tym wszystkim opowiadał, siedzieliśmy na kanapie w salonie i jedliśmy pizzę, którą zamówiliśmy. Mieliśmy na sobie tylko bieliznę. Dlaczego?

Bo przedtem się kochaliśmy. W pracowni, bo tam teraz stało łóżko. Dobrze słyszałaś. Czy on jeszcze mógł? Co to za pytanie? Dobrze, mogę ci odpowiedzieć. Tak, jeszcze mógł, i to całkiem nieźle, nie był słaby czy coś, dopiero wiosną zaczęło się to powoli zmieniać.

Kto przejął inicjatywę? Felix. Wziął mnie za rękę i zaciągnął do pracowni.

Tak wyglądało nasze spotkanie przed rokiem.

A potem znów regularnie się spotykaliśmy.

Po dwóch tygodniach Felix przeprowadził się do małego dwupokojowego mieszkania.

I wyobraź sobie, co stało się podczas mojej ostatniej wizyty w starym mieszkaniu!

Ostatniego dnia pojawił się tam nagle mój mąż, bo Felix miał podpisać jakieś papiery, a on nie dodzwonił się do niego na komórkę. Usłyszeliśmy dzwonek u drzwi i Felix myślał, że to Max, który chciał tylko szybko wpaść po pewien obraz, i tak po prostu otworzył mu drzwi.

Jak zareagował, kiedy mnie zobaczył?

Mieliśmy mnóstwo szczęścia! Paul mnie nie nakrył. Wszystko idealnie poukładało się w czasie. Akurat jedliśmy, Felix ugotował zupę jarzynową, a ja zrobiłam deser, banana split, zabawnie ułożony. Jak? W kształcie penisa. Przepis? Nie potrzebujesz przepisu, wystarczy wyobraźnia! Felix też uznał go za bardzo zabawny. Nie chciał w ogóle jeść tego dzieła sztuki, tak go nazwał, tylko fotografował, kiedy ja grzecznie zjadałam swój. Potem stanął za mną, pocałował mnie w kark, dobra, pominię szczegóły, w każdym razie poszliśmy do pracowni. W tym momencie zabrzmiał dzwonek u drzwi.

Felix wyszedł z pokoju i otworzył. Po głosie od razu poznałam, że to Paul. Pospiesznie wskoczyłam w swój sweter, zamknęłam drzwi do salonu i czekałam w tym małym pokoju, aż sobie pójdzie. Oczywiście bałam się, że mnie odkryje, a co myślisz, zwłaszcza w pierwszych minutach, schowałam się nawet za drzwiami! Paul nie powinien się dowiedzieć o tym romansie! Tak przynajmniej myślałam. Dzięki Bogu mój płaszcz, buty i torebkę zostawiłam w pracowni, bo wieszak w przedpokoju już od kilku dni był zdemontowany.

Pracownia graniczyła z salonem, w którym Felix i Paul rozmawiali, słyszałam każde słowo. Powoli się uspokoiłam i położyłam na łóżku, nie wierzyłam, że Paul gwałtownie otworzy drzwi i będzie mnie

szukał. Poza tym nie mógł nic podejrzewać, jak miałyby mnie skojarzyć z Feliksem?

Paul zaczął filozofować na temat przypadków.

– Nie zadajesz sobie pytania – zaczął – co to był za przypadek, że wtedy usiadłeś w pociągu akurat w tym przedziale? Nigdy nie myślisz: gdybym zrobił tylko kilka kroków więcej, otworzył drzwi innego przedziału, dziś wszystko wyglądałoby inaczej. Nigdy ci to nie przychodzi do głowy? Jeśli teraz powiesz „nie”, to ci nie uwierzę.

Nic nie rozumiesz? Poczekaj, jeszcze ci to wyjaśnię.

Na chwilę zaległa cisza, a potem usłyszałam, jak Felix mówi cicho:

– Daj spokój Paul, to przecież nic nie da, ani tobie, ani mnie. Wypijemy razem w Kosmosie po piwie?

Nagle poczułam się jak zbity pies, kiedy tak leżałam na łóżku Feliksa i podsłuchiwałam rozmawiających ze sobą męża i kochanka. Ogarnęło mnie tak straszne poczucie winy wobec Paula, miałam wrażenie, że na moich piersiach leży ciężki kamień.

Dreńczyło mnie nie tylko poczucie winy, współczułam też swojemu mężowi, który zawsze tak dużo myślał o innych. Który łamał sobie głowę, bo przed dwudziestu laty dał jakiemuś młodemu człowiekowi w pociągu jakiś numer telefonu. Pewnemu młodemu chłopakowi z Tyrolu Południowego, który powiedział, że prawdopodobnie przyjedzie we wrześniu do Wiednia, żeby tam studiować.

Tak, Paul zapisał wtedy Feliksowi numer telefonu właściciela mieszkania. To był jego znajomy, nie, nie znał go dobrze, ale wiedział, że szuka dwóch lub trzech studentów do pustego mieszkania. Paul dał Feliksowi numer, ale nigdy się nie dowiedział, że on naprawdę zadzwonił do tego człowieka, że pokój był jeszcze wolny, że się tam wprowadził, nie mówiąc już o tym, że został w tym mieszkaniu na dwadzieścia lat! Tego dowiedział się dopiero wtedy, kiedy Felix przyszedł do niego do kancelarii i powiedział, że ma raka płuc i że na dziewięćdziesiąt dziewięć procent to efekt tej warstwy izolacyjnej ze smołą w ścianach. Tego, że Paul tak bardzo się przejął, nie byłam świadoma. Ze mną o tym nie rozmawiał.

Paul właściwie nie wierzy w przypadek, tylko w boski porządek.

Felix i Paul wyszli w końcu z mieszkania, odczekałam kilka minut,

włożyłam płaszcz i botki, pobiegłam do samochodu, który zaparkowałam dwie przecznice dalej, i pojechałam do domu. Emilia wciąż jeszcze leżała przed telewizorem, posłałam ją do łóżka i sama też poszłam spać. Godzinę później przyjechał Paul. Udawałam, że śpię. Wiedziałam, że to zakłamane. Ale byłam zbyt wzburzona i nie miałam siły z nim rozmawiać.

Następnego dnia zapytałam go mimochodem przy śniadaniu, czy przypadek pana Hofmanna tak go przygnębia, bo dał mu wtedy ten numer telefonu, ale nie chciał o tym rozmawiać i tylko patrzył w gazetę.

Co się potem stało? Czy skończyłam ten romans?

Nie, nie zrobiłam tego. Nie potrafiłam. Nie chciałam z tego zrezygnować, chciałam mieć i jedno, i drugie, moje życie z Paulem i moje godziny z Feliksem.

Nasz romans po prostu trwał dalej. Jakbyśmy go nigdy nie przerwali, jak gdyby on nie był śmiertelnie chory. Tak jakby Felix kurczowo trzymał się życia w mojej osobie. O chorobie w pierwszych tygodniach niewiele mówiliśmy i przyznaję, że ją wyparłam.

Romans był nawet bardziej intensywny niż przedtem, powiedziałabym z perspektywy. Nie, nie seksualnie, chodziło raczej o leżenie obok siebie na kanapie i słuchanie muzyki albo czytanie sobie nawzajem na głos, muzykowanie – dwa razy wzięłam ze sobą wiolonczelę, wspólne gotowanie, przy czym czasem przychodził Max i gotował dla nas, spacer, nasze rozmowy. Felix dużo opowiadał mi o swoim dzieciństwie, o zmarłej matce, Antonii, z którą chciał się jeszcze raz spotkać, ale nie odpowiadała na jego e-maile, o bracie i jego rodzinie, o swoich rejsach pod żaglami.

W połowie marca jego stan się zmienił, a potem już poszło szybko. Dosłownie widziałam, jak słabnie z dnia na dzień. Zaczęły się napady kaszlu, które były coraz silniejsze, częstsze i sprawiały mu ból w dole pleców. Bóle pleców stopniowo zagościły na stałe, chodzenie sprawiało mu trudność i w końcu prawie zawsze potrzebował kul. Potem nagle stracił głos i mógł już tylko szeptać. Był zmęczony i dużo spał. Miał również humory, czasem obcesowo odsyłał mnie już od drzwi, czasem w ogóle nie chciał mnie widzieć. Tymczasem robiłam



mu zakupy i od czasu do czasu odkurzałam mieszkanie, Max codziennie mu gotował.

Dziesiątego kwietnia jego onkolog, doktor Perthens, poprosił go, by pozwolił się w końcu zabrać do szpitala, żeby wdrożyć normalną terapię przeciwbólową, bo zabiegi ambulatoryjne już nie wystarczały. Felix się bronił, bał się, że już z tego szpitala nie wyjdzie. Piętnastego kwietnia skapitulował.

Bez bólu jeszcze tylko leżał, wysoko podparty, nie mógł się już schylić, ledwie siedział. Na silne bóle w dole pleców dostał dwadzieścia naświetlań, trwało to do połowy maja. Nadziei, że nastąpi poprawa i go wypuszczą, nie tracił ani na chwilę. Tak, był wojownikiem. Ale poprawa nie następowała i już nie wyszedł.

Odwiedzałam go codziennie. Pod koniec czerwca przeniesiono go do hospicjum.

Wtedy Paul już o wszystkim wiedział, bo w lutym mu powiedziałam. No tak, nie wszystko, ale dużo. Nie miał nic przeciwko moim odwiedzinom w szpitalu. Nigdy by mi nie zabronił odwiedzić umierającego.

Dlaczego miałby to zrobić?

Taki właśnie jest Paul. Dla niego to był akt dobroci.

Czy on go też odwiedzał?

Tak, raz, w jego urodziny.

Max też był tam tego wieczoru. To był ten jedyne raz, kiedy byliśmy we czworo: Felix, Max, Paul i ja.

Jak wtedy w pociągu do Rzymu.

## Maj 2015

### Felix

Co za pieprzone gówno! Nie chcę umierać! Nie chcę umierać! Nie chcę!

Dlaczego akurat ja?

Na początku człowiek myśli tak cały czas.

Z tobą też tak było?

Po prostu tylko narzeka się na niesprawiedliwość.

Potem człowiek powoli się uspokaja. Godzi się z tym. Nie, właściwie to się z tym nie godzę. Ale kiedyś przychodzą też inne myśli. Choćby ta, jak się chce umrzeć.

Nie mam masochistycznych skłonności. Eleganckie, powolne duszenie się to raczej nie jest przyjemna, szybka śmierć. A przedtem? Tygodniami, miesiącami leży się w łóżku, ma się okropne bóle, ledwie można się ruszać. Na samo wyobrażenie skręca się żołądek. Na to nie miałem ochoty.

W sprawie swojej śmierci chciałem sam zdecydować, kiedy i jak. Wywiodę cię w pole, kostucho! Jeśli już uważasz, że musisz mnie zabrać, zanim nadejdzie mój czas, to na moich warunkach. Nie jestem ci nic winny.

Tak, dużo się zastanawiałem nad samobójstwem. Myślałem nawet o Szwajcarii, o eutanazji na życzenie, ale od razu porzuciłem tę myśl. Bo to dla mnie za drogie! Jak chodzi o umieranie, jestem skąpy! Te kilka tysięcy euro przekażę lepiej swoim bratankom i bratanicom ze wskazaniem, żeby pojechali za to w piękną podróż. Albo nauczyli się grać na jakimś instrumencie. Te pieniądze lepiej wydać na życie. Śmierć, tak czy owak, odwali swoją robotę za darmo.

Zastanawiałem się nad metodami. Mam się rzucić pod pociąg? Nie, to zbyt przerażające. Dla maszynisty, a przede wszystkim dla tych, którzy musieliby potem posprzątać. Uważam, że to w żadnym razie nie jest piękny widok, nie można oczekiwać zbyt wiele od przedsiębiorców pogrzebowych. Dla rodziny taka śmierć musi być

najgorsza. Nie mogą stanąć przed wystawionymi w trumnie zwłokami i się pożegnać.

Wziąć tabletki? Powiesić się? Podciąć żyły w wannie? Jak zainscenizować swoje zejście? Posprzątać mieszkanie, napisać ckliwy list pożegnalny i zastanowić się, kto ma go później znaleźć? Wyobrażałem sobie te sceny, jako fotograf zawsze mam w głowie obrazy. Gadałem na ten temat z Maxem i Juliane. Pytałem ich, które z nich chce mnie znaleźć i w jakich okolicznościach. Żadne z nich nie uznało tego za zabawne.

Najpiękniejszym wariantem byłoby dla mnie morze. Jeszcze raz wyjechać i pożeglować prosto w sztorm. Morze mnie połyka i jest po wszystkim.

Ale jeśli chodzi o samobójstwo, zawsze jest problem z wyborem właściwego momentu, bo nadzieja umiera ostatnia. Po złym dniu, kiedy myślisz: „Dobra, wystarczy, już dłużej nie mogę”, znów przychodzi dobry albo przynajmniej lepszy dzień. Człowiek mimo wszystko trzyma się życia, prawda? Nawet jeśli jest ono coraz bardziej ograniczone.

To oczywiście znów byłby dowód, że człowiek jest tchórzem. Że się wykręcił. Od cierpienia. Cierpienie jest częścią życia! Tak mówi nam Kościół. Kompletna bzdura, nie bardzo wiem, co zrobić z taką nauką. Bo wielu ludzi wcale nie musi w swoim życiu tak wiele wycierpieć. I tu znów wrócilibyśmy do niesprawiedliwości. Kto dostanie porcję cierpienia, a kto nie?

Juliane powiedziała zimą, że umieranie to naturalny proces, który jest częścią życia, i że w ostatnich tygodniach może się zdarzyć jeszcze wiele pięknych rzeczy. W rozmowach, w pojednaniach, w spotkaniach z innymi, w pożegnaniach. Człowiek w żadnym razie nie powinien kończyć życia gwałtownie, przecież po śmierci matki sam widziałem, jak źle to wpłynęło na rodzinę.

Brzmiało to tak, jakby chciała mi dać do zrozumienia, że chyba mogę wytrzymać własny koniec, trochę bólu, to przecież nie potrwa długo.

Nieźle się wściekłem, a ona zaczęła płakać.

Łatwo im wszystkim mówić! Nikt, naprawdę nikt nie wyobraża

sobie, co znaczy wiedzieć, że wkrótce zejdziesz! Każdy zdrowy człowiek wyobraża sobie, jak heroicznie by zareagował w takiej sytuacji, jak niezmiernie byłby dzielny. Nikt nie jest w stanie poczuć tego straszliwego lęku, który siedzi ci na karku, tego okropnego uczucia: „Nie chcę!”, które cię dławi. Tego, że wszystko w tobie się przeciwko temu broni.

Max ujął to inaczej, celnie i mało delikatnie, bo w przeciwieństwie do Juliane nie jest religijny:

– Pozwól sprawom się toczyć. W twojej zaszrannej sytuacji nie powinieneś się jeszcze dodatkowo zdręzczać pytaniami, jak się zabić i kiedy jest na to właściwy moment.

Pozwoliłem więc się temu toczyć, jak widzisz.

Dlatego tu jestem.

W dobre dni mam nadzieję, że wypuszczą mnie jeszcze raz na kilka tygodni.

Owszem, boję się tego, co nadejdzie. W odróżnieniu od ciebie przyznaję się do tego. To straszny, straszny lęk. Wykańcza mnie. Mówi się, że ludzie po śmierci wyglądają na szczęśliwych i uśmiechają się z zadowoleniem. Z moją matką wcale tak nie było. Wyglądała na udęconą, w ogóle wyglądała jak jakaś pozaziemska istota. Zapadnięte policzki, otwarte usta i opadnięta broda. To nie był piękny widok i długo mnie prześladował.

Wierzysz w Boga, w niebo, prawda? Zazdroszczę ci. Teraz chętnie byłbym wierzący. Wyobrażenie, że niebo istnieje, że czeka tam na mnie matka, byłoby dla mnie wielkim pocieszeniem. Pogodziłbym się nawet z aniołami grającymi na harfach. Nie znoszę gry na harfie.

To prawdziwa tortura, ten lęk przed nieznanym. Umieranie, śmierć i zaświaty! Wielkie tajemnice. Czy nic tam na nas nie czyha, jakaś wielka czarna dziura? Czy błądzimy tam zagubieni? I co właściwie tam się błąka? Nasze dusze? Czy w ogóle jakieś mamy?

Max jest przekonany, że dusza nie istnieje, że jesteśmy tylko materią. To, co stanowi rdzeń naszego istnienia, to tylko skutek procesów fizycznych. Nasz mózg jest skomplikowaną i wyrafinowaną machiną, pozwala nam czuć, pamiętać, postrzegać. Dusza jest wymysłem człowieka, iluzją, żebyśmy się sobie wydawali jedyni

w swoim rodzaju. Często o tym dyskutowaliśmy, kiedyś, przed tą diagnozą.

W gruncie rzeczy byłem tego samego zdania co on. Uważałem się za tak zwanego nowoczesnego człowieka, który wszystko tłumaczy sobie racjonalnie. Mimo to czegoś mi brakowało. Uważałem za brzydkie i smutne to wyobrażenie, że moje „ja” może być tylko efektem procesów biochemicznych. Musi przecież istnieć coś więcej! O to *coś więcej* czasem się kłóciliśmy. Ale nie potrafiłem rozwiązać tej zagadki! Słowo *dusza* też mi się nie podobało! A teraz tak czy owak jestem w kropce.

Nauka i religie oferują tak wiele możliwości, rozmaite formy egzystencji, które czekają nas po śmierci. W uproszczeniu: po pierwsze – jeśli mamy duszę, to: a) idzie ona do nieba albo do piekła, b) zbłąkana tuła się po Niczym, c) rodzi się na nowo jako człowiek lub zwierzę. Po drugie: jeśli nie mamy duszy, to ta niedająca się zdefiniować, niematerialna resztką nas też błąka się nie wiadomo gdzie. Kto nie żyje, ten nie żyje. Koniec, nie ma go.

Zależnie od kondycji danego dnia kurczowo chwytam się jednego z tych wariantów. W te dni, kiedy mam wrażenie, że łapię kontakt z Bogiem, idę z nim i matką na spacer po chmurach i patrzę w dół, na ziemię. To siwowłosy starszy pan z długą brodą, w powłóczyściej szacie. Jak w mojej Biblii dla dzieci. Dyskutujemy o kwestiach etycznych i on potrafi mi udzielać całkiem dobrych odpowiedzi, jest niezły. Takie dni zdarzają się częściej. Religijne wychowanie moich rodziców jednak nie całkiem puściłem mimo uszu.

Potem znów wyobrażam sobie, jak smażyć się w gorącym piekle i drogiemu Bogu pokazuję środkowy palec. Kazałeś mi nędznie zdychać, Ty! Gdzie byłeś, kiedy Cię potrzebowałem? Uczę diabła robić knedle z boczkiem i bawię się w jego towarzystwie, to wesół koleś. Nie chcę mieć nic wspólnego z królestwem niebieskim, jestem skrajnie wściekły na Wszchemogącego.

Czasem lekki jak piórko żegluję po Niczym, które wyobrażam sobie niebieskie jak morze. Spotykam inne piórka, a one mi machają. Dobra, ta wersja podoba mi się najmniej, w Niczym szybko bym się znudził. Chyba że, a jest taka możliwość, można tam coś tworzyć,

budować, na przykład nowy świat. To byłoby zadanie, które by mnie interesowało! Tak całkiem bez pracy się ginie, nawet jako piórko.

Czasem dobre jest według mnie wyobrażenie, że odrodzę się powtórnie jako słoń albo jako mrówka, koliber czy panda. W zwierzętach tkwi jakaś niewinność. W ogóle nie chcę być człowiekiem, z tymi wszystkimi otchłaniami w sobie.

Albo odrodzę się znów jako człowiek, na Nowej Gwinei albo w Paragwaju, a więc w zupełnie innej kulturze. To uznałbym za interesujące.

Kiedy jestem totalnie zrozpaczony i mam wszystkiego powyżej uszu, nie chcę już więcej czuć, przeżywać, myśleć, nie chcę wiedzieć nic o tym świecie, to pragnę tego bezdusznego wariantu. Jestem twardym dyskiem, który został radykalnie wyczyszczony i który nie dowie się, że został wyczyszczony. Bo przecież nie ma świadomości.

Teraz człowiek ma trudny wybór. Czy kiedyś było łatwiej?

Bycie współczesnym człowiekiem to właściwie przekleństwo, jak chodzi o umieranie. Ciesz się, że jesteś wierzący! Ty nie zadajesz sobie takich pytań. Dla mnie to czysty horror. Te myśli mnie bombardują i nękają. Wiem tylko, że najchętniej przyjąłbym tę trzecią możliwość.

Czyli zostałbym tutaj, na tym świecie.

Namawiałbym ludzi do tego, żeby korzystali z życia. Wspaniale jest być na tym świecie! To cud, że istniejemy, że możemy tu być!

Dziś cię wypuszczają, prawda? W tym tkwi jedyna prawda, która się liczy. To, co wiemy, ty i ja. Istniejesz ty, istnieje twoja żona, ona cię kocha i dzisiaj cię stąd zabiera. To piękne.

Cieszę się twoim szczęściem.

Wrzesień 2015

Max

Zostań tak. Tak jest idealnie. Bardzo ładnie.

I znów patrz na wiolonczelistkę! Chcesz wiedzieć, co było dalej?

Masz szczęście, że jestem dziś w dobrym humorze i mam ochotę sobie pogadać.

W przypadku byłej przyjaciółki Feliksa, Antonii, słówko *gdyby* rozbrzmiewało dla niego najgłośniej. Nakręcał się tym. Nie, nie biadolił, ale czasem o niej mówił. Że była kobietą jego marzeń, którą powinien był wtedy Chapman. Chciała z nim zamieszkać w Tyrolu Południowym, to było chyba sześć lat temu. Pochodziła stamtąd, z Völs am Schlern. Odziedziczyła tam dom po rodzicach i chciała go razem z Feliksem przebudować, wprowadzić się tam, wyjść za mąż, urodzić dzieci, być szczęśliwa. Kobiety są przekonane, że właśnie w tym tkwi szczęście absolutne. W reprodukcji, w szczególności we własnych czterech ścianach z ogrodem, najlepiej otoczonym krzakami róż i z grillem.

O grillu marzą mężczyźni? Mylisz się. O tym marzy zawsze tylko kobieta! Porządny pokazowy mąż stoi spocony przy grillu i przypieka różności dla niej i jej koleżanek. I zawsze przyjacielsko się przy tym uśmiecha. Kiedy pokazowe dzieci z radosnym śmiechem biegną po idealnie skoszonej trawie – skoszonej przez niego, rzecz jasna – do niej, prosto w jej ramiona. Żeby wszyscy mogli zobaczyć, jaką jest pokazową mamą. W tle jest oczywiście pokazowy dom, za który ten mężczyzna wciąż z trudem spłaca kredyt. Przez co nie może spać.

Tak, teraz byłem cyniczny.

Stereotyp? Wątpię. Ja też byłem żonaty, wiem, co mówię.

Potem z ciekawością patrzyłem na to, jak śmiertelnie chory Felix też dostrzegł w tym szczęście absolutne – w żonie, w reprodukcji, we własnym domu. On, który tak się przed tym bronił, przed zwyczajnym

życiem rodzinnym. Chciał podróżować i być wolny. Czy mężczyzna musi leżeć na łożu śmierci, żeby mieć takie samo wyobrażenie o szczęściu jak kobieta około trzydziestki? – zadawałem sobie to pytanie całkiem na poważnie. Czy może Stwórca coś źle zaprogramował? Z czego się śmiejesz?

Można oczywiście powiedzieć w przypadku Feliksa, że żałował swojej decyzji o rozstaniu z kobietą marzeń, bo wiedział, że wówczas nie umarłby tak młodo. Ale to nie było tylko to. Był przekonany, że jego decyzja była *per se* niewłaściwa! Z perspektywy wyobrażał sobie, jak szczęśliwy byłby u jej boku, z domem, dzieckiem i psem. Że właśnie jej marzenia byłyby właściwą drogą życiową i że był na to po prostu zbyt tchórzliwy. Stąd mój drugi wniosek: mężczyzna musi leżeć na łożu śmierci, żeby pojąć, że to kobieta ma rację.

Czy sobie z siebie żartujesz? Tylko troszkę.

Jaka ona była? Ta Antonia? Nie znałem jej dobrze, w tym czasie mieszkalem w Berlinie. Widywałem ją tylko od czasu do czasu, gdy odwiedzali mnie w Berlinie albo kiedy ja przyjechałem do Wiednia. Była bardzo miła i, o ile pamiętam, wyglądała cholernie dobrze.

Postawiła mu ultimatum, musiał się zdecydować. Felix się z nią rozstał, wyjechał na kilka tygodni. Potem jednak znów się zeszli i to się powtórzyło po roku czy dwóch. Tak dokładnie już nie pamiętam, nie prowadzę dziennika życia uczuciowego swoich przyjaciół. Pamiętam tylko, że gdy rozstał się z nią drugi raz, był strasznie wściekły i zraniony. Potem ona przeniosła się, sama, do Tyrolu Południowego, a on już jej więcej nie zobaczył. Chociaż żebrał o to i próbował wszystkiego, nie dała się zmiękczyć.

Felix koniecznie chciał jeszcze raz spotkać się z Antonią. Chciał się z nią pożegnać. To było dla niego ważne, żeby się pożegnać, uregulować sprawę. W szpitalu, w swoje czterdzieste pierwsze urodziny, zaprosił przyjaciół, również były partnerki, ale spośród nich przyszła tylko jedna, i oczywiście swoją rodzinę. Ci przyjechali do Wiednia z Tyrolu Południowego. Brat, bratowa, dwoje bratanków, dwie bratanice. Najmłodsza, Marlene, była najwyraźniej jego ulubienicą, nie bała się też tak jak trójka pozostałych, od razu wskoczyła do niego na łóżko i zaczęła paplać. Przyjaciel z Rzymu



przyjechał z całą rodziną, miał na imię Alessandro. Jego znałem dobrze.

Felix chciał przynajmniej troszkę ze wszystkimi poświętować i tego dnia pożegnał się z większością z nich na zawsze. Wiedział, że zostało mu niewiele czasu, nie bardzo też już chciał przyjmować gości. Wizyty coraz bardziej go męczyły. W ostatnich tygodniach chciał widywać tylko brata, bratową, Juliane i mnie.

Ona też przyszła na jego urodziny. Nie, nie Antonia. Juliane. Przyniosła własnoręcznie upieczony tort Sachera, którego sam bym lepiej nie zrobił. Tego dnia niektórzy znajomi Feliksa widzieli ją pierwszy raz, pamiętam, że byli lekko zmieszani. Juliane przyniosła wiolonczelę, bo Felix ją o to poprosił. Zagrała kilka utworów i tak się to spodobało pielęgniarce, że szeroko otworzyły drzwi, by wszyscy na oddziale mogli słuchać. Później wpadł też mąż Juliane, żeby złożyć Feliksowi życzenia.

Uważałem, że to dziwne, kiedy tak oboje siedzieli przy jego łóżku, ten mężczyzna po prawej, jego żona po lewej. Ja stałem w nogach łóżka i najchętniej bym tę scenę namalował. Jej mąż ma na imię Paul i nie był niemiły, ale sprawiał wrażenie zdystansowanego i nieobecnego. Ona wydawała się zakłopotana, jak gdyby to wszystko było dla niej nieprzyjemne. Zadawałem sobie pytanie, czy ten adwokat wiedział, że jego żona jeszcze kilka miesięcy temu pieprzyła się z tym oto pacjentem, dopóki to było możliwe. Co mu powiedziała o Feliksie? Jak myślał, dlaczego tu była? Po co on w ogóle tu przyszedł?

Felix? On nie był ani zdystansowany, ani zakłopotany, ani nim, ani nią. Myślę, że jeśli człowiek wie, że wkrótce umrze, wyraźnie obojętnieje na pewne rzeczy. Poza tym był lekko otumaniony środkami przeciwbólowymi. Szeptem opowiadał Paulowi o tej nowej terapii, do której się wreszcie zakwalifikował, tej z przeciwciałami. Twardo o nią walczył i zdążył jeszcze wziąć udział w badaniu. Czy pomogła? Nie, jego organizm nie zareagował na nią. Było za późno. Chyba potem to wszystko przerwano.

Odbiegłem od tematu.

Chciałem przecież opowiedzieć o naszej podróży do Tyrolu

Południowego.

Felix namawiał mnie, żebym pojechał z nim do Antonii, a ja dałem się przekonać. I tak nie potrafiłem mu niczego odmówić. Ona w końcu odpowiedziała na jego e-mail, rozmawiali przez telefon. Też chciała się z nim jeszcze raz spotkać, tak mi powiedział. Podał datę. To był początek kwietnia, tuż przed tym, jak poszedł do szpitala. Sam nie mógł prowadzić samochodu, w tym czasie już potrzebował kul, żeby się poruszać. Umówiliśmy się, że wyjedziemy na tyle wcześnie, by dojechać po południu. Wieczorem chcieliśmy jechać dalej, do jego brata, i tam przenocować.

Czułem, że Juliane chciałaby pojechać z nami, ale Felix odmawiał.

– Julie, mam wyrzuty sumienia – powiedział jej – że zajmuję ci tak wiele czasu. Masz rodzinę i pracę, i tak dostatecznie dużo dla mnie robisz!

Już nieraz tak do niej mówił, a jednak wciąż się cieszył, kiedy przychodziła. I potem w ostatniej chwili prosił o to, czego przedtem z dumy odmawiał. W ostatnich tygodniach stało się to rodzajem gry pomiędzy nimi, ale ja byłem przekonany, że Felix nie grał z nią świadomie, był po prostu rozdarty między „nie chcę być dla ciebie ciężarem” a „nie potrafię z ciebie zrezygnować”. Potrzebował jej. Dzień przed tym, jak poszedł do szpitala, zaproponowała mu, że go odwiezie. Odmówił, powiedział, że weźmie taksówkę, bo ona ma przecież rodzinę, bla, bla, bla. Rankiem napisał do niej SMS, że jednak by się cieszył, gdyby przyjechała i pomogła mu się pakować, akurat dziś boli go nie do wytrzymania. To samo powtórzyło się potem wielokrotnie w szpitalu. Wiedzieliśmy, że często nie najada się szpitalnym jedzeniem, i kiedy nie miałem czasu, żeby coś mu przywieźć, pytała go SMS-em, czy ma mu szybko podrzucić jakieś danie od Chińczyka. Do połowy czerwca miał ogromny apetyt na azjatycką kuchnię, Juliane najczęściej bywała u niego przed południem, a ja wieczorami. Pisał wtedy: „Nie, nie, niczego mi nie trzeba”, a pół godziny później przychodził SMS: „Jednak poproszę”. I kiedy pogotowie miało go przewieźć do hospicjum, proponowała mu poprzedniego wieczoru, że przyjdzie spakować jego rzeczy i pojedzie razem z nim. Oczywiście znów odmówił, wiem, bo z nim wtedy

byłem. Wiedziałem, że następnego ranka napisze SMS: „Przyjedź, proszę”. I tak zrobił, nawet dokładnie przewidziałem słowa.

Nie chciał jechać do Tyrolu Południowego z nią, tylko ze mną. Żeby nie być dla niej ciężarem.

– Nie powinniśmy jej jednak spytać, czy ma czas i ochotę? – zapytał dwa dni przedtem. – We troje byłoby weselej. Jak myślisz?

– Bardzo ci dziękuję, że uważasz mnie za nudziarza – poskarżyłem się. – Ale ty jej w żadnym razie nie zapytasz. Ona ma dzieci. Męża! Co ma mu powiedzieć? Że jedzie na wycieczkę krajoznawczą z jednym śmiertelnie chorym facetem o kulach i z ześwirowanym malarzem?

– Dlaczego nie? – zapytał Felix.

– Nie pozwalaj sobie za dużo! – powiedziałem i nie napisał do niej SMS-a.

Ale ona wiedziała, kiedy będę odbierał Feliksa, i przyjechała. Nawet z mężem, który ją podrzucił! Nie wierzyłem własnym oczom. Zjeżdżałem akurat na pobocze, Felix stał kilka metrów dalej na chodniku z kulami i torbą, kiedy z drugiej strony nadjechał czarny mercedes i zatrzymał się dokładnie na jego wysokości. Juliane siedziała w fotelu pasażera, pochyliła się, pocałowała męża siedzącego za kierownicą i wysiadła. Całuje, wysiada i promiennie uśmiecha się do Feliksa. On też oczywiście się do niej promiennie uśmiecha. I co robi mąż? Macha do Feliksa. Nie, nie wesoło, aż tak to nie, to było raczej nieme powitanie. Dokładnie mu się przyglądam, zanim szybko odjedzie. Nie potrafię prawidłowo zinterpretować jego wyrazu twarzy. Zmęczenie? Ulga? Smutek?

W żadnym razie bym go nie rozpoznał. Ale przed rokiem nie rozpoznałem też Juliane. Od Feliksa wiem, że wyszła za mąż za tego adwokata, który jechał z nami pociągiem, niedługo potem. Faktycznie, w tym przedziale byliśmy we czworo. Od Bolzano. Od Wiednia do Innsbrucku tylko ten adwokat i ja, i dwie siostry zakonne. Wiolonczelistka wsiadła w Innsbrucku, Felix w Bolzano, tam też wysiadły zakonnice.

Siedzę więc w samochodzie i myślę sobie, że ten facet ma kochankę i cieszy się, że żona wyjeżdża. Inaczej nie umiem sobie tego wytłumaczyć. Jeszcze dziś tak uważam. Prawdopodobnie spędzi ten

weekend u niej, a przedtem odwiezie dzieci do babci i dziadziusia. Może oni nawet żyją w otwartym związku, myślałem dalej, w tych kręgach to możliwe. Jeśli chodzi o formy związków, już zupełnie nic mnie nie zdziwi, sporo widziałem i przeżyłem. Ale to mnie zaciekało, przyznaję. No, jak to było u tej wiolonczelistki i adwokata. Jednak ona nigdy otwarcie o tym nie rozmawiała, zawsze się wzbraniała. Wyglądało na to, że to był jej czuły punkt.

W samochodzie nie mogłem się powstrzymać i zapytałem ją:

– Dla twojego męża to w porządku, że jedziesz z nami na wycieczkę do Tyrolu Południowego?

Spojrzała na mnie we wstecznym lusterku i odpowiedziała jak zwykle, że jej mąż aprobeuje jej wsparcie dla Feliksa. Wyglądało więc na to, że o wsparciu sprzed choroby jej mąż nic nie wiedział. Czy to też by aprobował? Może w ich kręgach otwarty związek nazywano wzajemnym wsparciem? Bardzo zajęty mąż, który późno w nocy wraca do domu z biura, gdzie obrabia nie tylko akta, lecz także sekretarkę, i w kręgu swoich przyjaciół wciąż opowiada, jak bardzo żona go wspiera i zdejmuje z jego barków obowiązki. Znużona żona, która ze spotkania z kochankiem spieszy do domu, żeby na czas ugotować posiłek dla rodziny – ona z kolei swoim przyjaciółkom opowiada, jak bardzo jej mąż wspiera ją, gdy pragnie zostać z dziećmi, bo wówczas wszyscy są mniej zestresowani.

Przepraszam, myśli mnie ponoszą.

Nie drażyłem dalej, w gruncie rzeczy było mi to obojętne. Felix wyraźnie się cieszył, że była z nami, dlatego ja też się cieszyłem. Potem nawet zaczęli śpiewać piosenki, które leciały z radia, a Felix obstawał, żebym ja też śpiewał. Mógł sobie oszczędzić ataku śmiechu. Mam beznadziejny głos, ale o tym przecież wiedział. Ona przećwiczyła ze mną kilka tonów, ale poddała się, Felix nie mógł się powstrzymać od śmiechu. Był w doskonałym humorze, naprawdę dobrze się bawił.

Cieszyłem się, że z nami była, bo mogliśmy się zmieniać za kierownicą. Byliśmy w drodze w sumie osiem godzin! Na przejazd z Wiednia do tej malowniczej turystycznej dziury Völs am Schlern zwykle potrzeba sześciu godzin. My jechaliśmy z przerwami,

Feliksowi siedzenie sprawiało ból. Ponieważ stanie i chodzenie też sprawiało mu ból i ulgę przynosiło mu tylko leżenie, Juliane tuż przed Salzburgiem zjechała z autostrady i zatrzymała samochód nad brzegiem Mondsee. Felix położył się na piknikowym kocu, który na szczęście miałem w bagażniku, i odpoczywał. Ponieważ dziwnie by było tak stać obok niego, położyliśmy się obok, z nim pośrodku. On przysnął, a my przyglądaliśmy się mu we śnie.

W Innsbrucku z kolei ja zjechałem z autostrady, a Juliane pilotowała mnie do restauracji, w której zjedliśmy obiad. Dobrze знаła miasto, wychowała się w pobliżu. Zapytałem ją, czy chce odwiedzić rodziców, tylko żeby im powiedzieć „cześć”, ale odmówiła. Ojca nie miała, matka prawdopodobnie była w pracy, tak powiedziała, zadzwonić też nie chciała.

Tymczasem zaczęło padać. Uznałem, że to dobrze. Jechaliśmy dalej w kierunku Włoch, a Felix był coraz bardziej milczący. Pomyślałem: niech pada, niech będzie mrocznie, mgliście! Niech ten dom okaże się przestępstwem architekta i hańbą dla krajobrazu. A ta kobieta, bardzo proszę, niech będzie szkaradna i niech ma męczący, jazgotliwy głos. Wtedy Felix odnajdzie spokój i będzie mógł powiedzieć: to *była* właściwa decyzja, teraz już wiem, rozkoszowałem się pięknymi latami wolności i teraz mogę spokojnie umrzeć.

A on nagle się odezwał:

– Muszę wam coś powiedzieć. Antonia nie wie, że przyjeżdżam. Nie napisała do mnie e-maila i nie rozmawialiśmy przez telefon.

Byliśmy oczywiście przerażeni i objechaliśmy go: jak mogłeś coś takiego zrobić? A co, jeśli nie ma jej teraz w domu? Wziąłby na siebie trudy długiej podróży na próżno.

– To prześpimy się w hotelu i jutro rano jeszcze raz zapukamy do drzwi – powiedział niewzruszony.

– A jeśli jutro też jej nie będzie? Bo na przykład wyjechała na weekend? – zapytałem podenerwowany.

– To przyjedziemy innym razem – odpowiedział.

Juliane tylko przewróciła oczami. Oboje wiedzieliśmy, że dla Feliksa to była ostatnia okazja.

Szybko się uspokoiłem. Właściwie to dobrze, że ta kobieta nie była

przygotowana na nasz przyjazd, pomyślałem sobie, to tylko zwiększało szansę, że nie zaprezentuje się w najlepszym świetle.

Nie mogła oczywiście tak bardzo zbrzydnąć przez pięć lat. Była tylko w zaawansowanej ciąży. Akurat teraz. Była zaskoczona, gdy zobaczyła nas troje pod drzwiami swojego domu – zwłaszcza Feliksa opartego na kulach. Zaprosiła nas do środka, ale Juliane i ja odmówiliśmy, chcieliśmy się przespacerować.

Felix musiał zatem przejść przez to sam. Nie mogliśmy przecież siedzieć obok niego, trzymać go za rękę i mówić: „Bądź silny, nie załam się!”, czy też głaskać ją po rękę i szeptać: „Tak, wtedy zachował się jak dupek, ale proszę, proszę, czy możesz nam teraz wyświadczyć uprzejmość i mu wybaczyć, widzisz przecież, że ten facet już długo nie pożyje?!”.

Najwyraźniej to nie było potrzebne, bo gdy odbieraliśmy Feliksa po godzinie, widzieliśmy, że płakała. On zresztą też. Objęli się i nie mogli się od siebie oderwać. Z nami pożegnała się uściskiem dłoni, a do Juliane jeszcze powiedziała:

– Niech pani dobrze o niego dba!

Prawdopodobnie myślała, że są parą.

W samochodzie Felix nie powiedział ani słowa, ale nie martwiłem się, bo wyglądał na odprężonego. Swobodnego.

Pojechaliśmy dalej, do jego brata, gdzie z kolei wszyscy myśleli, że Juliane i ja jesteśmy parą – widzieli ją pierwszy raz – i zaproponowali nam wspólny pokój. Felix wyjaśnił sytuację, ale przyznaję, że byłem trochę zły. Jednak o tym, że to on chętnie wzięłby ten dwuosobowy pokój, nawet nie wspomniał. Powiedział tylko, że są potrzebne trzy jedyńki, bo wszyscy jesteśmy tylko przyjaciółmi. Jego rodziny to nie zdziwiło, wśród przyjaciół Feliksa było kilka kobiet.

Nigdy nie przedstawił Juliane jako swojej kochanki, również w szpitalu, czasem tylko mówił – kiedy wyjaśnienie wydawało się konieczne – że jest przyjaciółką albo dobrą znajomą. Ona czuła z tego powodu ulgę, tak sędzę. Jako żona Dalberga nie potrzebowała plotek. Jej prawdopodobnie plotki byłyby obojętne, ale miała męża i dwoje dzieci, których nie chciała ranić. Mieli romans, to się zdarza, a potem rozwinęła się z niego przyjaźń. To wszystko. Nikt nie chciał robić

z tego dramatu. Nie rozumiem ludzi, którzy, kiedy mają romans, zachowują się jak dzicy, wszystkich w to wciągają, siłą rzeczy partnera, całą rodzinę, krąg znajomych, i którzy nie potrafią przestać głośno obarczać winą innych. Co chcą sobie udowodnić?

Mogę im tylko doradzić, żeby prali swoje brudy we własnym wnętrzu.

Felix i Juliane nie robili z tego dramatu, on nie chciał jej odbić mężowi, ona nie chciała wciągać w to męża. Eros na jakiś czas zawrócił im w głowach, więc co? Poza tym ten adwokat też nie robił z tego dramatu, co zapisuję mu na duży plus. Chociaż to był oczywiście dziwaczny układ. Nie wiem wprawdzie, jakie nim kierowały motywy, by wspierać żonę towarzyszącą umierającemu, ale fakt, że to robił, uważam za jego atut. W takiej sytuacji trzeba spojrzeć na sprawy z dystansu, tak sędzę, małostkowością wiele się nie działo.

W sobotę Felix pokazał nam miejsca ze swego dzieciństwa: zagrodę, halę, wioskę, całą dolinę. Dwunastoletnia Marlene też z nami była, podskakiwała dookoła nas. Felix był wesoły i spokojny. Czuliśmy, jak bardzo jest związany ze swoją ojczyzną. Wieczorem długo siedzieli z bratem, żeby omówić ostatnie sprawy.

W niedzielę po śniadaniu pojechaliśmy z powrotem do Wiednia.

Kilka dni później, piętnastego kwietnia, poszedł do szpitala.

Został tam dokładnie dwa miesiące i tydzień.

Wiesz co?

Wystarczy na dzisiaj.

Zapalimy jeszcze papierosa na tarasie, a potem pojedziesz do domu.

Ubieraj się.

## Czerwiec 2015

### Paul

Czy jesteś jedyną osobą, która zna tę tajemnicę?

Nie, jest jeszcze ktoś, kto o tym wie.

Felix.

Odwiedziłem go w szpitalu, pod koniec maja. Bardzo mi to ciążyło, wolałem, żeby sytuacja była jasna, i chciałem powiedzieć mu prawdę. Ostatnie miesiące były dla mnie piekłem. To się musiało skończyć i chciałem, żeby złożył na mnie doniesienie. Coś takiego nazywa się nieumyślnym spowodowaniem uszkodzenia ciała ze skutkiem śmiertelnym. Dłużej nie mogłem! A już zupełnie nie mogłem dalej żyć z tym poczuciem winy. Śniły mi się koszmary, nie mogłem jeść, byłem nerwowy i bliski wypalenia.

Leżał sam w pokoju, jego sąsiada wypuścili dwa dni wcześniej, tak mi powiedział. Kiedy mówiłem, uważnie się przysłuchiwał, milcząc. Nie wyglądał na zdziwionego ani na zdenerwowanego.

Na koniec powiedział:

– Zadawałem sobie pytanie, kiedy się tu pojawisz. A więc wszystkie te pieniądze są od ciebie?

Zanim poszedł do szpitala, zadzwonił do pani Dafner ze Szwecji, żeby podziękować jej za wspaniałomyślne odszkodowanie w kwocie, na którą nigdy nie liczył. Na jego konto została przekazana sześciocyfrowa suma, ale okazało się, że kobieta nic o tym nie wiedziała. Felix poważnie się zirytował. Coś go jednak tknęło, żeby zapytać o poprzedniego właściciela mieszkania. Podała mu nazwisko następnego dnia, musiała je najpierw znaleźć w starych aktach zakupu.

– Sprzedałeś jej mężowi to mieszkanie – kontynuował. – Te pieniądze muszą być od ciebie. Bo od kogo innego? Ta kobieta nie miała bladego pojęcia o żadnym roszczeniu. To, że bez mrugnięcia



okiem przelałeś mi tak dużą sumę, wzbudziło moje podejrzenia. Miałem przecucie, że o tym wiedziałeś i zataiłeś to przy sprzedaży mieszkania. A teraz jesteś tutaj i osobiście informujesz mnie o swoim kupczeniu odpustami. Muszę szczerze powiedzieć, że czekałem na to. Bo nie sądziłem, że akurat ty zamiótłbyś tę sprawę pod dywan. – I dorzucił: – Nie martw się, nikt się o tym nie dowie. Będę milczał jak grób, w którym i tak wkrótce będę leżał.

Powiedziałem mu, że nie musi milczeć, powinien na mnie donieść albo zażądać, żebym sam to zrobił.

Wyśmiał mnie:

– Ja cię z pewnością nie zaskarżę, panie adwokacie. Ale twoje pieniądze chętnie przyjmę. Moja rodzina się ucieszy, gdy będą czytać testament.

Obstawałem przy pozwie, to był czyn karalny, powtarzałem.

Spoważniał i powiedział:

– Daj sobie spokój, Paul. Naprawdę. Po prostu daj temu spokój.

Milczeliśmy przez chwilę, a potem on mówił dalej:

– Nikt na tym nie zyska, jeśli będziesz musiał stanąć przed sądem i pójdziesz do więzienia. Ty nie, ja nie, bo to mnie nie uzdrowi, a już na pewno nic dobrego z tego nie wyniknie dla twojej rodziny. Przelałeś dużo pieniędzy, jestem ci za to wdzięczny. Nic więcej nie możesz zrobić. Nie możesz cofnąć czasu, nawet gdybyś chciał. Cierpisz, prawda? Jesteś religijny? Tak? To się cieszę, masz szczęście. Kiedyś gdzieś czytałem, że wybaczenie jest nie tylko aktem religijnym, lecz także psychologicznym. Korzystnie wpływa na zdrowie. Zatem: wybaczam ci. Może dzięki temu pożyję o miesiąc dłużej. Dobra, żarty na bok. Zrób mi przysługę i przestań cierpieć. Ciesz się życiem i kochaj swoją żonę. Graj z synem w nogę i obejrzyj z córką zachód słońca. Mniej pracuj. I jeszcze coś: pomóż mojemu bratu załatwić sprawy po mojej śmierci, bardzo cię proszę. Przewiezienie trumny z Austrii do Tyrolu Południowego może się okazać niełatwe, wiesz, włoska biurokracja nie ma końca. Zależy mi, żebym nie dotarł do domu w stanie całkowitego rozkładu.

Tak, potem podał mi rękę, a ja poszedłem do domu.

Właśnie dostałem SMS od mojej żony:

„Felix zmarł kilka minut temu. Odbierz mnie, proszę, za godzinę”.

Muszę się przewietrzyć.

Zanim zadzwonię po taksówkę, przespaceruję się chwilę.

Nie, nie chcę, żebyś mi towarzyszył. Nie obraż się.

Wypijmy i zapłaćmy.

Muszę teraz pobyć sam.

Ale dziękuję ci serdecznie, przyjacielu, że zostałeś ze mną dziś w nocy i mnie wysłuchałeś.

# Grudzień 2015

## Juliane

Nie musisz się o mnie martwić.

Nie mam się źle, już nie.

Minęło sześć miesięcy i w pewnym stopniu już się z tym uporałam.

Chociaż z początku zupełnie się załamalam. Leżałam całymi dniami w łóżku i czułam się wyczerpana jak nigdy dotąd, wciąż płakałam. Paul wziął wolne i został ze mną.

Przed oczami wciąż miałam różne obrazy! Nadal mnie dręczą, ale na szczęście rzadziej.

Widzę, jak Felix otwiera drzwi i mnie obejmuje, jak stoi w kuchni, gotuje i plotkuje ze mną, jak leżymy obok siebie na kanapie i słuchamy muzyki, jak gra mi coś na gitarze, jak puszcza do mnie oko. Jak leży w szpitalu i z uśmiechem wyciąga do mnie rękę, kiedy wchodzę do sali.

Obrazy z przedostatniego dnia, gdy Felix był jeszcze przytomny i miał dosłownie wypisany na twarzy lęk przed śmiercią, prześladowały mnie długo.

Nie, nie mówił o tym, nigdy. To znaczy: o swoim lęku przed śmiercią. W mojej obecności zawsze starał się być silny i opanowany, był bardzo dzielny. Max kiedyś mi powiedział:

– Ja w takiej sytuacji bym bez przerwy biadolił i nie przestawał rozczulać się nad sobą.

Myślę, że o swoim strachu Felix mógł otwarcie rozmawiać tylko z sąsiadem ze szpitalnej sali. Nie z nami. Może dlatego, że obaj byli w takiej samej sytuacji. Dla nas, rodziny i przyjaciół, chciał być silny.

Nie wiem, jak ja dawałabym sobie radę z taką chorobą. Nie, nie próbuję się porównywać, nie wiem, czy byłabym tak dzielna jak Felix, czy może jeszcze bardziej, chcę powiedzieć co innego. Może to teraz dziwnie dla ciebie zabrzmie, ale czasem patrzyłam na Feliksa

i chciałam móc umrzeć za niego.

Dobrze, nie czasem, tylko dwa, może trzy razy. Wracało do mnie to intensywne pragnienie śmierci z pierwszych lat po wypadku Andreasa. Wtedy chciałam po prostu zasnąć i już się nie obudzić, to pragnienie było tak silne! Już nie słyszeć ani nie oglądać tego świata! Nie czuć tej dojmującej tęsknoty za bratem, za ciepłem jego ciała obok mnie w łóżku, jego chichotem. Już nie czuć winy, nie wstydzić się. Nie patrzeć rodzicom w oczy. Wciąż jeszcze nie potrafię spojrzeć matce prosto w oczy.

Owszem, masz rację, wszystko dobrze się skończyło, mam wspaniałe życie, nie mogę się skarżyć. Ale ta tęsknota za śmiercią wciąż we mnie drzemie, nigdy tak całkiem nie zniknęła. Wcześniej czasem miałam takie dni, kiedy udawało mi się tylko egzystować. Wtedy to wspomnienie, ta depresja tak mocno ściągała mnie w dół, że jej ciężar ledwie pozwalał mi stawiać jedną nogę przed drugą.

Rozmawiałam o tym z Feliksem, po tym, kiedy opowiedziałam mu o Andreasie. To było jeszcze w jego starym mieszkaniu, po diagnozie. Był tym zainteresowany i chciał wszystko wiedzieć ze szczegółami, powiedział potem, że teraz, z perspektywy, potrafi to i owo zrozumieć – mój sposób bycia, moje reakcje, wtedy w pociągu i później. Pocieszał mnie i powiedział, że muszę mu obiecać, że nigdy więcej nie poczuje tęsknoty za śmiercią, tylko będę rozkoszować się życiem. Bo to nie zwróci życia mojemu bratu i nikomu się do niczego nie przyda, a mnie najmniej.

– A ja będę grał z Andreasem w piłkę, tam na górze – powiedział. – I kopniemy tę piłkę w dół, jeśli będziesz zanadto przygnębiona.

Nie mogłam się nie rozplakać.

Lepiej dajmy temu spokój.

Nie, Felix nigdy nie sprawiał wrażenia, jakby się bał. Później, w szpitalu, czasem nawet robił sobie żarty ze swojego umierania, żeby mnie rozbawić.

– Przysięgnij mi na tę papaję, że nie przejmiesz się zanadto moim zejściem, Julie – mówił. – Nie chcę cię oglądać ze swojej chmurki jako kupę nieszczęścia. Słyszysz? Obiecuj mi, że zrobisz wszystko,

żeby było ci dobrze, każdego dnia twojego życia.

Innym razem powiedział:

– No, chodź już, nie patrz z takim przygnębieniem. Wszyscy musimy umrzeć, tylko ja idę trochę wcześniej, żeby sobie zająć miejsce w łoży. Będę stamtąd na ciebie uważał.

Tylko kiedy przyszedł do niego ksiądz, w maju, bo Felix chciał wstąpić do Kościoła – ze względu na swoją rodzinę, która życzyła sobie kościelnego pogrzebu – na krótką chwilę stracił nad sobą kontrolę. Akurat byłam w szpitalu, gdy duchowny z papierami podszedł do drzwi. Chciał porozmawiać z Feliksem o tym wstąpieniu i się pomodlić.

Zaczął potem rozmowę dość bezpośrednio i zapytał bez mrugnięcia okiem:

– Już poradził pan sobie z problemem umierania?

Szczerze mówiąc, uważam to pytanie za obcesowe. A z jakim innym problemem miałby sobie radzić umierający? Z grą w piłkę nożną? Twarz Feliksa się zapadła i przez sekundę myślałam, że zacznie płakać, na oczach księdza i moich. Ale szybko się opanował, na pewno nie pozwoliłby sobie na kompromitację przed tym człowiekiem. Ani razu nie pozwolił sobie na to nawet w mojej obecności, przy przyjaciółach czy rodzinie. Nie odpowiedział mu na pytanie, wziął tylko kartkę i zapytał, gdzie ma się podpisać. Ale zmówił z nim jednak potem *Ojciec nasz*, a ja modliłam się z nimi. Uważałam, że to piękne.

Tak, dziwi cię to. Bo wiesz, jak było u nas w domu.

Wtedy cieszyłam się z tego, że Paul jest religijny. I jego rodzina.

Jego rodzice regularnie chodzą do kościoła, Paul też, choć nie jest aż tak religijny jak oni. Chodzi na msze tylko w święta i w adwencie – a ja z nim, wierzy w Boga, w Jezusa i w Kościół. Świętuje Boże Narodzenie, niedziele adwentowe, Wielkanoc, Zielone Świątki, Wszystkich Świętych; ładnie się wtedy ubieramy, idziemy na mszę, a potem siedzimy razem, jemy pyszności, pijemy wino, świętujemy. Naprawdę to lubiłam, zwłaszcza w początkowym okresie mojego pobytu w Wiedniu, i nadal lubię.

Dlaczego? Bo to dało mi oparcie.

Właśnie to było mi potrzebne.

Jeśli chodzi o przekaz, to nie byłam w stanie przyjąć wielu treści. Nie wierzę ani w niepokalane poczęcie, ani w Ducha Świętego, który zstępuje na ludzi w postaci płomieni. Ale podobają mi się te tradycje, nadają rokowi pewną strukturę, która pozwala człowiekowi zachować orientację w czasie.

Tak, można tak powiedzieć, że zgarnęłam dla siebie to, co najlepsze.

Chętnie wówczas przejęłam te tradycje i żyłam nimi z Pauliem i dziećmi, chociaż zostałam zupełnie inaczej wychowana. Podobało mi się to. Moi rodzice uważali, jak wiesz, religię za ogłupiającą, każdy dzień był taki sam jak następny, świętowaliśmy tylko Wigilię.

Ludzi religijnych po śmierci ukochanego człowieka pociesza świadomość, że Bóg go do siebie powołał i jest mu u niego dobrze. Nie złorzeczą Bogu, wszystko ma swój sens i porządek. Gdyby moja rodzina była religijna, prawdopodobnie inaczej przeżylibyśmy śmierć Andreasa. Potem też panowałaby żałoba, ale pewnie nie pojawiłoby się to uczucie pustki i bezsensowności, a przynajmniej nie byłoby aż tak bardzo dojmujące. Nie rozsypałoby się wszystko. Moi rodzice trzymaliby się razem, bo małżeństwo, rodzina, ma swoją wartość.

Tego przedostatniego dnia w hospicjum Felix był mokry od potu, wciąż wycierałam myjką jego twarz i korpus.

Miał rozszerzone źrenice, bardzo duże, i przez większość czasu patrzył w pustkę albo na wskroś przeze mnie. Wciąż przysypiał na dwie, trzy sekundy, a potem się podrywał, z przestraszonym, zmieszonym, wylęknionym wyrazem oczu. Tak bardzo mnie to bolało. Przez cały dzień nie chciał się położyć do łóżka, siedział sztywno wyprostowany na wózku, przy stole, ubrany tylko w krótkie spodenki, tak było mu gorąco. Tak, przez ostatnie trzy tygodnie znów mógł siedzieć, prawdopodobnie dzięki silnym lekom przeciwbólowym, nie wiem. Wciąż chciał jeść, pić i nerwowo się czymś zajmować. Permanentnie poruszał dłońmi. Nalewał sobie mleka, odsuwał szklankę z mlekiem, znów przysuwał, wkładał truskawkę do ust, wygładzał obrus na stole, podjadał bitą śmietaną.

Był bardzo niespokojny, a ja czułam się zupełnie bezradna. Opiekun rozmawiał ze mną o tym. Felix czuł, że traci kontrolę nad ciałem, i to powodowało u niego panikę. Nie chciał leżeć w łóżku, bo się bał, że zaśnie i już się nie obudzi. Wszystko w nim broniło się przed tym zaśnięciem, nie chciał jeszcze odpuścić.

Do tej chwili nigdy nie sprawiał na mnie wrażenia śmiertelnie chorego albo gasnącego, albo kurczącego się – tak chyba powinni wyglądać umierający ludzie. Tak, jasne, z głosu pozostał mu tylko szept, ramiona i nogi miał trochę chude, a bez rurki z tlenem w ostatnim miesiącu już nie mógł się obejść. Ale mimo to był opalony na brąz, włosy miał wciąż jeszcze gęste, rysy twarzy nie wyglądały inaczej niż przedtem, był sprawny umysłowo i nie stracił poczucia humoru.

Aż do przedostatniego dnia.

Po południu pojechałam do domu. Wiedziałam, że jego brat i bratowa są w drodze. Wieczorem około dziewiątej jeszcze raz wpadłam na chwilę, ale nie zostałam długo, bo byli u niego Mathias i Sabine, a poza tym był zmęczony i chciał spać.

Następnego dnia odpuścił. Opiekunowie opowiadali, że po obudzeniu, a spał dobrze i głęboko, prawdopodobnie dzięki silnym środkom nasennym, powiedział:

– Dziś jest idealny dzień na umieranie.

Nie piękny albo dobry dzień, nie, idealny dzień. Typowe dla Feliksa.

Przyszliśmy wszyscy prawie jednocześnie: Mathias i Sabine – oni nocowali w hotelu, Max i ja. Felix jeszcze przez krótki czas był przytomny, pożegnał się ze wszystkimi. Każde z nas mogło na minutę wejść do niego do pokoju, tak sobie życzył. Widać było po nim, że musi się bardzo skupiać, żeby to wytrzymać.

Co mi powiedział? Nie obraż się, ale nie chcę o tym mówić.

Pół godziny później już nie było z nim kontaktu. Przez resztę dnia i w nocy też. Siedzieliśmy przy nim na zmianę. Max przywiózł pizzę dla nas wszystkich, ja poszłam się przejść.

O wpół do trzeciej opiekunka wezwała nas do jego pokoju. Powiedziała, że zbliża się koniec. Staliśmy wokół łóżka i patrzyliśmy,

jak umierał. Felix leżał na boku i sprawiał wrażenie, jakby spał, tylko jego oddech był jeszcze głośniejszy niż w ostatnich dniach. Dla mnie to brzmiało jak rzeźenie.

Nie, nic nie czuł. Tak przynajmniej wciąż zapewniali nas opiekunowie. Felix miał na ramieniu przymocowane pudełeczko z różnymi ampułkami przeciwbólowymi, których dawkowanie można ustawiać zależnie od potrzeb. To były chyba rozmaite opiaty. Medycyna paliatywna jest dziś, dzięki Bogu, bardzo dobra. Wolę nie myśleć o tym, jak chory na raka płuc musiał umierać przed wiekami. Wciąż wyobrażam sobie takie rzeczy. Jak kiedyś robiono cesarskie cięcia, jak amputowano członki, jak wrywano zęby, jak leczono głębokie, otwarte rany?

Dziesięć po trzeciej przestał oddychać.

Wyglądał, jakby spokojnie spał.

I wiesz co, naprawdę zaczął się uśmiechać! To nie są żadne brednie!

Rozpłakaliśmy się i objęliśmy, jeszcze chwilę posiedzieliśmy razem. Około piątej odebrał mnie Paul. On też przejął się śmiercią Feliksa. Rozchorował się, co mu się praktycznie nie zdarza.

To, że miałam z Feliksem romans, musiało go strasznie zranić. Również to, że na koniec tak wiele czasu spędzałam w szpitalu i w hospicjum. To było obciążenie dla naszego życia rodzinnego, mimo to nigdy nie robił mi wyrzutów. Co powiedzieliśmy dzieciom? Niewiele. Tylko tyle, że mamy bardzo dobrego znajomego, który umiera i cieszy się, jeśli ma w szpitalu trochę towarzystwa.

Czy uwierzyły? Niespecjalnie je to interesowało. Emilia jest zajęta swoimi przyjaciółkami, komórką, chłopakami, którzy za nią ganiają, Leona interesuje PlayStation i klub futbolowy. Tak czy owak to, co robią starzy, jest nudne.

Paul tego lata wziął sobie wolne. Z początku nie mieliśmy zamiaru wyjeżdżać, chcieliśmy zostać w domu, bo czuliśmy się zbyt wyczerpani. Pracowaliśmy w ogrodzie, dużo czytaliśmy i od czasu do czasu chodziliśmy na piesze wędrówki albo jeździliśmy na rowerach. Ale potem spontanicznie zdecydowaliśmy się pojechać pociągiem do



Spoletto i pójść piechotą do Asyżu. Dzieci zostawiliśmy u ich ciotki.

Zabrałam ze sobą wiolonczele.

Tak jak dwadzieścia jeden lat temu szliśmy obok siebie albo szukaliśmy cienistego miejsca, gdzie mogliśmy odpocząć, poczytać, przespać się, gdzie mogłam grać.

Jaka panowała między nami atmosfera?

Dobra. Na początku niewiele rozmawialiśmy, każde było zatopione we własnych myślach.

Ja dużo myślałam o Feliksie. Również o tym, jak go poznałam.

W lipcu 1994 roku w przedziale pociągu usiadł naprzeciwko mnie i sprawił, że od pierwszej minuty byłam podenerwowana.

Dlaczego? Bo mi się podobał.

Potem mnie pocałował, gdy leżeliśmy obok siebie. Ostrożnie. To nie były żadne ogniste pieszczoty, tylko kilka delikatnych pocałunków. Bałam się, że zachowuję się głupio. Ostatnim chłopakiem, z którym się całowałam, był Mike, cztery lata wcześniej, na basenie. Bałam się też, że Felix zauważy, jak bardzo się do niczego nie nadaję. Ale wyglądało na to, że jednak nie. Może dlatego, że wypłam pół butelki wina. Spytał mnie, czy miałabym ochotę pójść z nim w Rzymie na kolację następnego wieczoru. Bardzo się ucieszyłam, podałam mu adres swojego pensjonatu. Chciał po mnie przyjść. Potem zasnęliśmy, z twarzą przy twarzy, on położył rękę na moim biodrze.

Ale nie przyszedł po mnie. Czekałam godzinę, a potem wśliznęłam się do swojego maleńkiego pokoiku, w którym było duszno i pachniało stęchlizną, mimo że szeroko otworzyłam okno. Nie chciałam się przyznać przed sobą, że byłam zmartwiona, nawet bardzo. Nagle przyszedł mi do głowy Andreas, który jako pięciolatek powiedział do mnie:

– Kiedy będę duży, chcę z tobą chodzić i się z tobą ożenić!

Potem zupełnie się załamalam. Prawdopodobnie przyczyną były też upał, głód i przemęczenie – przecież ostatniej nocy prawie nie spałam, a potem cały dzień biegałam po Rzymie, oglądając jeden zabytek po drugim. Leżałam na łóżku i szlochałam, dygotałam i zupełnie nie

mogłam się uspokoić. Dlaczego wciąż jeszcze przychodzi mi do głowy mój młodszy brat, o każdej porze dnia i nocy, w każdym miejscu? I co ja sobie właściwie myślałam, żeby tak wsiąść sama do pociągu i pojechać do Włoch? Takie snułam rozważania. Ryczałam tak, że cała poduszka była mokra, zanim zasnęłam.

Następnego ranka uciekłam z Rzymu, wysiadłam w Spoleto i spędziłam tam jedną noc. Kolejnego dnia na trasie pielgrzymkowej spotkałam Paula. Gdy do mnie podchodził, oślepiało mnie słońce, tak że nie od razu rozpoznałam, kto to. Pamiętam jeszcze, że przez kilka sekund pragnęłam, żeby to był Felix. Ale już po godzinie, dwóch cieszyłam się, że to Paul. Podobała mi się jego dojrzałość. To, że umiał słuchać i nie chciał wciąż być w centrum uwagi.

Jesienią przeprowadziłam się do Wiednia. Paul wzruszająco troszczył się o mnie. Gdyby nie on, nie odważyłabym się na ten krok i prawdopodobnie spędziłabym resztę życia przyklejona do matki, z samego poczucia winy. Paul i ja spędzaliśmy ze sobą wiele czasu, było mi z nim wspaniale. Piękna była ta przyjaźń i to, co zaczęło między nami rosnąć.

Mimo to chciałam znów spotkać Feliksa. Zapamiętałam adres, który Paul podał Feliksowi w pociągu, gdy zapisywał mu numer telefonu człowieka wynajmującego pokoje.

Byłam ciekawa, czy naprawdę przeprowadził się do Wiednia. Czy nadal by mi się podobał i czybym się w nim zakochała. Dlatego w październiku stanęłam przed tym domem i nacisnęłam dzwonek, przy którym było jego nazwisko, obok dwóch innych. Bardzo się ucieszył, że mnie widzi, i przeproszał, że tamtego wieczoru w Rzymie się nie pojawił. Rodzina, której był gościem, nie chciała go wypuścić.

Spotkałam się z nim dwa razy, potem już nie. Później nie natknęliśmy się więcej na siebie, prawdopodobnie dlatego, że Paul i ja prowadziliśmy zupełnie inne życie niż on, obracaliśmy się w innych kręgach. Chociaż nie, nieprawda, raz się na siebie napatoczyliśmy. Emilia miała wtedy sześć, może siedem lat, szłam z nią Kärntner Strasse, żeby zrobić jakieś zakupy, gdy przeszli obok nas Felix z jakąś kobietą. Nie, nie rozmawiałam z nim. Nie poznałam mnie. To tę kobietę odwiedziliśmy – Felix, Max i ja – w Tyrolu

Południowym, tuż przedtem, zanim on poszedł do szpitala. Była jego wielką miłością i chciał ją jeszcze raz zobaczyć.

Spotkaliśmy się więc dwa razy, na prawie całą noc. Paul nic o tym nie wiedział, bałam się, że go zranię. Powiedziałam mu o tym dopiero ostatniego lata, w drodze do Asyżu.

Chodziliśmy po barach, Felix i ja, raz byli z nami również jego koledzy ze studiów. Kilka dni później pojechałam wieczorem do Paula, przedtem kupiłam jeszcze trochę jedzenia. U niego w mieszkaniu ugotowałam dla niego kolację i zrobiłam ten deser, o którym ci już opowiadałam. Tak, banana split. Tej nocy pierwszy raz spaliśmy ze sobą.

U Feliksa nigdy już się nie pokazałam. On zadzwonił do mnie jeszcze dwa razy, ale szczerze mu powiedziałam, że nie chcę się z nim więcej spotykać. Był rozczarowany.

Co się stało?

Nic szczególnego. Tylko tyle, że zdecydowałam się na Paula.

Bo mogłam być przy nim słaba i to nie był problem. Akceptował mnie taką, jaka byłam, a mimo to nie można było powiedzieć, że nie ma między nami równowagi, wręcz przeciwnie. Myślę, że właśnie dlatego Paul mnie kochał i szanował. Równowaga była. Obok Paula mogłam być wypalona i powoli odżywać.

Z Feliksem nie byłoby to możliwe.

Myślisz, że musiało się zdarzyć coś konkretnego? Były oczywiście pewne prowokacyjne wypowiedzi, które mnie raniły:

– No chodź już, teraz ty też zatańcz, nie bądź taka nijaka! – rzucił Felix na jakiejś dyskotecie, w której muzyka była tak straszna, że już w wejściu najchętniej bym uciekła. Paul, tak jak ja, nienawidził dyskotek.

Innym razem Felix chciał mnie zabrać, żeby pograć w siatkówkę; odmówiłam, niebezpieczeństwo urazu było dla mnie zbyt duże.

– Boisz się, że zepsujesz swoje delikatne paluszki stworzone do muzyki? – skomentował.

Nie umiał zaakceptować odmowy, chciał przebijać głową mur. Kiedyś podeszli do naszego stolika jego przyjaciele, a on głośno z nimi dyskutował, ignorując mnie. Potem się skarżył, że nie brałam udziału

w dyskusji.

Wiem, to są wszystko śmieszne rzeczy, normalne między silnymi, pewnymi siebie, zdrowymi ludźmi, którzy się docierają. Oczekiwał ode mnie kontry, a potem był trochę poirytowany, bo byłam cicho i się wycofywałam. Na emigrację wewnętrzną, tak to nazywam.

Był taki młody! Niedoświadczony w miłości. Dziko łapczywy na przygodę, jaką jest życie. Chciał zbierać doświadczenia. Przeżywać. Był w ciągłym ruchu. Naprawdę się mną interesował, ale nie dałabym rady żyć z nim w związku, nawet gdyby miał być krótki. I przecież musiałabym potem uporać się też z końcem tego związku. On potrzebował kogoś, z kim mógłby się docierać, kto skutecznie stawiałby mu opór, silnej kobiety. Zginęłabym przy nim, a on prawdopodobnie by się nudził.

Oczywiście wtedy nie myślałam o tym tak świadomie jak dziś, to było tylko intuicyjne wrażenie: z Feliksem nie wyjdzie. Z Pauliem możesz znów powoli, po omacku zbliżyć się do życia, potrzebujesz go. Może nie było między nami wielkiej, namiętnej miłości, której człowiek oczekuje na początku związku. Oboje przeżyliśmy zbyt wielkie traumy, ja przez ten wypadek, on przez swoje pierwsze małżeństwo.

Tak oto było z tymi dwoma mężczyznami.

Paul był zaskoczony, gdy w drodze do Asyżu powiedziałam mu, że chodziłam na randki z Feliksem tej pierwszej jesieni w Wiedniu. Nie, powodów, dla których przestałam się z nim spotykać, nie wyjaśniałam mu tak dokładnie.

Ale on mnie zapytał:

– Dlaczego zdecydowałaś się na mnie?

A ja odpowiedziałam:

– Bo ty byłeś i jesteś dla mnie tym właściwym, jedynym.

– I nigdy nie żałowałaś? – zapytał.

Co powiedziałam?

Że nie żałowałam ani jednego dnia.

Nigdy przedtem o takich rzeczach nie rozmawialiśmy. Przede wszystkim Paul był w stosunku do mnie bardzo uważny, zadawał mi

dużo pytań, chciał dużo o mnie wiedzieć.

O romans z Feliksem? Nie, w ogóle nie. Mój Boże, to przecież byłoby straszne. Nie rozumiem ludzi, którzy chcą znać szczegóły, a potem pograżają się w swoim bólu. Paul nie należy do tego typu osób, masochistą też nie jest.

Chciał wiedzieć, jak się miewam. Czy jestem szczęśliwa. Podczas tego urlopu pierwszy raz pozwoliliśmy sobie na to, by otwarcie rozmawiać o naszych oczekiwaniach i potrzebach, naszych pragnieniach, naszej miłości.

Jestem trochę zmęczona. Wracajmy do samochodu i jedźmy do domu.

Dobrze mi zrobiło to, że ci wszystko opowiedziałam.

Mam nadzieję, że będziemy się teraz częściej widywać, już nie co trzy, cztery lata. Przynajmniej raz w roku! Mogłybyśmy też gdzieś razem wyjechać i zrobić sobie babski urlop.

Paul wkrótce wróci z dziećmi z nart, potem możemy razem coś zjeść. Urządzimy sobie przyjemny wieczór z butelką dobrego wina.

Albo z kilkoma.

Życie jest za krótkie, żeby pić kiepskie wino.

Felix często tak mawiał.

## Wrzesień 2015

### Max

W nocy z dwudziestego siódmego na dwudziestego ósmego czerwca. Skończyło się tuż po trzeciej.

Zgadza się, to dokładnie dwa miesiące temu.

Nie, nie zmarł w swoim mieszkaniu, tylko w hospicjum.

Opiekunka w hospicjum spytała nas, czy chcemy jej pomóc *ładnie wyszykować* Feliksa. Naprawdę tak to sformułowała.

Nie powiedziała: „Kto mi pomoże umyć, przebrać i uczesać zwłoki?”.

Słowo *zwłoki* w ogóle nie padło, nazywała go po imieniu, również po śmierci. Uważam, że to dobrze. W ogóle opiekunowie w tym domu byli bardzo dobrzy, profesjonalni, ale nie bez serca. Byli, można by rzec, życzliwi. Mam dla nich głęboki szacunek. Atmosfera była przyjemna. Człowiek czuł się tam dobrze. Można było wręcz zapomnieć, dlaczego się tam jest. Dwa dni wcześniej na chwilę zdrzemnąłem się w holu, a gdy się obudziłem – ktoś mnie spytał, czy nie napiłbym się kawy – pomyślałem, że jestem w wyjątkowo przytulnym holu hotelowym.

Mathias i Sabine zapytali nas, czy to zrobimy. Oni byli tak zmęczeni, że już nie mieli siły. Juliane wyszukała pościel, zdecydowała się na niebieską, bo Felix lubił niebieski, kolor morza. Zdjęliśmy z niego przepocone rzeczy, umyliśmy go, włożyliśmy świeży T-shirt i bokserki. Przykryliśmy aż po piersi, ułożyliśmy dłonie jedną na drugiej, uczesaliśmy go. Kiedy opiekunka wetknęła mu między dłonie różę, zabrałem ją. Felix i róża? To nie pasowało.

Czy się brzydziłem?

Nie, w ogóle nie! Przeciwnie. Też się dziwiłem. Ale wiesz, to był po prostu tylko piękny rytuał. To nie było przerażające. To był rytuał pożegnania.

Tydzień później odbył się pogrzeb. W jego rodzinnej wsi w Tyrolu Południowym. Pojechali Dalbergowie, cała czwórka, ja wybrałem się swoim samochodem i zabrałem dwoje przyjaciół. Poza tym przyjechało jeszcze czterdzieścioro przyjaciół i znajomych Feliksa.

Juliane grała w kościele na wiolonczeli. Tak sobie życzył Felix. Nie, nie powiedział jej tego, napisał do niej list. W szpitalu. Właściwie to ja musiałem go napisać, bo on już był na to za słaby. Dyktował mi zdanie po zdaniu, dlatego dokładnie go pamiętam. I musiałem go jej potem przeczytać na głos, a ona cały czas ryczała.

Co jej napisał? Nie wszystko ci powiem, moja droga.

Ale napisał na przykład: „Obstaję przy tym, żebyś na mojej mszy pogrzebowej zagrała na swojej cudownej wiolonczeli co najmniej trzy utwory, dając z siebie wszystko. Wybór pozostawiam tobie, ale poproszę tylko o takie, do których się wspaniale płacze. Życzę sobie, żeby cała wieś o mnie myślała i ryczała jak bobry. Dasz chyba radę, prawda?”.

I rzeczywiście jej się to udało, grała fenomenalnie. Wszyscy bez wyjątku płakali albo mieli łzy w oczach.

Spaliśmy w jego rodzinnym domu – Juliane, jej mąż i dzieci, Alessandro z rodziną i ja. Pozostali przyjaciele i znajomi zostali rozmieszczeni we wsi, w gospodarstwach z pokojami dla gości. To zorganizowali Mathias i Sabine. Nikt nie musiał płacić za nocleg, wszyscy byliśmy gośćmi.

Wieczorem usiedliśmy wszyscy razem w gospodzie: Dalbergowie, rodzina Hofmannów, rodzina Bianchich i ja. Dzieci siedziały razem przy jednym stole – dzieci Alessandra, Juliane, bratankowie i bratanice Feliksa. Dobrze się rozumieli. Drugi z kolei potomek Hofmannów, chyba ma na imię Alexander, i córka Juliane, Emilia, siedzieli obok siebie i najwyraźniej mieli się ku sobie.

Gdybym miał wtedy szkicownik, namalowałbym tę scenę. Ich zakłopotanie i rumieńce. Pyszenie było patrzeć, jak ta dziewczyna spuszczała wzrok. Wyjęli swoje komórki z kieszeni spodni i od razu dodali się do znajomych na Facebooku. Zrobili to wszyscy dziesięścioro.

W którymś momencie Mathias zapytał, jak właściwie poznaliśmy

Feliksa. Paul, Juliane i ja opowiedzieliśmy o tej podróży do Rzymu sprzed dwudziestu jeden lat. Alessandro zaś opowiedział o pierwszej wizycie Feliksa u swego ojca, który już nie żył, i ich rejsie we trzech wzdłuż włoskiego wybrzeża.

Nagle Alessandro zaproponował, żebyśmy wszyscy odwiedzili go w Rzymie, wszyscy: Dalbergowie, Hofmannowie i ja. Ja mogę zabrać przyjaciółkę, jeśli jakąś mam. Pokaże nam miasto. Syn Juliane od razu zawołał z bocznego stołu, że on też chce jechać nocnym pociągiem, bo to by było *cool*.

Naprawdę się umówiliśmy, na połowę października. Tak, za miesiąc. Wszystko już zarezerwowane. Szczerze mówiąc, cieszę się na to. Na pewno będzie wesoło.

Mówisz, że pojedziesz ze mną? Jeszcze się nad tym zastanowię, moja droga.

Ale chyba nie.

Już prawie północ. Jesteś zmęczona, widzę to po tobie. Ja też już padam. Dziś zdecydowanie za dużo mówiłem. To zawsze mnie męczy.

Chcesz przyjść jutro po południu?

Jutro nie mam czasu. Spotykam się z tą wiolonczelistką.

Z tą pierwszą? Nie, z tą drugą.

Zaprosiłem ją na kolację.



## Podziękowania

Dla zespołu wydawnictwa Droemer: serdeczne dzięki za wielkie zaufanie, które mi okazaliście, za zachwyty moimi książkami i wspaniałe powitanie w wydawnictwie! Cieszę się ze współpracy i na kolejne wspólne projekty.

Ogromnie dziękuję mojej redaktorce Andrei Hartmann nie tylko za cierpliwe oczekiwanie na *Zostać* (niełatwo mi było napisać tę powieść i potrzebowałam więcej czasu, niż zakładał plan), również za twój zachwyty tą historią, twoje wspaniałomyślne wsparcie przed rozpoczęciem pisania, w jego trakcie i po skończeniu, twój wkład w tę powieść, a szczególnie za doszlifowanie tekstu. Tak samo dziękuję Aleksandrze Löhr za wnikliwe spojrzenie podczas redakcji.

Dziękuję mojemu agentowi Georgowi Simaderowi za zarządzanie umowami, długie, podnoszące na duchu rozmowy telefoniczne i pyszną oliwę.

Szczególne podziękowania należą się moim rodzicom. Dziękuję za ekscytujące, pełne wrażeń dzieciństwo w dużym, ciągle otwartym domu pełnym życia i książek! Chodziłam spać z Robinsonem Crusoe, śniłam o wuju Tomie i budziłam się z Huckleberrym Finnem. W nogach łóżka jeden albo dwa koty, obok łóżka owczarek, suczka. W stajni koń, którego trzeba było nakarmić i wygłaskać, przy kuchennym stole mnóstwo dzieci, gadania głupot i chleba z boczkiem. Tulę was w ramionach.

Z całego serca dziękuję mojemu mężowi Peterowi: za twoją miłość i za to, że dajesz mi oparcie. Bez ciebie bym zginęła.

Moim trojgu dzieciom, Sophii, Helenie i Philippowi, za pełne humoru zrozumienie, kiedy znów zanadto zatapiam się w swoich historiach i trudno do mnie dotrzeć.

---

<sup>1</sup> Szkoła główna (*Hauptschule*) liczy pięć lub sześć klas i najczęściej przygotowuje do późniejszej nauki zawodu. Uczęszczają do niej zazwyczaj słabsi uczniowie po ukończeniu czteroklasowej szkoły podstawowej (*Grundschule*) (wszystkie przypisy pochodzą od redakcji).

<sup>2</sup> Traktat pokojowy z Austrią państwa Ententy podpisały 10 września 1919 roku w Saint-Germain-en-Laye.

Redaktor inicjujący: Magdalena Gołdanowska  
Redaktor prowadzący: Magdalena Matuszewska

Przekład: Aldona Zaniewska  
Redakcja: Anna Adamiak-Wojnar  
Korekta: Krystian Gaik, Dominik Wódcz

Projekt okładki: Magdalena Palej  
Zdjęcia wykorzystane na I stronie okładki: © Christina Krutz/Radius Images/Getty  
Images

Skład i łamanie: Dariusz Ziach

Grupa Wydawnicza Foksal Sp. z o.o.  
02-672 Warszawa, ul. Domaniewska 48  
tel. (22) 828 98 08  
faks (22) 395 75 78  
[biuro@gwfoksal.pl](mailto:biuro@gwfoksal.pl)  
[www.gwfoksal.pl](http://www.gwfoksal.pl)

ISBN 978-83-280-5983-2

Skład wersji elektronicznej: Michał Olewnik / [Grupa Wydawnicza Foksal Sp. z o.o.](http://www.gwfoksal.pl)  
i Michał Latusek / [Virtualo Sp. z o.o.](http://www.virtualo.pl)

**virtualo**